

**dobry
kryminat**

BILL PRONZINI



**ŁATWY KROK
DO GROBU**

C&T

BILL PRONZINI

**ŁATWY KROK
DO GROBU**

**Przekład:
AGNIESZKA KLONOWSKA**

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:

STEP TO THE GRAVEYARD EASY

Copyright © 2002 by the Pronzini-Muller Family Trust.

All rights reserved. Published by arrangement with Walker & Co.

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2007

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Klonowska

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNÓW

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (0-56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-066-5

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (0-56) 652-90-17.

Toruń 2007.

Wydanie I.

Ark, wyd. 8,5; ark, druk. 10.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

Dla Marci

A Duch rzekł: niech powoli zstąpi Śmierć
Niech Śmierć zstąpi powoli
I sługę mego sprowadzi mi.

Łatwym krokiem do grobu, powoli
Niech zstąpi Śmierć
I sługę mego sprowadzi mi.

„Powoli, o Śmierci” (*Go down, Death*)
amerykańska pieśń ludowa

1.

Cape posuwał akurat tę małą rudą z Logan's Café, gdy Anna weszła do domu i nakryła go.

Nie widział ani nie słyszał, że weszła do sypialni. Ruda siedziała na nim, wydając jęki rozkoszy, i pochylona do przodu przyciskała mu piersi do twarzy. Żadne z nich nawet nie spostrzegło Anny, dopóki nie wrzasnęła ostrym, przenikliwym tonem:

– Ty sukinsynu!

Ruda obróciła się i zeskoczyła z niego tak gwałtownie, że o mało go nie zadusiła. Anna, sztywno wyprostowana, stała w drzwiach. Błada twarz, blade, ściśnięte w pięści dłonie, biały pielęgniarski fartuch i czepek. Wyglądałaby jak jakaś zjawa, gdyby nie te oczy. Roziskrzzone, w kącikach przymglone jakby od dymu, niczym dziury wypalone papierosem w kawałku papieru, nim buchnie z niego płomień.

Żadne z nich nie odezwało się. Anna wpatrywała się w niego; rudowłosa Lonnie gapiła się na Annę; on zaś nie podniósł wzroku na żadną z nich. Lonnie wciągała na siebie ubranie, jej sapanie brzmiało teraz całkiem inaczej. Usłyszał, jak zaczyna trajkotać.

– O Boże, pani Cape, przepraszam... on mówił, że pani późno wraca... ja nie chciałam... nie wiem, po co... o Boże, przepraszam...

– Wynoś się stąd – rzuciła Anna. Wciąż nie spuszczała wzroku z Cape'a.

– Tak mi przykro, naprawdę, ja...

– Wynoś się z mojego domu.

Lonnie wybiegła, przytrzymując jedną ręką poły bluzki, drugą zwisający stanik. Trzasnęły drzwi.

Wtedy odezwała się Anna: – W naszym łóżku! Akurat tu, w naszym łóżku! Cape z trudem zsunął się z materaca i wstał, nic nie mówiąc.

– Ale z ciebie świnia.

- Chyba masz rację.
- Załóż coś – nakazała tonem pełnym odrazy. – Cały świecisz się od niej jak od jakiegoś smaru.

Schylił się zażenowany i podniósł spodnie. Założył je, potem koszulę. Przejście w drzwiach było już wolne. Gdy wszedł do salonu, Anna stała przy kredensie i nalewała szkocką. Szyjka butelki zadzwoniła o brzeg szklanki. Zdążyła już zdjąć czepek; jej blond włosy były polokowane u góry i po bokach jak peruka kłowna. Minął ją, podszedł do okna i stał, wyglądając na zewnątrz.

Odezwała się za nim: – No i co?

Nie odpowiedział.

– Żadnych wymówek? Żadnych przeprosin?

Jakiś dzieciak przemknął na rowerze, pedałowując mocno; długie włosy powiewały mu z tyłu.

– No, mów: to pierwszy raz?

Teraz inny, grubszy dzieciak pedałowwał jeszcze mocniej i pocił się w parnym, czerwcowym skwarze. To taki, co zawsze zostaje w tyle, usiłując nadążyć za najlepszymi, lecz nigdy mu się nie udaje. Cape też zawsze taki był.

– Odpowiedz mi, Matthew.

Nie. Nie był taki, jak ten dzieciak, już nie. Przystał się wysilać, żeby nadążyć; już od jakiegoś czasu po prostu tkwił w miejscu.

– Do diabła, odezwij się!

– A uwierzysz mi, jeśli powiem, że to pierwszy raz?

– Nie!

– Ale to prawda.

– Kłamiesz.

– W takim razie myśl sobie, co chcesz.

– Po co ci inne kobiety? Ja ci nie wystarczałam?

Cape odwrócił się twarzą do niej. Ból i gniew sprawiły, że jej oczy stały się okrągłe i lśniące jak winogrona. – Taka kobieta jak ty wystarczy każdemu mężczyźnie – odparł.

– To dlaczego? Czemu pieprzysz się z inną w naszym łóżku?

– Zrobiłem to, i koniec.

– Zrobiłeś to, ale to wcale nie koniec. Bynajmniej nie.

– Mogę ci jedynie odpowiedzieć, że nie jestem już tym samym facetem.

- Co to ma znaczyć? Jakim tym samym facetem?
- Tym, za którego wyszłaś. Ja się zmieniłem. Ty nie.
- Aha, tak. Jasne. To wszystko wyjaśnia.
- Oddaliśmy się od siebie – rzekł Cape. – Od jakiegoś czasu sprawy nie układają się najlepiej dla nas obojga. Sama dobrze wiesz. Seksu też nie uprawiamy zbyt często.
- Aha, więc to masz na swoje usprawiedliwienie.
- Wcale się nie usprawiedliwiam.
- Nic nie poradzę, że ostatnio często mam nocne dyżury i godzinami siedzę w szpitalu.
- Nie obwiniam ciebie, Anno. Stwierdzam tylko fakt. To małżeństwo się nie sprawdza.
- Może i nie – przyznała – ale mogliśmy przecież poukładać nasze sprawy. To dwanaście lat... Przeżywalismy już gorsze chwile...
- Z początku tak – zauważył Cape. – Ale teraz jesteśmy inni.
- Ciągłe to powtarzasz. I wcale nie wątpię, że się zmieniłeś. Przez ostatnie kilka miesięcy... masz zmienne nastroje, jesteś podenerwowany... i te niby wyjazdy służbowe do Chicago czy gdzieś tam... a teraz sprowadzasz do naszego łóżka inną kobietę. Chyba jednak wcale cię nie znam.
- Chyba nie.
- Co się z tobą dzieje? Kryzys wieku średniego, tak? Przecież masz dopiero trzydzieści pięć lat, to jeszcze nie wiek średni.
- Ale na pewno już połowa – odezwał się.
- Co?
- Nieważne. Daj spokój.
- Daj spokój? – powtórzyła Anna z goryczą. – Mam dać spokój po tym, co przed chwilą zobaczyłam w naszej sypialni?
- Nie, nie tego od ciebie oczekuję.
- Nie mogłabym nawet, gdybym chciała. I to w *naszym* łóżku, niech cię szlag! – Przełknęła szkocką, zakaszała i znów chciała się napić, ale tym razem zakrztusiła się. Cisnęła szklanką w kanapę. – Ty draniu – wycodziła. Była już bliska łez.
- Przykro mi, Anno. Wiem, że mi nie uwierzysz...
- Nie uwierzyłabym ci już nawet wtedy, gdybyś powiedział, że niebo jest niebieskie.
- Ale to prawda... Przykro mi.
- Kłamiesz. Przykro ci tylko dlatego, że cię przyłapałam.

- Masz rację.
 - Mam rację, tak? Mam rację? – Powoli, z drzeniem nabierała tchu. – To koniec, Matthew. Raz na zawsze, od tej chwili.
 - Wiem.
 - To, co dzisiaj zrobiłeś... to jedyna rzecz, której nie zniosę.
 - Wiem – powtórzył.
 - Wiesz, wiesz. *Gówno* wiesz, taka jest prawda.
 - Beze mnie będzie ci lepiej – stwierdził.
 - O, nie wątpię, do diabła.
 - Zaraz odchodzę.
 - Im szybciej, tym lepiej. Pakuj się i zjeżdżaj. Leć za tą rudą suką i dokończ to, co zacząłeś.
 - Z nią już skończyłem.
 - Myślisz, że się tym przejmuję? Możesz ją zarznąć na śmierć, jeśli o mnie chodzi. – Wilgotna kropla spłynęła jej po policzku. Otarła ją ze złością. – Jedno tylko sobie teraz zapamiętaj. Chcę ten dom. I będę o niego walczyła, jeśli będzie trzeba. To pierwsza rzecz, jaką powiem adwokatowi.
 - Nie będziesz musiała. Wszystko jest tu twoje oprócz połowy oszczędności i kapitału firmy Emerson.
 - O, to bardzo szlachetnie z twojej strony. Myślę, że gdybyśmy mieli dzieci, to też pozwoliłbyś mi je zatrzymać. Wiesz co, Matthew? Cieszę się, że nie mamy dzieci. Cieszę się, że poroniłam wtedy, dziewięć lat temu.
 - Chyba nie mówisz poważnie.
 - Nie?
 - Oczywiście, że nie. Mnie możesz ranić, jeśli chcesz, ale nie rań samej siebie.
- Odwróciła się do niego plecami, stojąc sztywno, tak jak przedtem, w drzwiach do sypialni. – Idź, wynoś się stąd. Nie mogę na ciebie patrzeć. Boże, mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę.
- Nie, nie zobaczysz.
 - To ma być obietnica?
 - Już nigdy mnie nie zobaczysz – powtórzył Cape miękkiem tonem.
 - Na moje szczęście.
- Wrócił do sypialni. Jego połowa szafy wypełniona była garniturami, sportowymi marynarkami, krawatami, codziennymi ubraniami, tuzinem par

butów i pięcioma elementami kompletu bagażowego od Gucciego; jego komoda wypchana była koszulami, bielizną, skarpetkami i biżuterią. Cały jego materialny dobytek. Rzeczy. Wyciągnął jedną walizkę średniej wielkości, spakował do niej to, co niezbędne, oraz jeden garnitur i dwie sportowe marynarki. Zabrało mu to niecałe piętnaście minut – wystarczająco długo, by zakończyć ostatnie dwanaście lat swojego życia.

Anny nie było już, gdy wyszedł z sypialni. I dobrze. Nie pozostało już nic do powiedzenia.

Może z wyjątkiem jednego. Powiedział to na głos do pustego domu, bo ona i tak nie chciałaby tego usłyszeć.

– Żegnaj, Anno.

2.

Bernie Klosterman był jedynym spośród połowy tuzina znajomych Cape'a, który nie był żonaty. Mieszkał sam w dwupokojowym mieszkaniu w wieżowcu blisko centrum miasta. Cape zastał go w domu i zaskoczył wiadomością.

– Jasne, jasne – odparł Bernie. – Możesz zostać tu na noc. A nawet dłużej, jeśli chcesz.

– Tylko na jedną noc, dzięki.

– Ale tak właściwie, Matt, dlaczego ty to zrobisz? Przecież nigdy przedtem nie zdradzałeś Anny, nie?

– To był pierwszy raz.

– Przyrowadzać do domu jakąś kelnerkę... O rany, co cię naszło? Skoro już musiałeś ją przelecieć, to dlaczego nie w jakimś motelu?

– Bo może chciałem zostać nakryty – odparł Cape.

Bernie wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. – Ale skąd ten pomysł?

– Potrzebowałem pretekstu. Ostatniego pretekstu, żeby się wyrwać.

– Wyrwać się z małżeństwa? Wiem, że się wam nie układało, ale...

– Nie tylko z małżeństwa. Ze wszystkiego. I nie ma już powrotu.

– Co ty gadasz?

– Wczoraj umówiłem się z Lonnie – odparł Cape. – A dziś rano rzuciłem pracę.

– Coś ty... Jezu, Matt. Ile lat przepracowałeś w Emerson Manufacturing, czternaście? I byłeś następnym w kolejce do awansu, sam mi przecież mówiłeś, nie?

– Dyrektor oddziału sprzedaży, tak.

– A ty odszedłeś? Tak po prostu?

– Tak po prostu. I miałem dostać trzy tygodnie płatnego urlopu. Zrezygnowałem z niego, składając wypowiedzenie.

– O, rany. Pewnie się wkurzyli.

– Przecież nie jestem niezastąpiony. Bez problemu znajdą sobie kogoś na moje miejsce. Anna też.

– A co z tobą?

– Mówiłem ci już. Wyrrywam się.

– Nie kapuję – przyznał Bernie. – Co ci to da, że się wyrwiesz?

– Wolność – odparł Cape.

– Jaką wolność?

– Przede wszystkim, chcę wynieść się z Rockford.

– To znaczy: na zawsze?

– Na zawsze. Chcę spalić ten ostatni most.

– I dokąd pojedziesz?

– Dokąd tylko będę chciał. Tam, gdzie jeszcze nie byłem, zobaczyć to, czego jeszcze nie widziałem, spróbować to, czego jeszcze nie próbowałem. Poznać ludzi, których nie spotkałem.

– Coś w stylu bohatera powieści Kerouaca?*

– Niezupełnie, ale mniej więcej taki mam plan. Czemu nie?

* *W drodze* Jacka Kerouaca (1922-1969) – „króla pokolenia beatników” – to opowieść o bezcelowych podróżach po kontynencie (wszystkie przypisy od tłumacza).

Twarz Berniego wyrażała teraz jakby w dwóch trzecich niedowierzenie, a w jednej trzeciej niepokój. Zdradzała też odrobinę podziwu. – Pytasz: „czemu nie?” To nie są lata sześćdziesiąte. To nowa epoka, nie zauważyłeś chyba, że świat wcale nie staje się bardziej przyjazny ani wyrozumiały.

– Zgoda, zauważyłem. Cały ten cholerny świat oszalał. Ostatecznie to pacjenci opanowali dom wariatów.

– No widzisz? Od tego nie da się uciec.

– I wcale nie chcę.

- Moim zdaniem tak to właśnie wygląda.
- Wiem, co robię – upierał się Cape.
- Aha, tak. Akurat.
- Myślisz pewnie, że ja też oszalałem.
- A co mam myśleć? Rzucasz wszystko, co osiągnąłeś, żeby tłuc się po całym kraju w poszukiwaniu... czego? Przygód? Doznań?
- Między innymi.
- Napotkasz tylko kłopoty. Albo rozczarowanie. Albo jedno i drugie. Nie jesteś już dzieciakiem, masz trzydzieści pięć lat.
- Trzydzieści pięć lat i marazm. Wegetacja. Stłamszenie.
- Niemożliwe, że jest aż tak źle.
- Dla ciebie ani dla większości ludzi nie. Ale dla mnie tak. Praca nudna, miłość w małżeństwie wygasła, w sobotę golf, raz w miesiącu poker, od czasu do czasu mecz baseballowy, parę doliców do przodu lub do tyłu na giełdzie i na Super Bowlu*, kilka piw z tymi samymi ludźmi w tych samych miejscach – tak właśnie wygląda moje dorosłe życie, Bernie. To jest jak małe, ciasne pudełko, pułapka z tylko jednym wyjściem, które wciąż kurczy się powoli, coraz bardziej z każdym dniem. A niestabilna sytuacja na świecie zacieśnia je jeszcze mocniej. Muszę się wydostać teraz, w tej chwili, dopóki mam jeszcze czas... zanim to wyjście całkiem się zacieśni. Prosta sprawa.

* Super Bowl – finał mistrzostw w futbolu amerykańskim.

- Prosta, a niech to – odparł Bernie. – I z czego będziesz żył?
- Z mojej połowy naszych oszczędności. Z pieniędzy z akcji firmy Emerson.
- Aż tyle chyba nie odłożyłeś.
- Na początek wystarczy.
- A co będzie, jak się pieniądze skończą?
- Poszukam pracy, a jak inaczej?
- Pewnie. Jest mnóstwo ofert dla byłych handlowców, ale wszędzie harówka za marną pensję.
- Nie mam zamiaru teraz się tym zamartwiać – odrzekł Cape. – Do diabła, może gdzieś po drodze poszczęści mi się w kartach albo na wyścigach konnych.
- Hazard? Rany, jak tylko ruszysz swoje fundusze...
- Spokojnie. Nie lubię dużego ryzyka, wiesz przecież.

- Tak mi się zdawało, aż do dzisiaj. Bo jak byś inaczej określił ten twój plan, jeśli nie podejmowaniem dużego ryzyka?
- Początkiem nowego życia – odparł Cape.
- Więc ty na serio chcesz to zrobić...
- Tak, na serio.
- W takim razie już nic więcej nie mogę dodać. Wpędzisz się do grobu.
- Możliwe. – Cape uśmiechnął się kącikiem ust. – Ale przynajmniej jeszcze przez chwilę sobie pożyję. Będę korzystał z życia jak nigdy

Właśnie rozmawiałam z Anną – oznajmiła Mary Lynn. – Mój dobry Boże, Matthew. Jak mogłeś zrobić coś tak podłego?

Cape nic nie odpowiadał.

- Bóg cię ukarze. Kiedyś odczujesz Jego gniew.
- Jest kara za grzech – wyrecytował monotonicznie.
- No właśnie.
- Wszyscy jesteśmy grzesznikami, Mary Lynn. Ty też.
- Tak, ale ja mam czyste sumienie.
- Jasne, że masz. Ani jednej nieczystej myśli, co?
- Cudzołóstwo to grzech śmiertelny – gromiła go. – Proś Boga o przebaczenie, bo inaczej będziesz się smażył w ogniu piekielnym...
- Tylko bez kazań – przerwał jej Cape. – Nie dzwonię do ciebie po to, żeby wysłuchiwać twoich biblijnych wywodów. Jeszcze trochę, a się rozłączę.
- Więc po co w ogóle dzwonicz? Nie jestem w stanie cię pocieszyć po tym, co zrobiłeś.
- Sam nie wiem – odparł.
- Nie wiesz? Nie wiesz, po co dzwonicz?
- No tak, to było do przewidzenia...

W tle wrzasnęło jakieś dziecko. Rozległy się płaczliwe głosy przedszkolaków. Jego siostra miała czworo dzieci, kolejne w drodze, i męża, który był przepracowany, uległy, o dojrzałości emocjonalnej na poziomie dziesięciolatka – jeszcze jedno dziecko pod jej opieką, w dodatku pilnie wymagające zabiegu usunięcia nasieniowodu. Mary Lynn miała trzydzieści dwa lata; wyglądała na czterdzieści pięć.

- Jesteś taki sam jak ojciec – stwierdziła.
- Powiedziałaś okropną rzecz.

– Bo to prawda. Jesteś tak samo niewierny, jak on. Jego picie i zdrady doprowadziły mamę do przedwczesnej śmierci.

– Gównu prawda.

– Matthew. Wiesz, że nie toleruję takich słów.

– Umarła na raka, nie przez ojca.

– Ale może żyłaby jeszcze, gdyby nie jego podłe uczynki.

– Niech ci będzie. Myśl sobie, co chcesz.

Westchnienie cierpiętnicy. – Gdzie teraz jesteś?

– U Berniego Klostermana. Tylko na tę noc.

– A potem dokąd pójdziesz?

– Nie wiem jeszcze.

– Idź do spowiedzi, a później do domu, do Anny. Tam jest twoje miejsce.

Powinieneś na kolanach błagać ją, żeby pozwoliła ci zostać.

– Mam błagać o przebaczenie Boga, Annę...?

– Tak.

– Ona nie pozwoli mi zostać, choćbym nie wiem jak się przed nią płaszczyl.

– Może jednak pozwoli.

– Mówiła ci to?

– No, niedosłownie...

– Anna skończyła ze mną. Tak czy owak, ja nie wracam.

– Matthew...

– Jutro wyjeżdżam – oznajmił Cape. – Wyjeżdżam z Rockford.

– Wyjeżdżasz z Rockford? Czyś ty postradał zmysły?

– Wręcz przeciwnie. Już postanowiłem.

– Mój Boże. Nie możesz tak po prostu sobie wyjechać.

– Dlaczego nie?

– Bo masz tu obowiązki: Annę, pracę, całą rodzinę...

– Zajmę się *swoimi* obowiązkami. Reszta nie ma znaczenia.

– Jak możesz tak mówić? A ja to co? A Ralph i nasze dzieci?

– Widuję was tylko w święta. Niewiele mamy ze sobą wspólnego, a nam dwojgu i tak prawie zawsze trudno się dogadać.

– To nieprawda.

– Prawda. Próbujesz narzucać mi wiarę, jak zresztą każdemu.

– Błędnie przeciw Bogu!

- Właśnie. Ten, kto nie myśli tak, jak ty, od razu jest zły i bezbożny.
 - Mówisz zupełnie jak nasz ojciec.
 - Nie zaczynaj znów o ojcu.
 - Masz w sobie diabła, Matthew, tak jak ojciec. Zadajesz się z ladacznkami, bluźnisz i popełniasz szatańskie czyny. Jeśli go nie odrzucisz i nie oddasz się opiece Wszechmogącego, skazany będziesz na wieczne potępienie...
- Cape przerwał jej łagodnie: – Żegnaj, Mary Lynn – i odłożył słuchawkę.

Zadzwoił na numer ojca w Vero Beach na Florydzie. Nagły odruch. Bernie wyszedł kupić coś do jedzenia, a Cape siedział w cichym mieszkaniu, gdy przypadkiem spojrzął na telefon. W następnej sekundzie stał już na nogach i wykręcał numer.

Jakiś obcy głos odezwał się w słuchawce, oznajmiając: „Party House” lekko bełkotliwym tonem. Śmiech, muzyka, donośne głosy rozległy się w tle na linii.

– Chcę rozmawiać z Samem Cape'em. Czy ja wybrałem właściwy numer?

- Oczywiście. Tu Sam's Party House. A pan to kto?
- Jego syn. Matt.
- Serio? Sam nigdy nie wspominał, że ma syna.
- Jeśli tam jest, proszę go zawołać.
- Chwileczkę.

Słuchawka rąbnęła o coś na drugim końcu linii. Odgłosy zabawy nasilały się i cichły, jak pulsujące fale. Ktoś krzyknął, ktoś inny zapiszczał, jakaś kobieta stwierdziła bezceremonialnie: „Ta cała Polly przynosi ujmę sztuce seksu oralnego”. Minęła minuta. Wreszcie ten sam męski głos odezwał się mu do ucha.

- Sam nie może teraz podejść do telefonu.
- Dlaczego nie?

Szczekliwy śmiech. – Chwilowa niedyspozycja. Przekazać coś?

- Nie. Nie trzeba.
- Chce pan, żeby oddzwonił?
- Nie trzeba – powtórzył Cape. – I tak nie mielibyśmy o czym gadać, do cholery. Jak zwykle zresztą.

3.

Urzędniczka w banku była pulchną kobietą w średnim wieku, z uśmiechem nieodłącznym jak zapach tanich perfum. Zerknęła na ekran komputera, zapisała coś starannie na kawałku kartki, postukała w klawisze i znów coś zanotowała. Przesunęła kartkę do Cape'a na jego stronę okienka.

– Proszę, panie Cape. Saldo na obu pańskich kontach.

Spojrzał na liczby. Rachunek bieżący: 1.678,24 dolary. Oszczędnościowy: 26.444,75 dolarów.

– Niech rachunek bieżący pozostanie bez zmian – oświadczył – tylko proszę usunąć z niego moje nazwisko.

– A oszczędnościowy?

– Proszę wypłacić trzysta tysięcy, a resztę zostawić. I też usunąć z niego moje nazwisko.

– Aha, a czy wolno spytać o powód...?

– Nie – rzucił Cape.

Zarumieniła się lekko pod wpływem jego rażącego spojrzenia i tej ostrej odpowiedzi. Spuściła wzrok wyraźnie niżej i utkwiała go w jego ustach i podbródku. – I gdzie chciałby pan ulokować te trzysta tysięcy?

– Proszę otworzyć nowy rachunek bieżący na moje nazwisko i wpłacić dziewięć tysięcy. Resztę pieniędzy poproszę w gotówce, sześćset dolarów w pięćdziesiątkach, czterysta w dwudziestkach.

– Oczywiście, proszę pana. A gdyby pan chciał otrzymać nową kartę do bankomatu...

– Nie będzie mi potrzebna. Mam karty kredytowe.

Zajęła się formularzami. Nie patrzyła na niego ani nie odzywała się, jakby już go tam nie było.

W firmie maklerskiej w centrum miasta Cape złożył zamówienie na sprzedaż swoich udziałów w kapitale akcyjnym Emerson Manufacturing, a wpływy miały zostać ulokowane na jego nowym rachunku bieżącym. Po odjęciu opłat transakcyjnych kwota wynosiła trochę ponad czterysta tysięcy dolarów.



Cape jeździł trzyletnim brązowym buickiem riviera z turbodoładowaniem, chromowanymi kołami i wszystkimi dodatkami. Wyruszał nim poza granice stanu tylko kilka razy, na krótkie wyjazdy służbowe; licznik wskazywał niespełna 47.000 kilometrów, a w środku i na zewnątrz auto wyglądało prawie jak nowe. Objeździł nim pół tuzina salonów, aż wreszcie wybrał samochód i warunki wymiany, które mu odpowiadały. Wyjeżdżając z salonu Hammerschlag Motors, którego hasło reklamowe głosiło: „Bezkonkurencyjne ceny w całym stanie Illinois”, siedział już za kierownicą żółto-czarnej korwety, rocznik 1991, sześciobiegowej, ze sporą ilością dodatkowego wyposażenia, a do tego z nowym, przezroczystym dachem. Licznik wskazywał prawie 93.000 kilometrów, a sprzedawca zapewniał, że auto miało tylko jednego właściciela. Cape nie wierzył w żadną z tych informacji, ale mimo to zdecydował się. Właśnie takiego auta zawsze pragnął.

Podczas jazdy próbnej wóz całkiem niezłe radził sobie na zakrętach i wirażach, biegi wchodziły łatwo, przyśpieszenie miał niezłe, żadnego brzęczenia, stukania czy innych ostrych dźwięków w silniku. A potem Cape wyjechał już na autostradę i rozwinął szybkość mniej więcej do stu czterdziestu na prostym odcinku o mniejszym ruchu. Auto sunęło doskonale.

On sam był prawie gotów do drogi.

Parafia świętego Wincentego znajdowała się w południowej części miasta, w okolicy, w której się wychował. Stara dzielnica, stary kościół: mury z ciemnego, gruboziarnistego piaskowca, dwie wieżyczki zwieńczone krzyżami z brązu, wolutowe, oblane mosiądzem drzwi wejściowe. Wewnątrz było chłodno, ciemno, cicho. I – z tego, co zauważył – tego popołudnia pusto.

Przeszedł powoli wzdłuż nawy głównej, wsunął się do jednej z ławek na przedzie. Siedział tam z rękoma na kolanach. Ukrzyżowany Chrystus spoglądał na niego z góry, ze ściany za ołtarzem. I Matka Boska, i dwunastu apostołów na Ostatniej Wieczerzy, i inne postacie biblijne z brązu i na podświetlanych witrażach.

Cape wpatrywał się w ołtarz; widział go przez chwilę, a potem jakby stracił go z oczu. Cisza zdawała się rozbrzmiewać słabo echem na wpeł przywołanych w pamięci głosów i słów. *Dominus vobiscum. Et cum spiritu tuo. Pater noster,*

cui es in caelis. Zdrowaś Maryjo, łaski pełna. Błogosławionaś Ty między niewiastami. Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. *Kyrie elejson*.

Długo siedział bez ruchu. Wreszcie rozbudził się w nim jakiś niepokój, który oderwał go od siebie samego. Odruchowo przeżegnał się, choć nie robił tego już od ponad dziesięciu lat. Mary Lynn byłaby zaskoczona. Pewnie przypisała by sobie całą zasługę za to, że tu przyszedł. Wstał, wyszedł z ławki.

Ktoś stał w cieniu przy nawie głównej i obserwował go.

Ksiądz. Młody, jak zauważył Cape, gdy tamten podszedł bliżej. Miał ciemne włosy, pyzată twarz, sutanna pozbawiała go kształtu. Uśmiechał się.

– Niech będzie pochwalony. Jestem ksiądz Zerbeck.

– Pochwalony, proszę księdza.

– My się chyba nie znamy. Pan należy do tej parafii?

– Należałem kiedyś, dawno temu. Wychowałem się tutaj, trzy przecznice stąd.

– Ma pan krewnych w tej okolicy?

– Już nie.

– A więc sprowadził się pan tu z powrotem?

– Nie.

– Bo ja, zdaje się, widziałem tu pana ostatnio...

– Raz czy dwa – przyznał Cape.

– Mogę spytać, dlaczego?

– To dobre miejsce, żeby posiedzieć i pomyśleć. Zajrzeć do swego wnętrza, podjąć decyzje.

– I tylko po to przyjeżdża pan do naszego kościoła?

– W każdym razie nie po to, żeby się modlić, proszę księdza.

– A szkoda – stwierdził ksiądz, ale wciąż się uśmiechał. – Ma pan, zdaje się, jakieś problemy. Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie. Wszystko już postanowione.

– Nie o to mi chodziło.

– Domyślam się, o co księdzu chodziło – odparł Cape.

– Gdyby chciał pan przystąpić do spowiedzi...

– Raczej nie. To by nic nie dało.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– Nigdy nie jest za późno, żeby zwrócić się do Boga o pomoc.

– Naprawdę?

- Czy pan... stracił wiarę?
- W rozumieniu księdza, chyba tak.
- A co sprawiło, że ją pan stracił?
- To już sprawa między Bogiem a mną.
- A więc wciąż pan w Niego wierzy?
- Wierzę w Niego, tak – zapewnił Cape. – Mam tylko wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście jest On tak łaskawy, jak nas uczono.
- Więc po co przychodzi pan do Jego domu?
- Mówiłem księdzu już: bo to dobre miejsce, żeby posiedzieć i pomyśleć.
- A próbował pan z Nim rozmawiać? On naprawdę słucha, wie pan...
- Ja już nie mam o czym rozmawiać.
- On pomoże panu się odnaleźć, jeśli tylko otworzy się pan na Niego.
- Ale ja wcale nie jestem zagubiony. Już nie.
- Czyżby? – spytał ksiądz.
- Niech więc ksiądz wierzy za nas obu – odrzekł mu Cape i wyszedł z chłodnego, cichego sanktuarium po raz ostatni.

O 16.15 jechał znowu autostradą.

Kierował się na południowy zachód, radio miał nastawione na program jazzowy z Chicago, szybko skreconą w dół, a wdzierające się do wnętrza auta gorące i parne powietrze uderzało go po twarzy.

Pierwszy przystanek? Nieważne, gdziekolwiek.

Podkręcił radio, nacisnął mocniej pedał gazu.

Dość już siedzenia w jednym miejscu.

4.

St. Louis.

Nashville.

Memphis.

Żadnej wyznaczonej trasy. Każdy nowy dzień to odkrycie. Autostrady, drogi i bezdroża. Wielkie miasta, małe miasteczka, wiejskie miejsciny, zakątki. Atrakcje turystyczne i malownicze widoki; smętne alejki i ulubione miejsca

południowców. Światowe życie, margines społeczny, ludzie za dnia i nocni włóczędzy. Dobrzy, brzydcy i źli. Chciał zasmakować wszystkiego.

Vicksburg.

Natchez.

W samym sercu Dixie¹. Ślady Południa, tego przed wojną secesyjną, w najstarszym cywilizowanym ośrodku miejskim nad rzeką Missisipi. Część rozrywkowa wzdłuż nabrzeża; gra w pokera o średnią stawkę w pokoju na zapleczu jakiejś tawerny, gdzie kiedyś mieściły się magazyn i hurtownia bawełny. Poker otwarty z pięcioma i siedmioma kartami. Pokera nauczył się w akademiku na Bali State i od tamtego czasu sporo grywał. Znał subtelności tej gry, ale szczęście zwykle mu nie dopisywało. Przesadna ostrożność, za mało uwagi czy koncentracji. Tu jednak okazało się, że Cape gra całkiem w innym stylu – obstawia agresywnie, śledzi karty, odczytuje wyraz twarzy i język ciała graczy, zmusza ich do pokazywania kart, wywiera na nich presję, co jakiś czas podnosi stawkę. Wyszedł osiem godzin później z sześciuset dolarami wygranej. I mądrzejszy o jedno doświadczenie.

Baton Rouge. Wciąż sunął na południe, prawie równoległe z rzeką, wijącą się jak kręta ścieżka do Zatoki Meksykańskiej.

Nowy Orlean.

Dzielnica francuska. Gutbucket jazz, hot i lowdown² w Preservation Hall i w mniejszych klubach. Uliczni muzycy grający na rogu przy Jackson Square. Dżambalaja³, pikantne raki i zwieńczone pianą kufle popularnego wśród Cajunów⁴ piwa. Tłumy, stare, walące się budynki, duch historii wyczuwalny w parnym powietrzu, podobnie jak mieszane zapachy pączków beignet⁵ i kiełbasy andouille⁶, śmieci, ludzi i Old Man River⁷.

¹ Popularne określenie południowych stanów Ameryki.

² Odmiany jazzu.

³ Duszona potrawa kreolska przyrządzana z ryb, owoców morza, drobiu, warzyw i ryżu lub makaronu.

⁴ Francuskojęzyczni mieszkańcy Luizjany i wybrzeży Zatoki Meksykańskiej.

⁵ Francuskie pączki z ciasta ptysiowego.

⁶ Mocno przyprawiona, wędzona francuska kiełbasa wieprzowa.

⁷ Potoczne określenie rzeki Missisipi.

Trzeciego dnia po południu Cape przechadzał się po względnie spokojnej części Dauphine Street. Przed nim szła kobieta po sześćdziesiątce, sama, z dużą, skórzaną torbą przerzuconą przez prawe ramię. Gdy kobieta mijiała jeden

z wysuniętych ozdobnych balkonów, ktoś wyskoczył z ciemnego zaułka i rzucił się do jej torby. Młodziak, nie więcej niż dwadzieścia lat, długie, przetłuszczone włosy, dziobata, lisia twarz. Kobieta stawiała opór. Uderzył ją w twarz, trysnęła krew, a wtedy on wyrwał jej torbę i biegiem rzucił się do ucieczki.

Cape ruszył za nim. Znieruchomiał w pierwszej chwili, ale zaraz popędził za tamtym. Chłopak przebiegł zygzakiem przez ulicę do przecznicy i wzdłuż następnej. Kilkoro innych ludzi widziało to zdarzenie; próbowali dołączyć do pościgu, krzyczeli, ale tylko Cape utrzymywał tempo. Młodziak skręcił gwałtownie w boczną alejkę, Cape za nim. W połowie drogi chłopak zatrzymał się nagle i odwrócił. W jego dłoni błysnęło cienkie ostrze noża.

Cape zwolnił, ale nie zatrzymał się ani nie zszedł mu z drogi. Sam instynkt nakazywał mu iść na wprost i nie cofać się nawet wtedy, gdy chłopak gwałtownie zamachnął się nożem. Cape odskoczył w prawo, unikając kolejnego ciosu, zbliżył się od lewej i odepchnął rękę trzymającą nóż. W tej samej chwili kopnął chłopaka prosto w krocze.

Chłopak upadł, jęcząc i zwijając się. Cape mocno nadepnął mu na nadgarstek i wgniał, aż zaciśnięte z bólu wokół noża palce rozwarły się. Kopnął nóż na bok. Wtedy rzucił się całym ciężarem ciała na chude ciało, chwycił młodziaka za gardło i trzymał tak długo, aż nadeszła pomoc.

Później jakiś gliniarz, który pojawił się na miejscu, zwrócił się do niego, mówiąc:

- Bardzo dzielnie się pan spisał, panie Cape.
- Nie zastanawiałem się nad tym, po prostu to zrobiłem.
- Ale wymagało to sporo odwagi.

Możliwe. Nawet nie wiedział, że stać go na odwagę.

Kolejne pouczające doświadczenie.

Shreveport.

Fort Smith, i do Oklahomy.

Tulsa.

W centrum miasta wczesnym wieczorem poznał kogoś, kto się nazywał Luther Babcock; sprzedawał pamiątki religijne. Miniaturowe Biblie w solidnych, mosiężnych okładkach, Biblie w klasycznym formacie, pokryte kryształem i wysadzane klejnotami krzyże, które świeciły w ciemności. Krucyfiksy zawierające „najprawdziwszą wodę leczniczą z najświętszego sanktuarium

świata” i opatrzone napisem „Lourdes, Francja”, wytłoczonym w liściu ze szczerego złota; krucyfiksy z pełnym tekstem modlitwy „Ojcze nasz” wypisanym miniaturowymi literkami oraz ze składanym szkiełkiem powiększającym pośrodku, żeby można było odczytać każde słowo. Natchnione książki, broszury i kasety wideo, naturalnej wielkości portret Jezusa na wyszywanym złotymi niemi aksamicie, religijna pozytywka, wygrywająca „Łaskę zadziwiającą” i jeszcze dwie inne pieśni, półprzezroczysta lampka nocna w kształcie Jezusa, wykonana z plastiku w kolorze kości słoniowej.

– To taka boska gra, młodzieńcze. Głosić Ewangelię na wiele drobnych, lecz znaczących sposobów wśród wszystkich samotnych grzeszników. Święty zawód, aniołowie prowadzą za rękę. Człowiek wzbogaca się duchowo, a jednocześnie napycha sobie portfel. O tak, proszę pana, my przynosimy zaszczyt Panu Bogu, a On w zamian przynosi zaszczyt nam...

Najwyraźniej Babcock był pijany, gdy mówił te słowa. Pięć minut później położył dłoń na udzie Cape'a i zaproponował, że zrobi mu łaskę.

Z powrotem na południe, przez Dallas, Austin, San Antonio.

Corpus Christi.

Przelotny romans w motelu z widokiem na Zatokę, z chudą, lecz atrakcyjną dwudziestokilkulatką o imieniu Kristin. Nalegała na bezpieczny seks. Cape zbudził się potem i zastał ją kompletnie ubraną, z jego portfelem w ręce. Opowiedziała mu łzawą historyjkę o tym, jak przed miesiącem straciła pracę, nie może znaleźć innej i pewnie nie będzie miała nawet na czynsz. Jasne, że było w tym tylko pół prawdy albo kompletnie wszystko skłamała, ale w jej ustach brzmiało to przekonująco.

Spytał: – Dlaczego nie poprosiłaś o forszę, zanim poszliśmy do łóżka? Może zapłaciłbym ci z góry.

- Mogę się oddawać, ale nie za pieniądze. Mowy nie ma.
- Wolisz kraść?
- Wolę kraść.
- Więc mogłabyś poprosić, żebym ci pożyczył. Choćby teraz.
- Mam pożyczać forszę? To przecież to samo, co jałmużna.
- A więc jałmużny nie weźmiesz?
- Nie, nie mam zwyczaju żebrać.

- Masz dziwne zasady.
- Możliwe – odparła – ale przynajmniej to *moje* zasady.

W portfelu było trochę ponad sto dolarów. Cape wyjął wszystko prócz dwóch dwudziestek i dziesiątki i włożył portfel z powrotem do kieszeni spodni.

– Idę do łazienki – oznajmił. – Porozmawiamy jeszcze, jak wrócę.

Gdy wyszedł pięć minut później, znalazł pusty portfel, a Kristin już nie było.

Brownsville.

Przez Rio Grande do Matamoros.

Jai alai* w miejscowym frontonie. Mecze zespołowe i indywidualne, zawodnicy występujący tylko pod imieniem. Szybka, bardzo szybka gra. Gracze skaczą jak najwyżej, odbijają się od ścian, by złapać małą pelotę z twardej gumy, powleczonej kozią skórą, w ręcznie robione drewniane kosze, i ciskają ją znowu o granitowy mur, nadając jej piekielną prędkość. Zakłady na tej samej zasadzie, co w wyścigach konnych: obstawiasz, wygrywasz, kasujesz; Daily Double**, Trifecta, Superfecta. Plus jeszcze inna „dwójka” zwana Quiniela, w której wybiera się dwóch zawodników lub dwie drużyny na pierwsze i drugie miejsce, bez względu na kolejność. Cape wziął ulotkę, obstawił kilka gier na minimalne kwoty. Wszystko przegrał, ale był bliski wygrania rundy Big Q, za którą dostałby równowartość dwustu pięćdziesięciu dolarów.

* Gra baskijska, w której piłkę (pelote) ciska się tak, by odbiła się od muru w sposób utrudniający przeciwnikowi jej przejęcie.

** Obstawianie zwycięzców dwóch kolejnych gonitw w wyścigach konnych.

Po jai alai spędził trochę czasu w podejrzanej dzielnicy nad rzeką. Wstęp wolny. Włączące się prostytutki, wśród nich sporo nastolatek; podbijane ceny za wstęp do klubów erotycznych i na walki kogutów. Starsza kobieta w czarnym szalu, o oczach martwych jak u zabalsamowanego nieboszczyka, zaofiarowała mu dowolnie wybrane narkotyki po niższej cenie. Wszystko to jeszcze przed zmierzchem. Przeszedł z powrotem na amerykański grunt, lecz to, co ujawniło się w ten gorący, usiany neonami teksańsko-meksykański wieczór w tamtejszej zakazanej dzielnicy, wcale nie było lepsze.

Nie dla niego. Zasmakować grzechu to jedno. Pławić się w nim to już całkiem inna rzecz.

*

Iznów na północ. Lubbock, Amarillo.

Na zachód do Nowego Meksyku, wzdłuż odcinka pozostałego po dawnej trasie Route 66*. Tucumcari, Santa Rosa, Albuquerque.

Kolejna partia pokera w zaszytym w głębi baru salonie. Słaby sekwens kart, którego nie zdołała przewyciężyć nawet agresywna gra. Trzysta dolarów w plecy w niespełna cztery godziny. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Santa Fe.

A potem do Arizony, przez Malowaną Pustynię** do Flagstaff.

Phoenix.

* Historyczna trasa, najstarsza droga łącząca Chicago i Los Angeles.

** Painted Desert – sfalowana przestrzeń piaszczystych wydm, mieniących się różnokolorowo w zależności od pory dnia.

Pokaz lotniczy na pustyni, dwupłaty i inne stare maszyny, widowiskowe spacery po skrzydłach oraz pełna gama akrobatyki lotniczej. W kolejce do stoiska z piwem nawiązał rozmowę z muskularną, opaloną na ciemny brąz kobietą, która okazała się spadochroniarką. Yvonne. Jeszcze przed zakończeniem pokazu zaprosiła go, by nazajutrz poleciał i skakał wraz z nią i jej znajomymi.

Przez całe swoje życie Cape cierpiał na lęk wysokości. Tylko dwa razy leciał samolotem, jako pasażer, oba loty nieuniknione w ramach delegacji i wywołujące odurzenia alkoholowego. Uśmiechnął się jednym kącikiem ust do Yvonne i odrzekł bez wahania: – Pewnie, czemu nie?

Wylecieli w południe, pięciu skoczków i pilot, dużym beechcraftem. Yvonne wyliczyła Cape'owi wszystkie „za” i „przeciw”: godzinny wykład na temat jego spadochronu. Spiał się trochę, gdy otworzyli drzwi. Ale mimo to radził sobie całkiem dobrze. Miał oczy otwarte w momencie skoku, powoli policzył do dziesięciu, nim pociągnął za linkę wyzwalającą, operował sznurkami tak, jak mu zalecono. Była to jedna wielka euforia, powodowana strachem i adrenaliną, może poza samym lądowaniem. Zeskoczył niezdarnie i trochę zbyt ciężko, odbił się, poturlał i na koniec nabił sobie parę sińców. Lecz mimo to inni nie przestawali mu gratulować. A Yvonne miała dla niego jeszcze coś innego, na całą noc i następny ranek. Jak mówiła – przez to skakanie staje się napalona jak diabli.

Cape spędził z nią tydzień. Skoczył na spadochronie jeszcze dwa razy, spadał dłużej i z jeszcze większej wysokości. Za trzecim razem stanął w otwartych drzwiach, wiatr wylął mu w uszach, a on spoglądał w dół, przez niemal

kilometrową próżnię, na szachownicę krajobrazu. Żadnego strachu przed skokiem i zaraz po skoku; euforia tylko na skutek adrenaliny. I tak po prostu przestał bać się wysokości.

Prescott.

Wielki Kanion i Zapora Hoovera.

Las Vegas.

Skwar, smog, rozległa pustynia, najdłuższe w całym kraju przestoje na światłach. Strip* nie zrobił na nim większego wrażenia. Blask, blichtr, kult pieniądza, lukrowane, bezsenne szaleństwo; ludzie roją się wszędzie niczym jasne, barwne mrówki na stercie podłużnych lizaków. Cape spędził parę minut w New York-New York,** wystarczająco długo, by przekonać się, jak to jest być w pałacu rozkoszy Vegas. Potem udał się do jednego z podrzędnych lokali ze striptizem w okolicy.

* W rejonie Strip grupują się większe kasyna Las Vegas.

** Kompleks hotelowy w Las Vegas z replikami znanych nowojorskich budowli.

Wysiedział tam dwadzieścia minut; zapłacił czterdzieści dolarów, żeby przekonać się, na czym polega taniec erotyczny nago wśród klientów. Po raz kolejny zakosztował zepsucia, które mu nie odpowiadało: ani ten klub, ani taniec. Poniżające dla kobiet, poniżające dla niego, jeśli nie dla innych dyszących, zlanych potem klientów płci męskiej.

Tamtej nocy dwóch facetów próbowało włamać się do korwety na parkingu przed motelem, w którym wynajął pokój. Uruchomili alarm i zanim Cape zdążył wyjść na zewnątrz, półprzytomny od snu, po włamywaczach zostały cienie, które rozplynęły się w głębokiej ciemności. Podważane łodem drzwi zostały tak uszkodzone, że nie domykały się szczelnie, lecz Cape nadal mógł zamykać je na klucz. I doszły zadrapania na lakierze, choć ledwo widoczne. Zresztą w chwili kupna korweta i tak nie była bez skazy.

Wyjechał z Vegas o świcie.

Vegas było krzykliwie zamaskowaną pułapką, ocukrzonym skrawkiem piekła, w środku wcale nie lepszym niż teksańsko-meksykańskie meliny. Wyjechać stamtąd oznaczało ucieczkę.

Dolina Śmierci.

Ją także niektórzy mogliby określić jako skrawek piekła, jednak Cape do nich nie należał. Wzbudzała raczej podziw. Surowy krajobraz, rozległe

brązowe, szare i białe jak sól pustkowie, nagie, poszarpane góry, wznoszące się dokoła. Osłepiający blask słońca, czarne jak atrament cienie. Tak nieme, że od tej ciszy bolały uszy. Stojąc i ogarniając wzrokiem widok z Zabriskie Point* albo z innego wysoko położonego miejsca w górach Grapevines i Panamints, nabiera się dystansu do wszystkiego. Człowiek uświadamia sobie wtedy, że w gruncie rzeczy niewiele znaczy, żywy czy martwy. I że dotyczy to wszystkich. Miejsce to bowiem istnieje całe miliony lat i że będzie tu trwało przez kolejne miliony lat po naszej śmierci. Świadomość ta jest na swój sposób pocieszająca.

* Szczyt górujący nad Doliną Śmierci.

Barstow.

Palm Springs.

Los Angeles.

Plażowy krajobraz przez jeden dzień. Niezbyt go to pociągało. Sztuczne, powierzchniowe, każdy odgrywa jakąś rolę – surfingowiec, plażowy tramp, seksbomba w bikini – niczym statyści w jakimś kiepskim filmie dla nastolatków.

Pozostała część LA to sparaliżowane korkami autostrady, miasteczka, a właściwie już nie miasteczka, tylko ruchliwe węzły komunikacyjne, smog tak gęsty, że niebo ma barwę żółto-brązową, a od oddychania boli gardło i płuca i blokują się zatoki.

Dwa dni w wymarzonej Kalifornii, a potem dalej w drogę.

Santa Barbara. Lepiej, choć wciąż za dużo wpływów LA.

Big Sur** przy autostradzie numer 1. Lepiej, o wiele lepiej. Powietrze, wybrzeże, Pacyfik – wszędzie czysto, pięknie, dziewiczo.

** 150-kilometrowy odcinek dzikiego, skalistego wybrzeża w Kalifornii.

Carmel. Monterey.

Potyczka w sali bilardowej z jakimś miejscowym, który próbował go ocynić. Na miejscu do niczego nie doszło, ale później, gdy Cape już wyszedł, ten miejscowy i jeden z jego kolesiów dopadli go na ulicy. Nie rozpętali nawet bijatyki; obaj byli zbyt pijani, by wyrządzić jakieś poważne szkody. Namolnie usiłowali jednak odebrać mu portfel, co doprowadziło go do pasji. Rozkwaśił kanciarzowi nos, drugiemu nadepnął na rękę, zostawił obu jęczących na ziemi

i odjechał, zanim ktokolwiek inny zdążył się pojawić. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, był konflikt z prawem.

Ta bójka nie dawała mu spokoju przez całą noc i następny dzień. Potęga jego gniewu, skłonność do przemocy – nie podobała mu się ta ciemna strona jego natury. Będzie musiał uważać, by trzymać ją na wodzy. Słabe to pocieszenie, bo jeśli zajdzie taka potrzeba i w trudnej sytuacji będzie zmuszony na niej polegać, ona tylko czekała, wzbierając całą swą gotowością i siłą.

San Francisco.

Tam właśnie poznał Tanyę i Boone'a Judsonów.

5.

Wpadł na nią w bogato udekorowanym holu hotelu Sir Francis Drake. Dosłownie wpadł. Wszedł do środka jakby nigdy nic; na marmurowej, wymalowanej przestrzeni tłoczno było od ludzi z plakietkami, ktoś się zagadał i nie chcący zaszedł mu drogę, Cape odsunął się gwałtownie w bok, chcąc uniknąć zderzenia, ale bez skutku. Odbili się od siebie nawzajem, choć niezbyt mocno. Ona uśmiechnęła się przepaszająco; on, wprawdzie z opóźnieniem, błyskawicznie obrzucił ją wzrokiem.

Przy tym pierwszym szybkim spojrzeniu zdawało mu się, że to Anna.

Ta sama wysokość, szczupła sylwetka. Włosy blond, krótko przycięte i zaczesane na bok nad czołem. Zapadnięte policzki, szerokie usta, zielone oczy. Zamrugał – nie, to nie Anna. Ta była młodsza, miała ciemniejszą karnację, oczy raczej piwne niż zielone, dłuższą szyję, a uszy bardziej przylegające do głowy. Podobieństwo – po tym, jak się jej dokładnie przyjrzał – było tylko powierzchowne.

Spojrzała na niego, gdy ją obserwował; ze zdziwienia przechyliła głowę na bok.

– Czy my się znamy? – spytała.

Cape odrzekł: – Nie. Przepraszam. – Po czym wyminął ją i jakoś przedarł się przez tłum do hotelowego baru. Bar był mały i zatłoczony po brzegi. Wycofał

się. Wtedy jego wzrok przykuł wiszący na ścianie szyld: POD GWIAZDZISTYM NIEBEM i dopiski: „Restauracja, dancing, koktajlbar”. Wstąpił do tego hotelu na drinka; nie miał zamiaru wychodzić i szukać innego miejsca. Pojechał więc windą na górę, do lokalu „Pod Gwiazdzistym Niebem”.

Duża, obszerna sala w takim samym renesansowym stylu jak hol, otoczona wysokimi oknami, które ukazywały rozległe widoki na miasto i Zatokę. Tu przynajmniej nie było tylu ludzi: jeszcze wczesna pora, dopiero co minęła czwarta. Cape znalazł wolny stolik, zamówił Jacka Danielsa z lodem. Większość dnia spędził, przechadzając się po North Beach, Chinatown i śródmieściu. Był zmęczony i bolał go kręgosłup. Pragnął odpoczynku tak bardzo jak drinka.

Siedział tam przez jakieś pięć minut, gdy weszła ta blondynka. Sama. Stała, rozejrzała się po sali, spostrzegła go, zatrzymała na nim wzrok, po czym rozglądała się dalej. Był jeszcze jakiś wolny stolik, przy oknie. Zajęła go. Oczy mężczyzny, w tym Cape'a, śledziły ją, gdy szła przez salę. Miała tę sylwetkę i postawę, która od razu przykuwa uwagę.

Cape sączył drinka i podziwiał panoramę miasta. Gdy się odwrócił, zauważył, że blondynka zerka w jego stronę. I znowu, już drugi raz. Za trzecim razem zaniechał oglądania widoku i skupił wzrok na niej. Spławiła dwóch facetów, którzy podeszli do jej stolika. Piła jakiegoś ciemnego drinka z kawałkiem owocu; na chwilę pochyliła się nad szklanką. A gdy uniosła głowę, znów przyglądała się Cape'owi.

Wstał, wziął drinka i ruszył do niej. Jej wyraz twarzy nie był zbyt zachęcający. Zdradzał chłód, wyniosłość.

– Czy my się znamy? – spytał.

Tego się nie spodziewała. Kąciki jej ust uniosły się. – Ja tylko patrzyłam.

– Mała zemsta za to, co zaszło na dole? Czy z jakiegoś innego powodu?

– To nie to, co pan myśli.

– A skąd pani wie, co ja myślę?

– Przecież jest pan mężczyzną, nie?

– Nie wszyscy mężczyźni są tacy sami.

– Z moich doświadczeń wynika, że tak. Nie szukam towarzystwa.

– Więc po co mierzyła mnie pani wzrokiem?

– Chyba dlatego, że pan przyglądał mi się w holu. Zaciekawilo mnie to.

Przypominam panu kogoś?

– Na pierwszy rzut oka. Moją przyszłą eks-małżonkę.

- Aha, rozumiem.
- Nie sądzę – odparł Cape.
- Uczucia wygasły? No cóż...
- Czy mógłbym się przysiąść?
- Mówiłam już, że nie szukam towarzystwa. Właściwie to czekam na kogoś.

- Mąż? Czy przyjaciel?
- Może wcale nie chodzi o mężczyznę.
- Sądząc po pani, założę się, że raczej tak.

Uśmiech wyraźniejszy tym razem. – Myślałam, że słyszałam już wszystkie komplementy. Ale ten jest niezły.

- Nie odpowiedziała mi pani na pytanie.
- Naprawdę na kogoś czekam.
- Jeśli na męża, to grzecznie sobie pójdę.
- Nie jestem mężatką – odparła.
- Więc na narzeczonego? Na kochanka?
- Na brata.

Cape czekał, unosząc pytająco jedną brew.

- No dobrze, proszę siadać – zgodziła się. – Zanim zjawi się tu Boone.

Usiadł. Blask popołudniowego słońca wdzierający się ukosem przez okna ukazywał złociste plamki w jej piwnych oczach. Miała kocie oczy o szczerym, jasnym spojrzeniu.

- Mam na imię Matt. Od Matthew.
- Matthew, a dalej?
- Cape*.

* C a p e (ang.) – przylądek.

Natychmiast, z udawaną powagą spytała: – Canaveral? Czy Dobrej Nadziei?

Nie było to zabawne, ale zaśmiał się.

- Tanya Judson – przedstawiła się.
- Ciekawe imię. Tanya.
- Rodzina mojej matki pochodziła z Białorusi. – Wypiła łyk drinka. – Ale ty chyba nie przyjechałeś tu na zjazd, Matt.

- Na zjazd? Jak mam to rozumieć?

– Chodzi o to – dodała – że nie nosisz plakietki. Przypuszczam więc, że nie bierzesz udziału w zjeździe.

- W jakim zjeździe?
 - Okrągłego Stołu Miliona Dolarów. To zrzeszenie doradców ubezpieczeniowych, którzy zwiększyli obroty o milion dolarów lub więcej.
 - To już na pewno nie ja. A ty? Przyjechałaś na zjazd?
 - I tak, i nie. Ja nie jestem doradcą, tylko Boone, mój brat.
 - A ty towarzyszysz mu na zjeździe?
 - Jego żona nie dostała urlopu. Poza tym tak się składa, że lubię San Francisco. Więc można chyba powiedzieć, że mu towarzyszę.
 - I bez problemu dostałaś urlop?
 - Jestem grafiką komputerową. Pracuję na zlecenia.
 - A do tego, jak mówiłaś, nie jesteś mężatką?
 - Byłam. Pierwszy, ostatni, jedyny raz.
 - Aż tak źle?
 - Fatalnie. I nie pytaj mnie, czy kogoś mam albo co myślę o krótkotrwałych związkach. Odpowiedzi i tak nie będą dotyczyć ciebie.
 - Więc dlaczego pozwoliłaś mi się przysiąść?
 - Bo szybko się nudzę. A ty sprawiasz wrażenie kogoś ciekawego, z kim można trochę porozmawiać...
 - Aha. Byleby ta rozmowa nie dotyczyła tematów osobistych.
 - A do tego jeszcze inteligentny. Kolejny punkt dla ciebie.
- Cape pogryzał kwaśny miąższ. – Więc gdzie mieszkacie, ty i brat?
- W San Diego. A ty?
 - Tymczasowo w motelu przy Lombard Street.
 - Chodzi mi o...
 - Pochodzę ze Środkowego Zachodu – wyjaśnił – ale już tam nie mieszkam. Właściwie nie mam stałego miejsca zamieszkania. Trochę tu, trochę tam.
 - Aha. Wędrowiec.
 - Raczej szosowiec. To lepiej oddaje sprawę.
 - Od jak dawna prowadzisz takie życie?
 - Od niedawna.
 - To pewnie masz sporo kasy. Albo ciągle zmieniasz pracę?
- Wzruszył ramionami.
- A może w wolnym czasie napadasz na banki?
 - To zbyt niebezpieczne.
 - Już wiem: jesteś zawodowym hazardzistą. Masz taki stalowy wzrok.

- Mylisz się. Ale chciałbym nim być.
- Dlaczego?
- Bo hazard to moje hobby.
- Serio? A często grywasz?
- Od czasu do czasu – odrzekł Cape.
- I jesteś na tyle dobry, żeby z tego wyżyć?
- Oj, chciałbym. Ale przegrywam tak często, jak wygrywam.
- A w co? Blackjack, ruletka?
- Przeważnie poker. To moja gra.

Tanya uśmiechnęła się. Nagle zachichotała.

- Co cię tak śmieszy?
- Wiesz, tak się składa, że... O, jest Boone. On ci pewnie wyjaśni.

Mężczyzna, który podszedł do stolika, był mniej więcej w tym samym wieku co Cape. Okrągła twarz, nieco pyzata, popielate włosy, rzadzące po bokach, zostawiały pośrodku podłużny wycinek przypominający wąski półwysep wysunięty na różowawe morze. Skromny ubiór: niebieski garnitur z plakietką uczestnika zjazdu przypiętą do kieszeni płaszcza, biała koszula, niebiesko-biały jedwabny krawat. Wcale niepodobny do Tanyi. Może jedynie uśmiech: promienny, ukazujący garnitur białych zębów.

– Przepraszam za spóźnienie, mała – rzucił do Tanyi. Jego szkliste, jasne oczy zmierzyły wzrokiem Cape'a, jakby przypatrywały się obco wyglądającej zawartości talerza zjedzeniem. – A kim jest twój znajomy?

Przedstawiła ich sobie nawzajem. – Matt nie uczestniczy w zjeździe – wyjaśniła.

– Sam się domyśliłem – odparł pogodnie Boone. – Nie nosi plakietki. Szczęściarz z ciebie, Matt, że nie musisz nosić tego cholernego plastiku!

- Pewnie tak. Szczęściarz ze mnie.
- Jesteś stąd? Czy przyjezdny, jak my?
- To szosowiec – oznajmiła Tanya.
- Kto taki?
- Jego domem są szerokie drogi.
- Aha, czyli wolny duch. Naprawdę uważam, że szczęściarz z ciebie, Matt. Sam chciałbym prowadzić takie życie, zamiast tkwić w rutynie od dziecięcej do piątej.

- Ale chyba nieźle sobie radzisz w tej rutynie.

– Nie narzekam, nie narzekam.
– Matt właśnie mi powiedział, że lubi hazard – wtrąciła Tanya.
– Naprawdę?
– Zgadnij, w co najbardziej lubi grywać.
– Czyżby w pokera?
– Właśnie: w pokera – odparła i tym razem Boone zaśmiał się razem z nią.

– Czy możecie mi wyjaśnić, na czym polega tutaj dowcip? – poprosił Cape.

– To wcale nie dowcip, tylko zabawny zbieg okoliczności. – Zimnymi opuszkami palców dotknęła wierzchu dłoni Cape'a. – Tak się składa, że mój kochany braciszek też ma bzika na punkcie pokera. I akurat dzisiaj organizuje pokerowy wieczór. Nie obsadziłeś jeszcze wszystkich graczy, prawda, Boone?

– Potrzebuję jeszcze jednego – odparł Boone. – Masz ochotę, Matt?

– To zależy. Gdzie i o której?

– W moim apartamencie w Conover Arms. To kilka przecznic stąd, przy Geary, bo tu, do Drake'a, nie mieliśmy szans. O dziewiątej.

– A jaki to będzie poker?

– Otwarty i dobierany. Jak najprościej: to moje motto.

– Z dzokerami?

Boone sprawiał wrażenie urażonego. – Mowy nie ma. Nie cierpię dzokerów.

– Ja też nie. A pula?

– Na stole. Pięć dolarów na wejście, limit dwadzieścia dolarów, bez limitu przy podbijaniu.

– Ilu graczy?

– Pełna siódemka, jeśli się przyłączysz.

– A ty? Też zagrasz? – zwrócił się Cape do Tanyi.

– Ja? Mój Boże, nie. Boone to jedyny hazardzista w naszej rodzinie.

– A szkoda.

– O tak, już wierzę, że żałujesz. – Jej uśmiech zdradzał udawane współczucie.

– Pozostali gracze to uczestnicy zjazdu, podobnie jak ja – wyjaśnił Boone. – Dyletanci, którzy połknęli bakcyła hazardu, można by rzec... – Przerwał, znów mierząc Cape'a swym szklistym wzrokiem. – Czysto przyjacielska gra.

- I żadnych tuzów.
- Oczywiście, żadnych tuzów.
- To mi odpowiada. Ja też wolę stąpać po pewnym gruncie.

Boone obdarzył go promiennym uśmiechem. – No to cóż, wchodzisz na ostatniego?

- Wchodzę.

6.

Dwupokojowy apartament Boone'a Judsona przy Conover Arms był raczej niewielki – miejsca w salonie starczało akurat na podłużny stół i osiem krzeseł, doniesionych przez obsługę hotelu. Oświetlenie było słabe: dwie lampy i okrągły żyrandol. Na stole – pojemnik na kółkach z czerwonymi, białymi i niebieskimi żetonami oraz cztery zapieczętowane talie niebieskich kart marki Bicycle. Na kredensie spora ilość mocnego trunku, lód, przekąski.

– Jednego tylko nam brakuje – stwierdził Boone ze swym promiennym uśmiechem. – Nagich panienek. Ale to już będziecie musieli załatwić sobie sami, panowie.

Wszyscy się roześmiali, łącznie z Cape'em. Na razie, tuż przed dziewiątą, było ich tylko pięciu; zwartą gromadką otoczyli kredens, czekając na dwóch pozostałych graczy. Z drinkami w dłoni gawędzili, nie mogąc się doczekać rozpoczęcia gry. Uczestnicy zjazdu pili szkocką lub bourbona, a Cape tylko napój gazowany z lodem. Mimo to zaakceptowali go. Wiedział, jak dogadać się z handlowcami; sam przez długi czas był jednym z nich i brał udział w wielu zjazdach. Trzeba zapamiętywać nazwiska i rodzinne miasta i często je wymieniać. Rzucić jakiś żart, witać się serdecznie, udawać zainteresowanie przy nudnych pogawędkach. I wplatać do rozmowy takie nazwy jak Emerson Manufacturing.

Dwaj ostatni doradcy ubezpieczeniowi wkroczyli razem dwadzieścia minut później i, niemal pewni swej wygranej, sypali wymówkami. Wszyscy zapoznali się, dolano drinki. Następnie zajęli losowo miejsca wokół stołu.

– Talie są nietknięte, panowie – oznajmił Boone. – Matt, dzisiaj ty pełnisz honory domu. Wybierz jedną i pozbaw ją dziewictwa.

Cape rozdarł celofan, zerwał pieczęć, wytrząsnął karty i wyjął dzokery. Energicznie przetasował talię siedem czy osiem razy, bo sklejały się jeszcze od świeżości. Rozdał każdemu po jednej karcie, figurami do góry. Scottowi z Cleveland trafiła się dwójka i zaczął z tego powodu narzekać; twierdził, że robienie za bankiera zakłóci mu koncentrację, nie zważając na to, że taki sam wpływ może wywołać sączony przez niego trunek. Był jednym z tych, którzy zjawili się później.

Wpisowe wynosiło pięćset. Cape obstał minimum. Większość pozostałych obstała po tysiącu, a Joe z St. Louis szastnął piętnastoma studolarowymi banknotami. Tylko ciężkie portfele liczyły się przy tym stole.

Gra rozpoczęła się powoli i raczej ostrożnie, jak to zwykle bywa wśród nieznamych, grających o większe pieniądze. Badali siebie nawzajem. Cape zwracał szczególną uwagę na danego gracza podczas każdej z pierwszych sześciu partii – na ich twarze, oczy, mowę ciała, sposób trzymania kart, moment licytacji, sumę i częstotliwość, oraz na to, czy i kiedy gracz spasuje. Mitch z East Rutherford wyglądał na najsilniejszego gracza. Scott z Cleveland i Charley z Seattle wykazywali niekonsekwencję i byli bardziej zainteresowani pićciem i rozmową, niż planowaniem swojej gry. Boone był najtrudniejszy do rozszyfrowania – swobodny, lecz nieprzewidywalny, niewiele pił, szybko pasował, gdy tylko nie miał właściwych kart do obstawienia gry, i podbijał stawkę tylko raz. Podstępny typ gracza, który tylko czeka i przebija stawkę.

Po czterdziestu minutach Cape wygrał niewielką pulę. Po kolejnych trzydziestu wygrał następną. I znów niedobre karty, passa, którą trzeba przeczekać. Tymczasem gra zdążyła już się rozkręcić – większe zakłady, dwie pule, z których każda wyniosła powyżej trzystu. Na razie wygrywali Mitch z East Rutherford oraz Boone, który zgarnął obie pule powyżej trzystu: królewski ful w partii rozdanej przez Charleya z Seattle, trójka asów po rozdaniu piątej karty przez Joe z St. Louis.

Cape przegrywał powoli, ale konsekwentnie. Jego pięćsetka z początkowej stawki przepadła po niespełna dwóch godzinach; kolejne pięćset poszło jeszcze szybciej. Scott z Cleveland, Charley z Seattle i Perry z Sarasoty stracili jeszcze więcej. Wygrywał Mitch z East Rutherford. No i Boone. Cztery czy pięć średnich pul i kolejna pokaźna stawka, z której Cape zrezygnował w trakcie licytacji.

Uznał, że trzy damy nie wystarczą, i nie mylił się. Boone miał kolor na asie pik przy małym stricie Charleya z Seattle.

– Boone – odezwał się Charley – szczęściarz z ciebie jak cholera. Nie dość, że masz za siostrę tak zabójczo piękną kobietę, jak Tanya, to jeszcze zgarniasz nam tu wszystkie największe pule.

Perry z Sarasoty dodał marzycielskim tonem: – Zgadzam się z jednym i drugim.

A Boone odparł z szerokim uśmiechem: – Do diaska, gdybym rzeczywiście miał takie szczęście, zgarniałbym każdą pulę i Tanya byłaby moją żoną, a nie siostrą.

Wszyscy oprócz Cape'a zaśmiali się.

Krótko przed północą Charley z Seattle wycofał się z gry. Był już zdrowo podchmielony i miał o ponad dwa tysiące czterysta mniej, z tego, co wyliczył Cape. Po czterdziestu minutach zostało ich już tylko pięciu; Perry z Sarasoty spłukał się na jakiś tysiąc dziewięćset gotówką. Mitch z East Rutherford zaczął powoli przegrywać, a Joe z St. Louis co nieco wygrywać. Scott z Cleveland miał na zmianę lepsze rozdania po słabszych, łykał szkocką i zrzędził przez cały czas; w grze utopił już cztery tysiące. Przegrana Cape'a wynosiła blisko tysiąca pięciuset. A Boone wciąż wygrywał największe.

Najwyższa pula tej nocy padła o wpół do drugiej, podczas partii siedmiokartowego pokera otwartego, gdy karty rozdawał Joe z St. Louis. Cape'owi przypadły dwa asy zakryte, para siódemek odkrytych i trzecia siódemka jako ostatnia zakryta karta. Mitch z East Rutherford miał odkryte trzy kiery i podbił zaraz stawkę po otrzymaniu ostatniej zakrytej karty – miał pewnie jeszcze w zanadrzu dwa kiery. Scott z Cleveland trzymał się jeszcze przez chwilę, prawdopodobnie na samej trójce. A Boone, jako ten czwarty, miał parę odkrytych czwórek i nic więcej.

Na przemian podbijali stawkę i za każdym razem Boone ją zawiązał. Scott z Cleveland odpadł. Mitch z East Rutherford przejawiał coraz mniej wiary w swoje kiery, aż w końcu też odpadł.

– Teraz tylko ty i ja, Matt – oznajmił pogodnie Boone. – Podbijam o kolejne dwadzieścia.

Cape też podbił, ale został przebity. – W porządku – rzekł. I wsunął swój ostatni biały żeton do puli. – Sprawdzam.

Boone odkrył dwie karty. – Cztery czwórki.

– Aha. Tak myślałem.

– Pula twoja, jeśli masz jeszcze w zanadrzu jakieś siódemki.
– Mam tylko słabszego fula. Pula jest twoja.
– Ju-hu! – Pulchna twarz Boone'a rozpromieniała szerokim uśmiechem, gdy zaczął zgarniać żetony. – Dziś naprawdę daję czadu. Takiego szczęścia w kartach nie miałem już od lat.

Cape złożył swoje karty na kupkę, podniósł je i udał, że chce je dołożyć do ułożonej w wachlarz zrzutki. Wtedy jednak odchylił się lekko do tyłu, uderzył łokciem o kant stołu, a karty wyslizgnęły mu się z dłoni na kolana i na podłogę. Mruknął, niby w złości na siebie samego: – A niech to szlag, nic mi dziś nie wychodzi – i odsunął się z krzesłem w tył.

Kiedy zgarbił się i pochylił, zrobił dwie rzeczy. As karo wciąż leżał na jego kolanie, więc schował go w lewej dłoni. Prawą podniósł jedną z siódemek i zgiął ją prawie na pół. – Cholera! – syknął, prostując plecy. – Patrzcie, co zrobiłem. – Rzucił zgiętą siódmkę na stół, a kilka sekund później dołożył pozostałe pięć kart do zrzutki. Spojrzeli na zniszczoną siódmkę; z ich twarzy można było wyczytać, iż nie spostrzegli, że brakuje asa.

– E, nie przejmuj się – odparł Boone. – Nic się nie stało. Mamy jeszcze jedną talię, zupełnie nietkniętą.

Cape zagrał dwie partie nowymi kartami i obie przegrał. Przy trzecim rozdaniu spasował na dwóch waletach i oznajmił: – Muszę się odlać. Następną partię zagrajcie beze mnie.

W łazience, przy zaryglowanych drzwiach, wyjął z kieszeni asa karo i przytrzymał przy jasnym, fluorescencyjnym świetle nad zlewem. Obejrzał przód, odwrócił, obejrzał tył. Następnie włożył kartę do portfela i wrócił do stołu.

Grali w pięciu jeszcze przez dziesięć minut, Cape pasował cały czas oprócz ostatniej partii. Miał akurat tyle żetonów, żeby raz obstawić i raz podbić stawkę o swoją parę królów. Ale gdy Boone przebił go, znów spasował. Przegrał dokładnie tysiąc siedemset.

– Mnie wystarczy już – oznajmił.

Po kilku sekundach Joe z St. Louis przegrał kolejną pulę z Boone'em. Ciśnął swoje karty z odrazą. – Ja też kończę. Coś mi dzisiaj nie idzie.

– Mnie też nie – przyznał Scott z Cleveland. – Chryste, przepieprzyłem chyba ze cztery tysiące.

– Jutro możesz je odzyskać – zapewnił Boone. – Moja dobra passa ma już swój koniec, a twój los na pewno się odwróci.

- Aha, pewnie. Jak żona się dowie, ile już przegrałem...
- Odzyskasz to i wcale się nie dowie, nie? – Boone spojrzął na Cape'a: – A ty, Matt? Chciałbyś jutro znów spróbować szczęścia?
- Zastanowię się jeszcze.
- Przemyśl to koniecznie. Jeśli się zdecydujesz, zadzwoń do mnie, to postaram się o krzesło dla ciebie. A jeśli nie... no cóż, miło mi było.
- Naprawdę?
- Jasne. Tak uważam, przynajmniej po tym razie. – Zaśmiał się. – Ale mówiąc na poważnie: mam nadzieję, że przyjdiesz. Bardzo chciałbym cię jeszcze zobaczyć.
- No to zobaczysz – zapewnił Cape. – Masz to jak w banku.

7.

Cape zastukał palcami w drzwi z numerem 407. Zrobił to niezbyt głośno – jego zegarek wskazywał prawie trzecią nad ranem – ale miarowo, powolnym, rytmicznym staccato. Nie minęła minuta, gdy usłyszał niepewny głos.

- Kto tam?
- Ochrona hotelu – odrzekł, zmieniając jednak własny głos. Przez chwilę nie było odpowiedzi. A potem: – Jest środek nocy.

O co chodzi?

- O środki bezpieczeństwa. Proszę otworzyć drzwi.
- Nie otworzę, dopóki się nie dowiem, o co chodzi.
- To sprawa osobista, panno Judson. Inaczej będę zmuszony użyć mojego własnego klucza. Albo wezwać policję.

Po tych słowach nie miała wyboru. Zazgrzytał łańcuch, odsunęła zasuwę.

Gdy tylko drzwi uchyliły się, Cape przyparł je ramieniem i pchnął. Cofnęła się, straciła równowagę, zakłęta. Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Och, ty – syknęła, cedząc słowa na widok znajomej twarzy. – Ty sukiny-synu, co to ma znaczyć?

Pokój był obszerny, jednoosobowy, z niskim przedpokojem. Lampka nocna zapalona, telewizor włączony i przyciszony. Leciał akurat jakiś film z idiotyczną muzyką, jakaś kobieta płakała na ekranie. Tanya miała na sobie jedwabny, żółtozielony szlafrok do kolan, wycięty wokół szyi. Bez makijażu i z potarganymi blond włosami wyglądała na mniej więcej dziewiętnaście lat.

Cofnęła się do łóżka, mówiąc: – Spróbuj tylko się zbliżyć, a będę krzyczeć na całe gardło. Nie zdążysz nawet rozpiąć rozporka, a tym bardziej wyjąć swojego...

- Nie schlebiaj sobie. Nie po to przyszedłem.
- Więc po co, do cholery?
- Po moje tysiąc siedemset dolarów.
- Co takiego?
- Słyszałaś przecież. Dokładnie tyle dziś przegrałem. A ściślej mówiąc: właśnie na taką sumę okradliście mnie dziś z Boone'em.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.
- Już ty dobrze wiesz. Karciany szwindel, i tyle!
- Jaki szwindel? O co ci chodzi?
- On – optymistyczny strateg, ty – seksowna przynęta i spec od manipulacji. Pan od ubezpieczeń i pani artystka grafik, niech was szlag. Para grasujących na zjeździe kanciarzy.

- Chyba ci odbiło. Albo się czegoś naćpałeś.
- Jestem pewien, że policja będzie innego zdania.

Niezmienny wyraz twarzy. Niewzruszona mina, wyćwiczona, jak u Boone'a. Dobrze znała tę grę; zaprawiona w boju weteranka, mimo tych swoich dwudziestu pięciu lat.

- Skoro uważasz, że cię oszukano, to dlaczego nie zawiadomiłeś policji?
- Zawracanie głowy. Nie mam na to czasu.
- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że cię poszukują?
- Nie, bo to nieprawda.
- A rozmawiałeś o tym z Boone'em i z innymi graczami?
- Nie. Z tego samego powodu, dla którego nie zgłosiłem się do ochrony hotelu ani na policję. Moja wolność liczy się dla mnie bardziej niż wsadzenie dwojga doborowych naciągaczy.

- Więc po co tu przyszedłeś? Pewnie nocny portier powiedział ci, gdzie mnie znaleźć.

- Boy hotelowy. Uważa, że nieźła z ciebie laska.

- Do diabła z nim. Gdzie Boone? O Boże, ty chyba nic mu nie zrobiłeś?
- Jeszcze nie. Teraz pewnie liczy łupy.
- A więc chcesz tylko odzyskać swoją forszę, tak?
- Właśnie.
- I co jeszcze?
- Nic więcej, przynajmniej jeśli chodzi o mnie – odparł Cape. – Ale pozostałych pięć ofiar ma odzyskać swoją; to druga część umowy.
- Jakiej umowy?
- Żebym trzymał gębę na kłódkę i odpuścił wam obojgu.
- A więc wszyscy oprócz Boone'a przegrali? Do tego zmierzasz?
- Kilku z nich przegrało z kretešem.
- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że was oszukał. Mój brat to uczciwy człowiek, nie masz przeciwko niemu żadnych dowodów.
- Tak sądzisz?
- Wiem, jak grywa w pokera. Nowymi, zapieczętowanymi kartami, rozdaje kolejno każdy gracz. Jakim cudem udałoby mu się orznąć sześciu facetów w takiej grze?

– Karty były znaczone – oznajmił Cape.

– W zapieczętowanych taliach? To niemożliwe.

Wyjął z portfela asa karo i pokazał jej. – Zwinąłem go ze świeżo rozpieczętowanej talii. Znaczona, niestety! Sprawdziłem, żeby się upewnić. To się nazywa gra cieni, prawda?

Patrzyła z otwartymi ustami.

– Przekonajmy się, czy prawidłowo rozpracowałem tę sztuczkę – ciągnął Cape. – A więc kupuje się kilka talii kart Bicycle, jednej z najbardziej powszechnych marek. Niebieskie lub czerwone, bez różnicy. Otwiera się celofanowe opakowanie wzdłuż spodu pudełka, uważając, by nie uszkodzić naklejki z nazwą producenta na wierzchu. Wysuwa się pudełko, zyletką rozdziela sklejoną brzegi po boku. Następnie rozjaśnia się niebieską lub czerwoną farbę anilinową alkoholem aż do uzyskania możliwie najjaśniejszego odcienia, powleka się każdą kartę na odwrocie, czerwonym lub niebieskim, przy pomocy pędzla z wielbłądziego włosia – zabarwiając lekko biel w różnych miejscach tak, aby cień był widoczny dla tego, kto ma go zobaczyć. No i jak? Zgadza się?

Tanya wciąż wpatrywała się w niego bez słowa. Kamienna twarz straciła już nieco ze swej obojętności.

– A gdy już wszystkie karty zostały naznaczone, wkłada się je z powrotem do pudełka i skleja brzegi klejem kauczukowym. Pudełko wsuwa się do celofanu, spód opakowania składa się na tych samych zagięciach i pieczętuje przy pomocy kropelki kleju. Przy dobrej robocie nikt nawet nie zauważy, że opakowanie jest naruszone. Na początku gry trzeba tylko dopilnować, żeby ofiara otworzyła talię znaczonych kart. I żeby oświetlenie było słabe, bo wtedy nikt inny prócz oszusta nie dostrzeże cieni.

– Jezu – westchnęła. – Jak ci się to udało...?

– Mówiłem ci już w hotelu Drake, że zawsze interesowałem mnie hazard. A poza tym dużo czytam.

Przysiadła na łóżku tuż przy stoliku nocnym. – Pozwolisz, że zapalę papierosa? – I nie czekając na odpowiedź, sięgnęła ręką do szuflady.

Cape pięcioma długimi, szybkimi krokami przemierzył pokój. Chwycił ją za nadgarstek, gdy tylko wyjęła rękę z szuflady, i wykręcił, sprawiając, że krzyknęła i rozluźniła palce. Wyszarpnął jej spluwę i cofnął się szybko przed kopniakiem, jaki chciała mu wymierzyć.

– Ty sukinsynu!

– Już to słyszałem. Wymyśl coś innego.

Masowała nadgarstek, dysząc przez chwilę. – Nie dam ci tej satysfakcji.

Cape spojrzął na broń. Płaski, lekki automat wielkości zabawki. Był odbezpieczony, więc zablokował go i spróbował otworzyć magazynek. Pięć nabo-
jów, całkowicie nabity. Przekłęta, śmiertcionośna zabaweczka.

Zanim wsunął go do kieszeni swojej kurtki, zapytał: – I co chciałaś zrobić? Zastrzelić mnie jak jakiegoś napastnika?

– Nie.

– A więc zastraszyć mnie?

– Chyba tak.

– To by nie zadziało.

Tanya wzruszyła ramionami, patrząc na niego spod przymrużonych powiek. Siedziała na krawędzi łóżka, kolana trzymała razem, a poły szlafroka zakrywały jej uda. Nagle odsunęła się lekko w tył i rozchyliła nogi tak, że szlafrok opadł. Pod spodem była naga. Powoli uniosła jedną nogę i założyła ją na drugą. Zupełnie jak Sharon Stone w słynnej scenie z „Nagiego instynktu”.

Posłał jej wymuszony uśmiech. – To też nie zadziało.

- Nie rozumiem...
 - Najpierw próbujesz blefem, potem spluwą, a teraz seksem. Mnie to nie interesuje.
 - Myślę, że jednak by cię zainteresowało.
 - Przedtem chyba tak. Ale teraz już nie.
- Jej piwne oczy badały go wzrokiem. Znow wzduszyła ramionami i zaciągnęła poły szlafroka na nogi.
- No i co teraz? – spytała.
 - Teraz zaczekamy.
 - Na co?
 - Aż zjawi się Boone.
 - A skąd wiesz, że on tu przyjdzie?
 - Mam przecucie. To samo, które podpowiada mi, że on wcale nie jest twoim bratem.

W zamku zazgrzytał klucz. Była za kwadrans czwarta. Cape siedział przygarbiony na fotelu z boku niskiego przedpokoju tak, że od strony drzwi wejściowych był niewidoczny. Tanya siedziała na łóżku, oparta o poduszki, jak gdyby była sama.

Wszedł Boone. Na jej widok odezwał się: – Dobrze, że jeszcze nie śpisz. Poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy, prawie szesnaście tysięcy...

- Z których tysiąc siedemset należy do mnie – wtrącił Cape.

Boone, który minął w tym momencie wykończone łukiem drzwi, niosąc niewielką, czarną torbę podobną do tych, jakie noszą lekarze, stanął nagle, jakby tuż przed nim wyrosła ściana. Pokręcił nerwowo głową, lekko wybałuszył oczy. Uśmiech zniknął mu z twarzy i trudno raczej było go przywrócić.

– Matt – rzekł. – Jezu, aleś mi napędził stracha. – Spojrzał na Tanyę, po czym znow przeniósł wzrok na Cape'a. – Co ty tu właściwie robisz?

- Rozpracował twoją sztuczkę – oznajmiła Tanya.

Tym razem uśmiech na jego twarzy całkowicie przygasł. Okrągłe, rumiane policzki Boone'a zaczęły blednąć, pozostawiając plamy bieli niczym plasty białego sera. – Jaką sztuczkę? – spytał. – Słuchaj, nie wiem, co ty sobie...

– Gra cieni – przerwał mu Cape. – I nie próbuj blefować. Jej też się nie udało.

Chwila ciszy. A potem Boone wyprostował ramiona i wyciągnął się w górę – mały człowieczek, który usiłował znów udawać wielkiego.

- No, dobrze. Ale nie widzę tu gliniarzy, więc czego chcesz?
- On chce forszę – odparła Tanya.
- Jasne, nie ma sprawy. Ile przegrałeś, Matt?
- On chce *wszystko*. Żeby oddać pozostałym.
- O, nie – zaprotestował Boone.
- Tak – rzekł Cape. – Połóż torbę tam, na stole.

Ale Boone ścisnął ją jeszcze mocniej. Nie odwracając głowy zawołał: – Tanya!

- Nie mam spluwy. Zabrał mi.
- A niech to szlag!
- Torba na stół – powtórzył Cape.
- Nic nie kapujesz. Te pieniądze... są nam potrzebne. Odpalimy ci część, no, powiedzmy: pięć tysięcy, ale resztę musimy zatrzymać.

- Po co?
- Potrzebny nam kapitał na wejście.
- Na co? Na kolejny szwindel?
- Pojutrze musimy być już w Tahoe...
- Przymknij się, Boone – rzuciła Tanya.
- Sześć tysięcy – oznajmił Boone Cape'owi. – Na więcej nas nie stać.
- Torba na stół.
- Nie, Matt, posłuchaj tylko...

Cape wyjął z kieszeni mały automat. – Ostatni raz. Torba na stół.

Wreszcie Boone uległ. Zrobił parę kroków w bok i cisnął torbę o stół tak mocno, że otworzyła się niczym rozdziawione usta. On sam nie przypominał już tego grzecznego, pyzatego młodzieńca; był teraz zawstydzony, bezwzględny, napęczniały od zepsucia. Jak wrzód, który lada chwila pęknie.

– Nie ujdzie ci to na sucho – syknął przez zęby. – To moja forsa, do cholery!

- To *nasza* forsa, do cholery – poprawiła go zaciekle Tanya.
- Spróbuj tylko ją zabrać, a pożałujesz, Matt. Daję słowo.

Cape wstał. – Rusz się i siądź na łóżku obok swojej żony czy narzeczonej, kimkolwiek ona jest.

– Myślisz, że wyszłabym za niego? – odezwała się Tanya. – Za takiego nędznego gada?

– Teraz ty się zamknij, Tanya, do kurwy nędzy! To wszystko twoja wina. Po coś go tu wpuściła? Dlaczego pozwoliłaś mu zabrać spluwę?

Ale ona patrzyła tylko na niego, uśmiechając się słabo.

– Powiniennem skrócić ci kark – dodał.

– Więc zrób to i przekonaj się, co ci z tego przyjdzie.

– Na łóżko – nakazał ponownie Cape, wskazując automatem. – Rusz się.

Patrząc gniewnie, Boone zrobił kilka kroków i usiadł z dala od kobiety. Cape podniósł czarną torbę. – Na twoim miejscu nawet nie próbowałbym ustawiać jutro następnej gry. Zresztą nie będzie mnie już w San Francisco. A słowo rozejdzie się po tym, jak oddam tę forszę.

– Idź do diabła.

– Jasne, czemu nie? Może kiedyś wszyscy troje rozegramy partyjkę pokera z samym szatanem...

I Boone, i Tanya mieli na to odpowiedź, krzyczeli wściekle jedno przez drugie, ale Cape i tak nie zwracał na nich uwagi. Właśnie wychodził stamtąd z torbą w ręce.

8.

Cape upewnił się, że rolety są szczelnie zaciągnięte, i dopiero wtedy otworzył torbę na łóżku w motelowym pokoju. Pliki pomiętych zielonych banknotów, więcej niż dziesięć, wszystkie obwiązane luźno gumkami. I jeszcze coś: szara koperta, z tych większych, płaska, zamknięta, choć nie zaklejona.

Najpierw pieniądze. Sześć plików setek, trzy pięćdziesiątek, dwa grubsze dwudziestek i jeden dziesięcio-, pięcio- i jednodolarówek. Wertując palcem, przeliczył banknoty, nie zdejmując gumek. Osiemnaście tysięcy i trochę drobnych. Wygrana tej nocy wyniosła około szesnastu tysięcy, według obliczeń Cape'a i słów Boone'a w chwili jego wejścia do pokoju Tanyi. A więc pozostałe dwa tysiące należały do tych dwojga oszustów – forsa na wejście, dzięki której mieli zgromadzić jeszcze więcej.

Włożył gotówkę z powrotem do torby i otworzył szarą kopertę. Zdjęcia. Cztery, dużego formatu, na błyszczącym papierze. Dwa z nich, zrobione z ukrycia, przedstawiały tę samą kobietę z dość bliskiej odległości; kąć ujęcia

i wyraz jej twarzy wskazywały na to, iż nie wiedziała o tym, że jest fotografowana. Zgrabna, o dużych oczach, miała jasne włosy, długie na tyle, by pieszczotliwie muskać nimi krągłość jej piersi, widać też było pieprzyk u kącika wydatnych ust. Na jednym ze zdjęć ubrana była w drogi, kremowy kostium i wsiadała do srebrnego BMW. Na drugim miała na sobie letnią, bladożółtą sukienkę i stała przed fioletowo-złocistymi drzwiami jakiegoś kompleksu hotelowo-rozrywkowego. W tle widniała tylko część jego nazwy: wyrazy LAK i GRAND.

Pozostałe dwa zdjęcia przedstawiały wykonane w atelier portrety mężczyzn. Jeden z nich: wiek powyżej sześćdziesiątki, na oko dystyngowany, z sumiastym siwym wąsem i falistymi siwymi włosami. Drugi: wiek około czterdziestki, o śniadej karnacji, kręconych, czarnych włosach, przystojny w swej elegancji i surowości, z oczyma niczym kostki czarnego lodu.

Cape obejrzał zdjęcia na odwrocie. Żadnych podpisów. Jeszcze raz przeszukał kopertę, dokładnie przejrzał torbę od wewnątrz i z wierzchu. Nic. Wsunął więc zdjęcia do środka razem z pieniędzmi i położył torbę na stoliku nocnym.

Elektroniczny budzik wyświetlał 5:10, gdy Cape wreszcie wsunął się do łóżka.

Zbudziły go brzask świtu i miejski hałas. Dziewiąta piętnaście. Cztery godziny snu, jednak więcej nie potrzebował. Odpoczynek to strata czasu; sen każdej nocy oznacza jeszcze jedno nie odwiedzone miejsce, jeszcze jedną nie wykonaną czynność.

Zanim wyszedł z pokoju, zawinął mały automat Tanyi w plastikowy worek do ubrań, który znalazł w szafie. Na zewnątrz poszukał motelowego śmietnika i wrzucił do niego worek. Torbę zaś zatrzasnął w bagażniku korwety.

Zjadł śniadanie w pobliskiej kawiarence. Potem krążył po okolicy, dopóki nie znalazł większego sklepu sieci handlowej ze stoiskiem z artykułami biurowymi. Tam kupił pięć samoprzylepnych, usztywnionych kopert oraz czarny flamaster.

Gdy wrócił do pokoju, usiadł nad kilkoma arkuszami motelowej papeterii i wyteżył pamięć. Nazwiska, twarze, numery – to specjalność handlowca. Przez lata wykształcił niemal absolutną pamięć we wszystkich trzech kategoriach. Niedługo zajęło mu wyliczenie i ustalenie sum pieniędzy przegranych przez pozostałe ofiary gry wczoraj wieczorem. Zaczął od wstępnych kwot.

Następnie podzielił przez sześć te dwa tysiące, które wcześniej należały do Boone'a i Tanyi, a wyniki dodał do poszczególnych sum. W ten sposób miał pewność, że każdy, łącznie z nim, nie tylko dostanie z powrotem swoje pieniądze, ale i drobne odszkodowanie za cały ten kłopot.

Kiedy już wyliczył wszystko, otworzył torbę i podzielił pieniądze na sześć plików. Swoją działkę wepchnął do portfela, a pozostałe powkładał w koperty. Zastanawiał się, czy nie załączyć jakiejś krótkiej wiadomości, ale wówczas musiałby napisać ją pięć razy – za dużo zachodu. A w ogóle – po co? Ci bardziej bystrzy sami się zorientują, nawet jeśli nigdy nie dowiedzą się, kto zrobił im ten dobry uczynek. A innym będzie wszystko jedno. Uznają, że to jak darmowa przejażdżka na darowanym koniu.

Flamastrem wykaligrafował ich imiona i nazwiska na kopertach, zakleił je. Po piętnastu minutach wymeldował się z motelu i ponownie ruszył do centrum miasta.

Recepjonista w Conover Arms poinformował go: – Państwa Judson już u nas nie ma; wymeldowali się dzisiaj wcześniej rano. Przykro mi, ale nie mogę podać żadnego ich adresu.

– Nie szkodzi – odparł Cape. – I tak wiem, dokąd jadą.

Trzej z pięciu doradców ubezpieczeniowych mieszkali w hotelu Sir Francis Drake. To najpierw im Cape dostarczył pieniądze z prośbą, aby koperty przechowane zostały w hotelowym sejfie do czasu, aż zostaną odebrane przez adresatów. Recepjonista nie zadawał żadnych pytań. Podobnie jak ten w pobliskim Hiltonie, kolejnym miejscu pobytu uczestników zjazdu, gdzie zameldowani byli dwaj pozostali oszukani gracze.

Po skończeniu swej misji odebrał z parkingu korwetę, a od parkingowego dostał namiary, jak ruszyć na Bay Bridge. Pół godziny później był już po drugiej stronie zatoki, na międzystanowej osiemdziesiątce, i kierował się na wschód.

High Sierra.

Autostrada numer 50, długi, stromy zjazd z Echo Summit.

Cape zjechał do punktu widokowego, wysiadł i stanął, mrużąc oczy od chłodnego, górskiego wiatru. Pod nim rozciągała się kotlina jeziora Tahoe, a

fragment samego jeziora był jedynie jasnoniebieską plamką w oddali. Do tego obrysowane bielą szczyty, rozległe połacie zieleni, masywne urwiska i skarpy nagich skał. Surowe piękno krajobrazu, dzikie pustkowie. Dalej, na północ, gdzie międzystanowa osiemdziesiątka wspina się na góry Sierras wstęgą asfaltowej szosy aż do Reno, znajduje się Emigration Gap – miejsce, gdzie utknęła i pomarła ekipa Donnera*, a ci, którzy ocalili, przez krótki czas posilali się ciałami trupów.

* Grupa osadników amerykańskich, która w latach 40-tych XIX wieku pod wodzą George'a Donnera wyruszyła z Illinois do Kalifornii, jednak po drodze, w Sierra Nevada, większość z nich zginęła pod zwałami śniegu, który też zablokował przejście. Ocaleni uciekali się do aktów kanibalizmu. Na pamiątkę tego wydarzenia w Kalifornii powstał Donner Memorial State Park – miejsce pamięci narodowej.

Tuż za Cape'em rozlegał się jednostajny warkot aut i ciężarówek sunących nieprzerwanym ciągiem. On zaś stał tak przez dość długą chwilę, kuląc się przed silnym porywem wiatru i kontemplując rozległe widoki.

Tu, na górze, pozostawiwszy cywilizację za sobą w tyle, odnosi się wrażenie, że człowieczeństwu nic już nie zagraża.

A tam, na dole, wśród wędrujących tłumów, gdzie nie sposób odróżnić słabych od silnych, drapieżców od ofiar, trzeba być piekielnie ostrożnym, żeby samemu nie stać się kanibalem.

9.

Jezioro Tahoe.

Ogromne, roziskrzone słońcem, spokojne. Otoczone dookoła górami, o rozległych brzegach, ocienionych niebieskawą mgłą. Łodzie i statki wycieczkowe pełzają po jego tafli jak gąsienice.

A dalej South Lake Tahoe.

Trudno nazwać to miastem. Większa jego część ciągnie się wzdłuż promenady Lake Tahoe Boulevard, równoległe do brzegu jeziora. Sklepy, pawilony, kapliczki, w których udziela się szybkich ślubów, centra handlowe w kurortach zimowych i letnich, nowa, duża kolejka górską, dowożąca na najbliższą górę. A na długości półtora kilometra przy wschodnim krańcu powstało miasteczko hazardu z szeregiem moteli o niewygórowanych cenach, ciągnących się

wzdłuż drogi, gdzie oferowano usługi specjalnie dla hazardzistów.

Stateline.

Po stronie Nevady krótki szereg wysokich hoteli z kasynami. Harrah's, Harvey's, Horizon, Bill's, Caesar's Tahoe, Lakeside Grand. Gigantyczne tablice promujące rozrywkę, tanim sposobem, nieustanne życie na gorąco – zwyczajna propaganda. Takie małe Las Vegas dla ubogich. Miejsce przelotnej wizyty, skąd czym prędzej należy uciekać.

Cape znalazł wolne miejsce na parkingu za hotelem Lakeside Grand. Zgadzając się: właśnie to boczne wejście do budynku widniało na tamtej fotografii. Przeszedł do fioletowo-złotego holu, wokół którego mieściły się butiki i sklepy z pamiątkami. Przemknął na drugą stronę i wszedł do kasyna. Lustra na ścianach i suficie, jak zwykle – rzędy oświetlonych neonami elektronicznych automatów i stołów do gier nadzorowanych przez osoby ubrane na fioletowo i złoto. Przy automatach i miejscach do blackjacka panował przedwieczorny ruch, a przy stołach do gry w kości, ruletkę i bakarata było raczej spokojnie. Prawdziwi hazardziści, jak wampiry, wychodzą ze swej kryjówki dopiero nocą.

Przechadzając się po kasynie, pokazał fotografie z koperty kobiecie w stoisku do rozmienniania żetonów i pieniędzy, jakiemuś zaspanemu krupierowi i równie znudzonemu operatorowi automatów. Potrząsali głową i zaprzeczali. Wszedł do baru po przeciwnej stronie. Barman w fioletowej koszuli odrzekł: – Nie mogę panu pomóc. Chyba że ma pan ochotę na drinka.

Na drinka miał akurat wielką ochotę, ale musiał się wstrzymać. Wyszedł ze zdjęciami do holu. Właśnie nadjechała grupa turystów i wszyscy recepcjoniści byli zajęci. Cape przeszedł po gęstym jak świeża murawa dywanem w stronę sklepów. Biżuteria, dzieła sztuki, azjatyckie starocie, odzież męska i damska. Jeden z butików nosił nazwę Milady's Pleasure. W środku nie było nikogo prócz sprzedawczynie w złocistej bluzce i fioletowych spodniach.

– Jestem Justine – przedstawiła się. – W czym mogę pomóc? Może jakiś prezent dla pańskiej milady?

Wysoka, o kruczoczarnych włosach, bladej cerze i ślicznych, lekko skośnych oczach. Prawdopodobnie Euroazjatka. Mniej więcej w jego wieku. Nie była piękna ani nawet ładna – według uznawanych powszechnie standardów – ale miała takie rysy, które na długo zostają w pamięci, w przeciwieństwie do hollywoodzkich klonów o plastikowych twarzach. A szczególnie pamięta się takie oczy.

Najwyraźniej przywykła już do przenikliwych spojrzeń, bo nie spuściła wzroku ani nie przestała się uśmiechać. W końcu Cape pokręcił głową i z wyszkolonym uśmiechem handlowca wyjaśnił: – Szukam kogoś. Pomoże mi pani?

– Hm...

Pokazał jej jedno ze zdjęć przedstawiających jasnowłosą kobietę. – Zna ją pani?

– O... tak, to przecież pani Vanowen.

– Pani Vanowen...?

– Nasza klientka.

– A więc mieszka gdzieś w pobliżu?

– Tak.

– A czy ma pani jej adres?

– Przykro mi, ale w żadnym wypadku nie mogę...

– Rozumiem. A numer telefonu, żebym mógł się z nią skontaktować?

– Obawiam się, że nie. Ale na pewno jest tu gdzieś jakaś książka telefoniczna...

– Poszukam. A może zna pani imię jej męża...?

– Andrew. – Dziwna zmiana w głosie. Jakby samo wypowiedzenie tego imienia zostawiało w jej ustach gorycz albo przywoływało jakieś niemiłe wspomnienia.

– A jej imię?

– Stacy. – Justine zawahała się. – Czy ten kontakt z panią Vanowen... to coś ważnego?

– Niewykluczone. To taka sprawa osobista...

I znów moment zawahania. – Rubicon Bay – dodała po chwili.

– Słucham?

– Mieszkają w Rubicon Bay.

– A gdzie to jest?

– Na południowo-zachodnim wybrzeżu, po kalifornijskiej stronie.

Cape pokazał jej zdjęcia dwóch mężczyzn, jedno przy drugim. – Czy któryś z nich to Andrew Vanowen?

Wskazała tego starszego, siwowłosego. Tym razem jej twarz zdradzała dziwne uczucie, jakby spochmurniała od niechęci, dawnej złości, a może jednego i drugiego.

- Zna go pani? – spytał.
- Niezupełnie. Poznaliśmy się wprawdzie, ale... nic więcej.
- A tego drugiego mężczyznę?
- Z widzenia. Ale nie z nazwiska.
- Widziała go pani tu, w hotelu? Czy w sąsiedztwie?
- I tu, i tam.
- A więc on też jest miejscowy...
- Chyba tak. – Justine znużyły te pytania. Wyuczonym tonem spytała: – Czy teraz mogę pomóc panu wybrać coś dla żony, dla przyjaciółki?
- Pani wybaczy, ale nikogo takiego nie mam.
- W takim razie muszę przeprosić...

Obserwował, jak odchodzi. Szła tym swobodnym, rozkołysanym krokiem, który sprawia, że mężczyzna zastanawia się, jaka jest w łóżku. Napalony Cape, stale pragnący nadrobić długie lata małżeńskiej wierności. Odczuwał niemal wstyd.

Rubicon Bay.

Jedna spośród całej masy enklaw rozsianych wzdłuż brzegu jeziora, nad zatoczką o tej samej nazwie. Autostrada numer 89 biegnie tuż przy wybrzeżu, zataczając kręte pętle między drzewami i wokół masywnych występów granitu. Gęsto zalesione stoki chylą się nisko ku zachodowi, do Bliss State Park. Las nad jeziorem niczym tarcza osłaniał kilkadziesiąt domów mieszkalnych i letniskowych. Od południowej strony parku Cape minął kilka wiosek; tutaj nie było ani jednej, nawet przydrożnego sklepu, przy którym mógłby zatrzymać się i spytać o drogę.

Cape skręcił w pierwszy zjazd, który pojawił się na wschód od autostrady. Wiódł w dół, wśród sosen i jodeł, mijało się teraz krótkie, ślepe zaułki i podjazdy do prawie niewidocznych domostw. Na niektórych skrzynkach na listy widniały nazwiska, jednak żadnym z nich nie było Vanowen.

Kręcił tu i tam, cofał, aż wreszcie spostrzegł samochód, który właśnie zjeżdżał do jednego z podjazdów. Auto zatrzymało się przy skrzynce. Jego kierowcą była brunetka w dość młodym wieku, która wysiadła, by zabrać pocztę. Cape zatrzymał się i z uśmiechem handlowca wyjrzał przez okno swojego auta.

– Przepraszam. Szukam państwa Vanowen i chyba się zgubiłem. Ta okolica to prawdziwy labirynt.

Na widok korpusty i jego uśmiechu poczuła się swobodnie. W jej świecie groźni byli obcy faceci w zdezelowanych wozach, ale ktoś, kto jeździł drogim, sportowym autem, to po prostu nadziany gość. Odparła mu bez wahania, że państwo Vanowen mieszkają w ostatnim domu przy Waterwing Drive, nad samym jeziorem.

Cape ruszył we wskazanym przez nią kierunku, odszukał Waterwing Drive i przejechał jakieś dwieście metrów aż do końca drogi, gdzie za ogrodzeniem znajdował się stromy wjazd. Brama była otwarta, więc wjechał na teren posiadłości. Gdzieś w połowie droga zakręcała, skąd widać już było dom. Duży, zbudowany z ciosanych sosnowych bali i bloków sekwojowych, po obu stronach gęstwiny drzew. Pomost w kształcie litery T, a przy nim hangar dla łodzi. Pod usytuowaną w pobliżu wiatą dla samochodów było pusto, tylko na pokrytej sosnowymi igłami przestrzeni przed domem stał niedbale zaparkowany czarny mercedes, stary model, z rejestracją stanu Nevada.

Zaparkował obok mercedesa, wszedł na wąską werandę i nacisnął dzwonek. Nikt nie otwierał. Po chwili znów zadzwonił. Bez skutku. Udało mu się dopiero za trzecim razem. Rozległy się kroki, zazgrzytał zamek, drzwi się otworzyły, stanęła w nich jakaś kobieta i obrzuciła go spojrzeniem.

Bywał już badany, oceniany i rozbierany wzrokiem przez wiele kobiet, mniej atrakcyjnych niż ta, ale niewiele z nich robiło to tak błyskawicznie i dogłębnie. W jej twarzy było pewne podobieństwo do kobiety ze zdjęcia, ale to nie była Stacy Vanowen. Starsza, mogła mieć około trzydziestki. Czarne włosy, ciemne oczy, wilgotne usta. Miała na sobie jednoczęściowy, czarny kostium kąpielowy i przezroczystą suknię plażową. Długie nogi, wąskie biodra, skóra usiana piegami aż po dekolt. W jednej ręce trzymała wysoką szklanekę, napełnioną przejrzystym, gazowanym napojem z lodem i cytryną. Błysk w jej ciemnych oczach zdradzał, że cokolwiek piła – dżin czy wódkę z tonikiem – wypiała już sporo.

W jej ocenie wypadł na tyle dobrze, że został obdarzony powolnym, swobodnym, nieco wykrzywionym uśmiechem. – O! – zawołała. – Co takiego pan sprzedaje?

- Skąd to przekonanie, że ja coś sprzedaję?
- Wygląda pan na kogoś takiego. Chce mi pan powiedzieć, że niczym pan nie handluje?
- Nie. To już przeszłość.

- Każdy z nas ma coś na sprzedaż, w taki czy inny sposób.
- Możliwe – zgodził się Cape. – Ale ja szukam Stacy Vanowen.
- Aha. Jak wielu innych.
- Co takiego?
- Wielu szuka Stacy. Wystarczy tylko na nią popatrzeć. A niech to szlag, jest ładniejsza ode mnie.
- Zastałem ją?
- Nie. Nie ma tu nikogo oprócz mnie.
- A kiedy wróci?
- A kto to wie? Jak przyjdzie, to będzie.
- Chciałbym z nią pomówić. O której najlepiej ją zastać?
- Jeśli chce pan zastać Stacy, lepiej niech się pan pośpieszy. I może się pan przedstawi, panie handlarzu?
- Cape. Matt Cape.
- Krótko i ładnie. Podoba mi się.
- Cieszę się. A pani...?
- Lacy.
- Vanowen?
- Wielkie nieba, tylko nie to. Lacy Hammond. Stacy i Lacy. Ślicznie, prawda?
- Siostry?
- Tak jest. Stacy i Lacy, pomysł tatusia, dla żartu. – Nagle jej twarz spochmurniała, wargi wykrzywiły się, ale po chwili natychmiast poweselała i znów uśmiechała się szeroko. – Zabawny był, naprawdę. Pocieszy sukinsyn.
- Mieszkasz tu? – spytał Cape.
- Ależ nie. Jestem tylko ubogą krewną. Ale siostrzyczka pozwala mi przyjeżdżać tu i bawić się jej zabawkami, gdy nikogo nie ma w domu.
- Aha.
- Okazuje mi dużo współczucia. Myśli, że jestem alkoholiczką.
- A jesteś?
- Oczywiście. I to, cholera, całkiem niezłą. Doskonale umiem się kontrolować. Mogłabym nawet uczyć innych.
- Cape tymczasem wysunął z kieszeni zdjęcie. Twarz mężczyzny o lodowatym spojrzeniu była na wierzchu. Pokazał ją kobiecie.
- Rozpoznajesz tego mężczyznę?

Lacy spojrzała, zamrugała oczami i zmarszczyła czoło. – Skąd je masz?

- Wolałbym raczej porozmawiać o tym z twoją siostrą.
- Och, naprawdę?
- Tylko się zaraz nie gniewaj.

Znów ten pochmurny wzrok i wykrzywione wargi, po czym – podobnie jak przedtem – nagle zmiana nastroju. Wybuchła śmiechem. Śmiała się głośno, lubieżnie, okazując, że jest autentycznie rozbawiona.

- Co cię tak śmieszy? – spytał ją Cape.
- Wiesz, kto to jest?
- Nie. Kto?
- Skoro nie wiesz, to jakim cudem zdobyłeś to zdjęcie?
- To trochę skomplikowana sprawa.
- O, nie wątpię. A ty nie chcesz wyjawić jej nikomu innemu, tylko Stacy.
- Albo jej mężowi.
- Aha. – Znowu wybuch śmiechu. – I masz w kieszeni jeszcze jakieś

zdjęcia... Pewnie mojej siostrzyczki, tak?

- Tak. Dwa.
- Porno? Pokaż.
- Zwyczajne fotki. Jest na nich sama.
- Och, jaka szkoda. A te inne?
- Mam jeszcze jedno: twojego szwagra.

Lacy wydało się to jeszcze bardziej zabawne. Jej śmiech brzmiał głośno, rozlegał się echem, aż zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Dalszy śmiech stłumiła więc ostatnim łykiem swojego drinka.

– Już dawno się tak nie uśmieiałam – stwierdziła, łapiąc oddech. – A więc to tak?

- Słucham?
- Czym handlujesz? I z kim?
- Niczym nie handluję.
- Szantaż? Tak to się chyba nazywa, prawda?
- Mylisz się.
- Więc co kombinujesz? Aha, już wiem. Jesteś prywatnym detektywem.
- I tu też się mylisz. Przyjechałem oddać państwu Vanowen pewną przy-

sługę.

- Oczywiście. A w zamian prosić o jeszcze większą.
- Posłuchaj tylko – odrzekł Cape. – Nie obchodzi mnie, co sądzisz o mnie i o moich zamiarach. Jeśli twoja siostra zdradza męża lub vice versa, to już nie moja sprawa. Nie z tego powodu wpadły mi w ręce te zdjęcia.
- Śmiech Lacy ustał. Wyglądała teraz na smutną i niezadowoloną. – A niech to szlag – mruknęła.
- Więc może podasz mi nazwisko tego mężczyzny ze zdjęcia?
- O, nie. Stacy ci powie, gdy się z nią zobaczysz. Albo Andrew.
- A numer telefonu tutaj? Zadzwońlibym później.
- Jest zastrzeżony.
- Wiem. Przed przyjazdem tutaj przeszukałem książkę.
- A więc będziesz musiał przyjechać tu jeszcze raz.
- Czyli nie podasz mi numeru?
- Panie handlarzu, nic a nic panu nie powiem.
- To może chociaż przekażesz siostrze, że tu byłem?
- A z jakiej racji? To nie moja sprawa. Sam też tak powiedziałeś.
- Gdybyś się jednak rozmyśliła – ciągnął Cape – będę w hotelu Lakeside Grand, w Stateline. Zatrzymam się tam dziś na noc, jak znajdzie się wolny pokój. Tak czy inaczej, po siódmej będę w kasynie. A jeśli żadne z nich nie będzie chciało spotkać się ze mną osobiście, niech zadzwonią do mojego pokoju albo przywołają mnie przez pager.
- Zdążyłam już o tobie zapomnieć. Mam ważniejsze sprawy na głowie.
- Na przykład jakie?
- Na przykład: ile ginu wlać do następnego drinka.

Cape zatrzymał korwetę na końcu wjazdu, tuż przy skrzynce na listy. Na kartce z notatnika zapisał wiadomość dla państwa Andrew i Stacy Vanowen – tę samą, którą przekazał Lacy, a pod spodem swoje nazwisko. Włożył kartkę do skrzynki.

Dwadzieścia cztery godziny – tyle dał im czasu. Jeżeli nie skontaktują się do jutra, ruszy w dalszą drogę. Nawet przy dobrych uczynkach cierpliwość i czas mają swoje granice.

10.

Cape spojrzął na asa trefl, który przypadł mu przy rozdaniu, i ponownie zerknął na zakrytą kartę: as kier. Rozdający pokazywał ósemkę. Cape siedział na krańcu stołu do blackjacka, na lewo od rozdającego, a kiedy znów nadeszła jego kolej, odwrócił asa karo i położył obok asa trefl. – Do podziału – oznajmił Cape i podwoił swą dwudziestopięciodolarową stawkę. Rozdający wsunął po jednej zakrytej karcie pod każdego asa. Cape nie sprawdził ich.

Rozdający odwrócił swoją kartę: walet do ósemki. Osiemnaście. Po tym, jak wypłacono pieniądze dwóm innym graczom, u których suma kart przebiła osiemnastkę, Cape zaczekał, aż rozdający odsłoni karty. Dwójka przy pierwszym asie, szóstka przy drugim. Kolejna pechowa para kart.

– Co za pech – podsumował jeden z graczy. – Wygląda na to, że dziś wieczorem szczęście cię opuściło.

Trzysta sześćdziesiąt w plecy. – Chyba tak – przyznał Cape i zgarnął resztę swoich żetonów. Wstał od stołu i ruszył do holu sprawdzić, czy miał jakieś wiadomości.

Był już w połowie drogi, przepychając się przez hałaśliwy tłum, gdy nagle ktoś go dogonił. Czyjaś dłoń lekko dotknęła jego ramienia. Kiedy zatrzymał się i odwrócił głowę, natknął się na zimny wzrok śniadego mężczyzny ze zdjęcia.

– Pan Cape, tak? – Ton głosu miękki, nierówny, chłodny i soczysty niczym kawior. – Pan Matthew Cape?

– Zgadza się.

– Przejdźmy do baru w kasynie, panie Cape. Napijmy się czegoś i porozmawiajmy.

– Dobry pomysł.

Inny mężczyzna stał przy przejściu do baru, jakby chciał upewnić się, że Cape nie będzie próbował ucieczki. Zajęli pusty stolik w kącie. Czarnooki zamówił koniak u kelnerki, skąpo odzianej w fioletowo-złoty kostium. Cape poprosił o to samo. – Pan zna moje nazwisko – odezwał się, kiedy byli już sami – ale ja nie znam pańskiego.

– Nie? Sądziłem, że już je pan poznał. Jest pan, zdaje się, bardzo obrotny w takich sprawach.

Cape wzruszył ramionami. – Myślałem, że któreś z Vanowenów mi je wyjawia. A kto powiedział panu o mnie? Stacy czy Andrew? A może ta siostrzyczka, Lacy?

– Czy to ważne?

– Właściwie nie. Zastanawiam się tylko, jak pan mnie znalazł.

– Mieszkam tu od dłuższego czasu. Powiedzmy, że mam swoje kontakty. – Odchylił się do tyłu, skrzyżował nogi. Gruby, złoty sygnet na jego palcu odbijał światła neonów przy barze i zdawało się, że lecą z niego iskry. Jeszcze grubszy, srebrny sygnet z turkusem połyskiwał na drugiej ręce. Miał cienki, beżowy, jedwabny garnitur, jasnoniebieską koszulę, także z jedwabiu, oraz wypolerowane na wysoki połysk czarne buty, prawdopodobnie włoskie. – A tak przy okazji, moje nazwisko Mahannah – przedstawił się. – Vince Mahannah.

– Miło mi, panie Mahannah.

– Niech pan zgadnie, czym się zajmuję.

– Nie jestem dobry w zgadywanki.

– Nie szkodzi, proszę spróbować.

– Ta sama branża, co Andrew Vanowen?

– A czy ja wyglądam na inwestora kapitału wysokiego ryzyka? Szanse są marne w tej branży bez odpowiedniego wykształcenia i doświadczenia. Za wielkie ryzyko, zbyt łatwo wszystko przetracić.

– Ale hazard to także ryzyko.

Mahannah uniósł brew. – A więc pana zdaniem zajmuję się hazardem?

– Jesteśmy w Nevadzie, w kasynie, a pan najwyraźniej czuje się tutaj jak u siebie w domu. Używa pan takich sformułowań jak „marne szanse” czy „przetracić”. Próbuję tylko zgadywać.

– To prawda – potwierdził Mahannah. – Choć w gruncie rzeczy mam wiele zainteresowań, ale przynajmniej hazard też do nich należy. A pan?

– Ja też zaliczam hazard do swoich hobby.

– Grywa pan zawodowo?

– Nie. Wyłącznie amatorsko.

– Amatorsko, ale o wysokie stawki?

– To zależy od gry.

– I dlatego przyjechał pan do Stateline? Grać o wysokie stawki?

- A uwierzy mi pan, jeśli zaprzeczę?
- Możemy się założyć.

Podano drinki. Mahannah usiadł i ogrzewał kieliszek między długimi palcami swych delikatnych dłoni. Dłoni hazardzisty. Cape upił odrobinę koniaku i odstawił kieliszek.

– Byłem kiedyś handlowcem – oznajmił – w firmie produkującej zawory techniczne. W Rockford, w stanie Illinois. Nudna praca. Więc postanowiłem zrezygnować i robić to, o czym zawsze marzyłem: zwiedzić Stany, trochę zaszać.

- I z czego pan opłaca ten nowy styl życia? Właśnie z hazardu?
- Nie. Mam trochę oszczędności.
- Ale zawsze przydałoby się więcej.
- Wcale nie chcę zdobyć forsy tak, jak pan mi sugeruje.
- Czyli jak?
- Proszę pana – skwitował Cape – przestańmy się sprzeczać i przejdźmy do rzeczy. Panu się pewnie wydaje, że przyjechałem tu dla szantażu i stąd te zdjęcia. A tak naprawdę jest całkiem odwrotnie. Przyjechałem ostrzec pana i państwa Vanowen, bo niewykluczone, że ktoś inny planuje szantaż na was trojgu.

Mahannah znów uniósł brew. – A kto to taki?

– Para podrzędnych oszustów, których poznałem dwa dni temu w San Francisco. Tanya i Boone Judson – tak przynajmniej się przedstawili. Czy te imiona coś panu mówią?

- Nie.
- Podają się za brata i siostrę, ale naprawdę są małżeństwem albo kochankami. Szulerzy czatujący na biznesmenów. On ustawia gry, i to całkiem niezłe. Ona łowi ofiary i omamia je. Znaczone karty, gra cieni.

Zdawało się, że Mahannah patrzy na niego teraz zupełnie inaczej. – Jak pan ich poznał?

– Wkręcili mnie w pokera i okantowali, ale wykryłem ich sztuczkę, zanim było za późno.

– I co pan zrobił?

Cape opowiedział mu.

– A więc – podsumował Mahannah – wyjechał pan z San Francisco z torbą pełną forsy.

– Nie. Podzieliłem ją, zabrałem swoją część, a resztę zwróciłem pozostałym graczom.

– Coś podobnego! A pańska część to ile?

– Dokładna suma przegranej plus jedna szóstka z dwóch tysięcy należących do Judsonów.

– I nic więcej?

– Ani centa – zapewnił Cape.

– Bravo! – Mahannah uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego oczy, nieruchome w półmroku, były niemal czarne, jak u węża. – Mówił pan, że ten Boone wspominał coś o Tahoe i o jakimś kapitale na wejście. Co jeszcze wygadał?

– Jego kobieta przerwała mu i nic więcej nie powiedział.

– A co jeszcze było w torbie oprócz forsy i tych zdjęć?

– Nic.

– Niech pan opisz tych Judsonów.

Cape opisał ich w szczegółach.

– Nie sądzę, żebym ich znał – stwierdził Mahannah. – A gdybym nawet ich spotkał, na pewno bym ich zapamiętał.

– Zastanawia mnie jedno: co oni kombinują z panem i państwem Vanowen?

– Może to samo, na czym pan ich nakrył. Co miesiąc organizuję u siebie partyjkę pokera. Głównie dla znajomych, a Andy Vanowen jest jednym z nich. Ale czasem nie udaje nam się zebrać wystarczającej liczby graczy, więc zapraszamy obcych.

– To gra o wysoką stawkę?

– Raczej tak.

– Organizujecie coś w najbliższym czasie?

– W sobotę wieczorem. A ci szulerzy pewnie jakoś to wywęszyli i postanowili wkręcić do gry tego Boone'a. Ale z nami nie udałby mu się ten chwyt z rozmazaniem farby. Nie ma mowy, żeby ktoś przynosił do mnie swoje karty. – Jego wargi rozciągnęły się, a oczy spjrzały nieruchomym wzrokiem węża. – U mnie nigdy się nie oszukuje. Powinien to wiedzieć dla własnego dobra. Byłby głupi, gdyby tylko spróbował.

– A czy pani Vanowen też grywa?

– Stacy? Ależ nie, do diabła. Brudny, parszywy poker nie jest w jej stylu.

– Prawdziwa dama – podsumował Cape.

– Zgadza się. Prawdziwa dama.

– Więc po co Judsonom potrzebne były jej zdjęcia? Jaka jest jej rola w tym pokerowym spisku?

– Absolutnie żadna.

– A może po prostu zna skądś Judsonów. Albo oni znają ją.
– Ona na pewno nie zadawałaby się z takimi podrzędnymi szulerami – stwierdził Mahannah. – Ale zapytam ją. Ma pan przy sobie te zdjęcia?

Cape wyłożył je na stół i obserwował, jak Mahannah analizuje kolejno każde z nich. Jego twarz nic nie zdradzała; oczy o zimnym wzroku wciąż patrzyły bez mrugnięcia.

– Pan i Vanowen, portrety zrobione w atelier – odezwał się Cape. – Jakim cudem wpadły w ręce Judsonów?

Mahannah zamyślił się. Po chwili pokręcił głową i odparł: – Nie wiem. – Odstawił kieliszek z koniakiem. – Ale chciałbym je zatrzymać.

– To, na którym jest pan, oczywiście. Pozostałe wołałbym osobiście dostarczyć państwu Vanowen.

– Dlaczego? Nie wierzy pan, że przekażę je im? Razem z informacją, którą mam od pana?

– Nie w tym rzecz. Chciałbym po prostu skończyć to, co zacząłem.

– Jeśli spodziewa się pan jakiejś nagrody...

– Tu nie chodzi o pieniądze. Nie przyjąłbym ich, nawet gdyby mi je zaoferowano.

– Skrupuły aż do przesady – podsumował Mahannah. – Intryguje mnie pan, panie Cape. Nieczęsto spotykam bezinteresownych ludzi.

– Kiedyś taki nie byłem – odparł Cape. – Ale czas chyba przekonać się, jak to jest, kiedy robi się coś na odwrót.

Śmiech Mahannaha zabrzmiał niemal szczerze. – A jeśli Andy i Stacy nie zechcą widzieć się z panem?

– To już ich sprawa. Zostanę tu jeszcze przez jeden dzień. Jeżeli nie skontaktują się ze mną, zostawię te zdjęcia w recepcji, z pańskim nazwiskiem na kopercie.

– Zgoda. – Mahannah dopił swój koniak, dobył z kieszeni kilka banknotów, rzucił je na stół. Wstał. – Jeśli pańskie zamiary są szczerze, jestem panu winien przysługę. Państwo Vanowen też.

– Nie ma o czym mówić. I tak nie zostanę tu na tyle długo, by z niej skorzystać.

Gdy Mahannah wyszedł, Cape spojrzął na leżące na stole banknoty. Dwudziestka i dziesiątka. Kimkolwiek był ten Vince Mahannah, forsę na pewno nie żałował.

11.

Telefon rozdzwonił się, gdy Cape wychodził spod prysznic. Owinął się ręcznikiem i wciąż jeszcze ociekając wodą, wyskoczył, by uciszyć ten irytujący dźwięk.

- Pan Cape? – odezwał się kobiecy głos, niski, niepewny.
- Tak.
- Mówi Stacy Vanowen. Podobno chciał pan porozmawiać ze mną i z mężem o jakichś zdjęciach.
- W mojej wiadomości nie wspominałem nic o żadnych zdjęciach.
- Vince Mahannah – odparła chłodno – to nasz dobry znajomy.
- A więc wszystko jasne.
- Nie... nie znam tych ludzi, których spotkał pan w San Francisco. Andrew twierdzi, że też ich nie zna.
- W takim razie miejmy nadzieję, że nie będziecie mieli państwo okazji ich poznać.
- Właśnie... – Przerwała. – Jemy dziś lunch w Lakepoint Country Club. Andrew zaproponował, żebym zaprosiła też pana.
- Ale wystarczy tylko krótkie spotkanie...
- Mąż nalega. Lakepoint znajduje się w Stateline, nieopodal pańskiego hotelu. Na samym końcu Lakepoint Drive.
- Trafię na pewno.
- O dwunastej trzydzieści. Stolik zarezerwowany jest na jego nazwisko.

Wbufecie śniadaniowym było tłoczno: ludzie czekali w kolejce na miejsca. Cape zatrzymał się i rozejrzał. Nie cierpiał stać w kolejkach, nawet krótkich. A może by zrezygnować ze śniadania? Nie był głodny, miał jednak ochotę na kawę.

Jego wzrok wyłowił i zatrzymał się na kobiecie zajmującej odgradzoną część dla dwóch osób na samym środku sali. Euroazjatka z butiku Milady's Pleasure. W swoim fioletowo-złotym ubraniu. Była sama.

Podszedł do niej, mijając kelnerkę. – Dzień dobry. Justine, tak?

- Tak... O, facet od zdjęć.
- Cape, Matt Cape. Pozwolisz, że się dosiędę?

– Hm...

– Wszystko zajęte. A kolejka coraz dłuższa...

Śliczne, lekko skośne oczy przyjrzały mu się badawczo. – I tak zaraz wychodzę. Proszę bardzo.

Usiadł. Stolik był nieduży i prawie całkiem zastawiony jej śniadaniem: jajecznica, bekon, naleśniki, sok pomarańczowy, kawa.

– Masz duży apetyt – zauważył.

– Firma zapewnia mi darmowe śniadania.

– To miło.

– Dobrze się tu pracuje. I co, udało się odnaleźć panią Vanowen?

– Tak. Jem dziś lunch z nią i jej mężem.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Sięgnęła po szklankę z sokiem. Światło odbiło się od bransoletki na jej przegubie: zdobione srebro, zapięcie w kształcie serca.

– Poproszę tylko kawę – rzekł Cape do kelnerki, która właśnie podeszła do stolika. Po czym zwrócił się do Justine: – Jacy oni są... ci państwo Vanowen?

– Nie zna ich pan?

– Prawie nic o nich nie wiem.

– Ja znam tylko panią Vanowen jako klientkę – odparła ostrożnie Justine.

– Niewiele mówi, ale wydaje się sympatyczna.

– A czym się zajmuje? Ma jakąś pracę?

– Tego nie wiem.

– A jej mąż?

Justine szybko uciekła wzrokiem, ale tylko na chwilę. – Jej mąż...?

– Z tego, co już wiem, jest biznesmenem...

– O, tak. W dodatku bardzo bogatym i ambitnym.

– A ty chyba za nim nie przepadasz, co...?

– Skąd taki wniosek?

– Miałś dziwną minę wczoraj, gdy pokazałem ci jego zdjęcie. Zupełnie tak jak teraz.

– Ja naprawdę nie znam tego człowieka.

– I pewnie nie chcesz znać?

– Nie. Jest zbyt... natarczywy.

– Typ faceta, który nie uznaje słowa „nie”?

– Właśnie.

– Proszę, wybac mi to osobiste pytanie, ale czy kiedykolwiek mu odmówiłaś?

Znów uciekła wzrokiem.

- Nie musisz odpowiadać.
- Nie spotykam się z żonatymi – odparła. – Bez względu na ich upór, pieniądze czy władzę.
- Całkiem niezła dewiza.
- Mało brakowało, a straciłabym przez to pracę.
- Z jego powodu? A to mściwy typ!
- No, ale było, minęło. Nie mam zamiaru do tego wracać.
- A ja wcale nie nalegam – odrzekł Cape. – Ładna bransoletka – dodał po chwili.

Jej twarz znowu rozjaśnił uśmiech. – Rzeczywiście śliczna, prawda? Dostałam ją od syna na urodziny. Ma piętnaście lat i naprawdę świetny gust.

- Piętnaście lat? Nie wyglądasz na matkę nastolatka.
- Dziękuję. Miałam dziewiętnaście lat, kiedy wyszłam za jego ojca.
- Czyli nie jesteś już mężatką?
- Rozwiodłam się osiem lat temu, zanim przenieśliśmy się z Garym tutaj z Sacramento.

– Ja jestem w separacji po dwunastu latach małżeństwa – wyznał Cape. – I w trakcie rozwodu. Z mojej winy.

- W moim przypadku wina leżała po obu stronach.
- Masz jeszcze jakieś dzieci?
- Nie, tylko Gary'ego. – Potarła bransoletkę koniuszkiem palca.
- Jest wspaniały. Wie pan, że kupił mija za swoje własne pieniądze?! Pracuje trochę w klubie, pomaga przy sprzęcie golfowym.

- W Lakepoint?
- Tak. Skąd pan wie?
- Po prostu zgadłem. Właśnie tam spotkam się z państwem Vanowen na lunchu.

– Aha. Spodoba się panu w tej restauracji. Byłam tam kilka razy z Garym i moją współlokatorką.

- Współlokatorką?
- Ma na imię Lilith. Też pracuje w Lakepoint, w dziale płac. Dzielimy koszty, bo zarobki nie są tu zbyt wysokie, a przynajmniej nie dla samotnych matek i wdów.

Cape dostał swoją kawę. – Czy coś jeszcze, pani Coolidge? – spytała kelnerka Justine chłodnym tonem.

- Nie, dziękuję, pani Adams – odparła jej równie chłodno dziewczyna.
- Skąd ten dystans? – dociekał Cape, gdy już byli sami. – Między tobą a tą kelnerką?
- Kiedyś zaszło między nami nieporozumienie – wyjaśniła Justine. – Traktowała mnie jak rywalkę, która chciała odbić jej faceta.
- Ale myliła się?
- Całkowicie. Nie dla mnie taka zabawa.
- Masz teraz kogoś?
- Nie...
- Ja też nie. Zjesz dziś ze mną kolację?
- Wiedziałam, że pan do tego zmierza. Schlebia mi pan, panie Cape...
- Matt.
- Schlebiasz mi, Matt, ale nam nie wolno umawiać się z naszymi gośćmi.

Takie są przepisy.

- Przepisy są po to, żeby je łamać.
 - Ale nie tu, w hotelu Lakeside Grand, a tym bardziej w moim życiu.
 - A gdybym nie był gościem hotelu?
 - Ale nim jesteś.
 - Mógłbym się wymeldować i znaleźć sobie inne miejsce.
- Uniosła brwi. – Naprawdę? Zrobiłbyś to?
- Myślę, że tak.
 - A jednak odmawiam. – Złagodziła te słowa swym uroczym uśmiechem.
- Na oko fajny z ciebie facet, ale mnie nie interesują przelotne romanse, a w tobie jest coś, co daje mi do zrozumienia, że tylko o to ci chodzi.
- To prawda – przyznał.
 - W takim razie strasznie mi przykro.
 - Mnie też. – Cape dopił kawę i wstał. – Życzę tobie i twojemu synowi jak najlepiej, Justine. I mówię poważnie.
 - Dziękuję. Ja tobie też, Matt.

Raz się wygrywa, raz przegrywa. To dobrze, że tym razem przegrał. Justine zasługiwała na kogoś lepszego niż Cape, Andrew Vanowen czy jej były mąż, który pozwolił jej odejść. Zasługiwała na dorosłego faceta o cechach jej syna, który zaoszczędził swoje własne pieniądze i kupił jej na urodziny zdobioną, srebrną bransoletkę.

12.

Resztę przedpołudnia spędził, jeżdżąc po innych kasynach. W Harrah's wygrał sto pięćdziesiąt dolarów w blackjacka. W Caesar's jeszcze dziewięćdziesiąt. W Harvey's przy stole do gry w kości toczyła się akurat jakaś gra; rzucający – spocony, łysawy gość po sześćdziesiątce – miał dobrą passę i obstawiał zawzięcie. Cape czekał, aż tamten znów spasuje, wszedł do gry i postawił pięćdziesiąt dolarów na „pass line”*. Wypadła jedenastka – kolejna wygrana. Zdał się na los. Następnie wypadła ósemka. Cape postawił dwadzieścia dolarów, a tamten jakoś wyrzucił swoją ósemkę: miał dwie czwórki, ale to dopiero za trzecim razem. Stary przerwał i otarł zlaną potem twarz; patrzył szklistym wzrokiem. Subtelna zmiana nastroju. Cape przesunął swoje żetony na strefę „don't pass”**. Mądra decyzja: następny rzut zakończył się dwiema szóstkami. Kości dla starsuszka i kolejna wygrana dla Cape'a.

* Wygrywa, jeśli wypadnie 7 lub 11; przegrywa, jeśli wypadnie 2, 3 lub 12.

** Zakład przeciwko kościom przed rzutem wyjściowym. Zakład przeciwny do „pass line”.

Zgoda, nie powiodło mu się wprawdzie z Justine, ale przynajmniej w grze miał trochę szczęścia; w ciągu dwudziestu kilku godzin, które spędził w State-line, wygrał prawie pięćset dolarów. Zapomnieć się na chwilę, pójść na całość? Czy lepiej wstrzymać się do czasu zakończenia sprawy z Vanowenami?

Czerwone światełko sygnalizujące wiadomość migało na hotelowym aparacie. Wiadomość głosowa od Vince'a Mahannah: prosił, by Cape oddzwonił o dowolnej porze, bo prawdopodobnie będzie w domu przez cały dzień.

Cape wystukał numer. Mahannah spytał bez ogródek: – Czy zechciałby pan jutro wieczorem zagrać u mnie w pokera?

- Zastanawiam się, czy nie wyjechać dziś po południu.
- Śpieszy się pan dokądś?
- Właściwie nie.
- Więc niech pan zostanie jeszcze kilka dni. Zagra pan kilka partyjek i w niedzielę pan wyjedzie.

- Skąd jednak ten pomysł, żeby mnie zaprosić?
- A uwierzy pan, jeśli powiem, że chodzi o tę przysługę, o której wspominałem wczoraj wieczorem?
- To żadna przysługa, jeśli przegram – zauważył Cape.
- Rzeczywiście. Prawda jest taka, że brakuje nam graczy. Jest nas pięciu, a wolimy grać w co najmniej sześciu.
- Nie stać mnie na duże ryzyko.
- Nie szkodzi – odparł Mahannah. – U mnie nie zawsze chodzi o duże ryzyko. Tym razem nie będzie żadnych rozrzutnych graczy, tylko moi znajomi. Ile jest pan w stanie przegrać?

Cape zastanowił się. – Może kilka tysięcy. Ale nie w godzinę czy dwie.

– Oj, nie robi pan na mnie wrażenia pokerowego pasjonata. W tej grze właśnie traci się kilka tysięcy w godzinę czy dwie, nie inaczej. Pula przed każdym na stole, otwarcie za dwadzieścia dolców, przebijanie bez ograniczeń, górka przebijania stawek – do czterech. Tradycyjny poker, żadnych kombinacji.

– Sam nie wiem – wahał się Cape. – Dziś rano w kasynach miałem dobrą passę, nie powinienem chyba kusić losu.

- Czasem kuszenie losu kończy się sukcesem.
- Czasem tak.
- Niech pan przemyśli sprawę i oddzwoni do mnie, jeśli będzie pan zainteresowany.
- Oczywiście. Dziękuję za zaproszenie.
- Proszę mi nie dziękować, dopóki pan nie przyjdzie i nie wygra.

Lakepoint Country Club.

Duży, precyzyjnie rozplanowany ośrodek nad brzegiem jeziora. Większa część pola golfowego z osiemnastoma dołkami rozciąga się na cyplu otoczonym przez gęste kępy drzew – jasnozielone połacie murawy, sztuczny staw, faliste wstęgi alejek i niewiele przeszkód. Sam klub, restauracja i zabudowania wykonane z sośniny i jakiegoś ciemniejszego drewna, ozdobione były kamieniami i mnóstwem trawy. Plac zabaw dla bogaczy. Drogi wstęp, wpisowe powyżej pięciu tysięcy rocznie: to nie miejsce dla zwykłego motłochu.

Cape grywał już na takich polach na przedmieściach Chicago. Golf był częścią jego kariery handlowca, wygodnym sposobem spędzania czasu na świeżym powietrzu i zagadywania stałych i potencjalnych klientów firmy. Sama

gra nigdy nie szła mu zbyt dobrze. Ani nie stała się jego pasją, jak u wielu innych. Była jedynie środkiem do celu, rozrywką, bez której potrafił się obejść i której braku wcale nie odczuwał. Dla przeobrażonego Cape'a, stojącego tu i kontemplującego całe to bogactwo zieleni, golf był czymś obcym, jak dla dawnego Cape'a skoki z samolotu z grupą spadochroniarzy w Phoenix.

Zaparkował na rozległej przestrzeni i ruszył na ścieżkę, która oddzielała parking od leśnych terenów i łukiem prowadziła do klubu. Kiedy minął ścianę oleandrów, natrafił na trawnik i spostrzegł inną ścieżkę, biegnącą równoległe do jednej z alei. Stał tam wózek ogrodniczy, a przy nim dwoje ludzi pochłoniętych rozmową. Śniady, pulchny mężczyzna w uniformie był widocznie pracownikiem klubu, a wysoka kobieta w białej bluzce i szortach wyglądała na Lacy Hammond.

Stała twarzą odwrócona w stronę Cape'a i rozpoznała go. Przerwała rozmowę z ogrodnikiem i długim, swobodnym krokiem ruszyła po trawniku, chcąc dogonić Cape'a, zanim wejdzie do budynku.

– Witam handlarza – zawołała. Tego ranka była trzeźwa, a wczorajsze picie wyraźnie jej nie zaszkodziło. – No proszę, taki to wszędzie dotrze.

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

– Ale ja tu mieszkam, a ty nie.

– No i pewnie grywasz w golfa?

– Gdy tylko jestem w nastroju. I całkiem nieźle mi idzie. Umiem obchodzić się z każdym tu kijem, odkąd skończyłam dwanaście lat.

– O, nie wątpię, że z każdym.

Wybuchła głośno swym nieprzyzwoitym śmiechem. – Za to ty chyba nie umiesz?

– Kiedyś umiałem. Teraz już nie.

– Więc co tu robisz? Zaczekaj chwilę, niech sama zgadnę: umówiłeś się z moją siostrzyczką?

– I jej mężem. Zaproсили mnie na lunch.

– O, rany. Naprawdę niezły z ciebie handlowiec.

– Mówiłem ci już wczoraj – odparł Cape. – Niczym nie handluję.

– To po co ten darmowy lunch?

– Wcale nie darmowy. Zapłacę za siebie.

– Andy'emu nie spodoba się ten pomysł. On uwielbia szastać pieniędzmi.

Czasem nawet i mnie trochę sypnie.

– A ty pewnie łapiesz, co się da.

- I mocno trzymam. Lacy zawsze zagarnia, co się da, obiema rękami.
- Aha.
- I pieniądze, i mężczyzn – dodała. Ton miała żartobliwy, ale wzrok badawczy. – Zagarniam obiema rękami, ściskam mocno i nie puszczam.
- I od razu wyciskasz, ile się da. I z pieniędzy, i z mężczyzn.
- A czemu nie? Ta metoda działa w obie strony.
- Co za cyniczne podejście...!
- A ty mógłbyś na tym skorzystać. Gdybyś tylko zagrał właściwą kartę.
- Niedługo wyjeżdżam z Tahoe, nie mam czasu – odrzekł Cape i oddalił się.
- Łatwo się poddajesz, handlarzu – zawołała za nim.
- Teraz wszystko idzie mi jakoś *łatwo* – rzucił, nie odwracając się.

13.

Zaraz na początku Andrew Vanowen stwierdził: – Inaczej wyobrażałem sobie pana, panie Cape.

- Naprawdę? A kogo się pan spodziewał?
- Kogoś starszego i bardziej wygadanego, a pan jest raczej powściągliwy.
- I mam to uznać za komplement?
- Tylko proszę go źle nie zrozumieć – wtrąciła się Stacy.
- Stacy! – Padło ostrym tonem, nawet bez odwracania wzroku, jakby chciał uciszyć psa.

Uśmiechnęła się słabo i wyjrzała przez duże okno po prawej stronie. Promyk słońca padł ukośnie na część jej twarzy, na obnażony bark i ramię. Za oknem tafla jeziora i trawa też wyraźnie skrzyły się od słońca. Jednak na jej ciele miało ono jakby chłodniejszy, bledszy odcień, niczym snop światła na rzeźbie z białego marmuru. Gdyby tak wyciągnąć rękę i dotknąć ją, poczułoby się marmur – chłodny, gładki, z wierzchu jakby miękki. Skóra takiej kobiety nie jest zroszona ani jedną kroplą potu, nawet podczas uprawiania seksu. Dokładne przeciwieństwo jej siostry.

No i męża. Ten wyglądał jak zbudowany z samych kości mocno owiniętych drutem, powleczonej garbowaną skórą i poruszanych przy pomocy jakiegoś generatora nastawionego na taką moc, że niemal słycać było jego buczenie i terkot. Rzucił się właśnie na swój koktajl z krabów, jakby widział w nim wroga. Te koktajle stały już na stole przed Vanowenami, gdy Cape'owi wskazano ich miejsce w przepelnionej restauracji o wspieranym belkami suficie. Stał też koktajl dla niego. Zamówiony „w ciemno”. Ale Cape nawet go nie tknął. I nie miał zamiaru.

Z ustami pełnymi czerwonego mięsa Vanowen zwrócił się do Cape'a: – Czym konkretnie się pan zajmuje?

– W jakim sensie? – spytał Cape.

– No, z czego pan żyje? Gdzie pan pracuje?

– Można powiedzieć, że skończyłem z karierą.

– Z jaką karierą?

– Wycofałem się z wyścigu szczurów.

– Schodzi pan z tematu.

– Wcale nie. Pracowałem w firmie produkcyjnej w Illinois i dość już miałem tej harówki.

– A teraz zbiera pan zdjęcia obcych ludzi i jeździ je sprzedawać, tak?

– Nie, wcale nie. Wszystkim się wydaje, że jestem handlowcem. Kiedyś nim byłem. Ale to już przeszłość.

– Dziś każdy na swój sposób czymś handluje.

– Ale nie ja. Skończyłem z tym.

– A może pan Cape robi to z czystej, samarytańskiej dobroci serca? – zasugerowała Stacy Vanowen. – Są przecież tacy ludzie.

– Ja w swoim życiu jeszcze takiego nie spotkałem. – Vanowen dokończył koktajl, odsunął talerz, otarł usta serwetką, zerknął na zegarek, obrócił drogi sygnet na palcu lewej dłoni – platynowy, zdobiony kręgiem okazałych diamentów – machnął do kelnera i ciągnął, jakby w rozmowie nie było przerwy: – Każdy ma jakieś motywy. Jakies ukryte zamiary.

– Ale nie ja – powtórzył Cape.

Wtedy wtrąciła się Stacy Vanowen: – Chciałabym obejrzyć te zdjęcia, panie Cape.

Podał jej błyszczące arkusze. Nim zdążyła dobrze się przyjrzeć, mąż wyrwał jej zdjęcia z ręki. Zerknął na te przedstawiające Stacy, a na widok swojej twarzy skrzywił się. – To przecież zdjęcie portretowe, które zrobili mi w

zeszłym roku do artykułu w *Business Week*. O co tu chodzi, do diaska?

– Czy mogę je obejrzeć, Andy?

Oddał jej zdjęcia. – Jakim cudem komuś udało się je zdobyć? W czasopiśmie wcale go nie wykorzystali, chyba nie pasowała im wielkość, i odesłali je z powrotem. Nawet nie pamiętam, co z nim zrobiłem. – Po czym zwrócił się z pytaniem do żony: – A ty?

– Mówiłeś, że je spalisz.

– I byłem pewien, że spaliłem. – Vanowen znów obracał na palcu swój kosztowny sygnet, wzrok miał utkwiony w Cape'a. – Kiepsko wychodzę na zdjęciach. Na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że to akurat było niezłe. Ale dobrze, że *Business Week* go nie wykorzystał. Wyglądam na nim tak sztywno, jakbym połknął kij.

Cape zasugerował: – A może to odbitka z zakładu fotograficznego?

– Wątpię. Ten fotograf to mój znajomy, nie sprzedałby ani nie wydał żadnych odbitek bez mojej zgody.

– To może dał pan je innym znajomym albo kolegom z pracy?

– Nie. Chyba że moja sekretarka... ale ona w takich wypadkach zawsze mnie informuje. Zapytam ją.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Stacy Vanowen. – Po co komu moje zdjęcia...?

– A czy jest pani w stanie określić, kiedy je zrobiono? – zwrócił się do niej Cape.

– To musiało być niedawno, chyba w ostatnim miesiącu. Ten beżowy kostium kupiłam zaledwie kilka tygodni temu. – Oplotła się ramionami. – Przyprawiają mnie o dreszcze. Czuję się tak, jakby mnie ktoś... obnażył.

– Bo to naruszenie prywatności, do diabła – dodał Vanowen. – A ci ludzie, o których mówił pan Vince'owi Mahannahowi, panie Cape... Ci z San Francisco...

– Boone i Tanya Judson.

– Tacy kanciarze. Szulerzy! – Machnął gniewnie ręką, poruszył się na krześle, oparł się, a po chwili pochylił do przodu. – Po co im te zdjęcia? Co oni kombinują?

– Na to pytanie nie umiem panu odpowiedzieć, panie Vanowen.

– Tu nie chodzi o sztuczkę ze znaczonymi kartami. Przecież moja żona nie grywa w pokera. Nigdy. A może...

Przerwał, bo przyniesiono jedzenie. Trzy zamówienia: jedna sałatka z owoców morza i dwa filety z białego rybiego mięsa. Cape zerknął na swoje danie, a potem już nie zwracał na nie uwagi.

Wtedy Stacy Vanowen zasugerowała: – A może to jakiś plan porwania?

Jej mąż poderwał się jak rażony prądem. – Porwania?

– To całkiem niewykluczone, Andrew. Jesteśmy przecież bogaci, prawda?

– Na to nie potrzebowaliby kapitału – wyjaśnił Cape.

– Może wymyślili ten kapitał, żeby wprowadzić *pana* w błąd.

– Tu jest też zdjęcie Vince'a Mahannah. Po co im on, skoro to państwa mieliby porwać?

– O Boże, pojęcia nie mam. Kto wie, co tacy potrafią wymyślić?

– Między oszustwami karcianymi w hotelu a poważnym przestępstwem jest zbyt wielka różnica. Nie sądzę, żeby tych dwoje było na to stać.

– Nie jest pan w tych sprawach ekspertem, panie Cape – zauważył Vanowen.

– To prawda. Nie jestem.

– No właśnie. Rzecz w tym, że nie wiemy, co oni kombinują. – Vanowen nadział rybę na widelec, ale odłożył go z brzękiem, nie wkładając nawet do ust, palcami ścisnął dolną wargę. – Mahannah opowiedział nam już, jak wyglądali, ale chcę to jeszcze usłyszeć od pana. W szczegółach.

Cape spełnił jego prośbę.

– Nie znam ich – stwierdził Vanowen. – A ty, Stacy?

– Ja też nie.

– Ale niech tylko spróbują się tu pokazać, do diabła, to gorzko pożałują...!

Coś zabrzczało mu w kieszeni. Komórka. Wyjął ją, otworzył klapkę i przyłożył do ucha – trzy szybkie ruchy.

– Vanowen – przedstawił się, po czym słuchał w milczeniu. – Ile? – spytał po chwili i znowu słuchał. – Dwadzieścia minut – rzucił w końcu i schował komórkę z tym samym pośpiechem, który towarzyszył mu przy jej wyjmowaniu.

– Zdaje się, że już wychodzisz – zauważyła jego żona.

– Muszę. Obowiązki wzywają. Ale ty zostań i dokończ lunch.

– Nie jestem głodna.

– Nie szkodzi. Jedz. – Vanowen wsunął dłoń do kieszeni beżowych spodni i wyjął książeczkę czekową. W środku leżał jeden luźny czek, już wypełniony. Vanowen położył go na stole i jednym palcem przesunął w stronę Cape'a.

Cape zignorował to, podobnie jak koktajl z krabów i filet.

– Proszę – zachęcał go Vanowen. – Niech pan weźmie.
– Nie, dziękuję.
– To czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów.
– Nie wziąłbym nawet, gdyby był na dwadzieścia pięć czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Nie chcę pańskich pieniędzy.

– Dlaczego, u licha?

– Bo nie zarobiłem ich. Bo nie biorę pieniędzy za oferowaną pomoc. Bo prawie przez całe życie pozwalałam innym kupić mnie w taki czy inny sposób. Bo mam już dość niesłuszných oskarżeń i błędnej opinii co do moich zamiarów od wszystkich, których poznałem w ciągu ostatnich dwóch dni. Niech pan sam wybierze właściwą odpowiedź.

Vanowen gapił się na niego jak na jakiś nowo odkryty, zdumiewający okaz. Nagle zerwał się i wstał. – Jak pan chce – rzucił do Cape'a, żonie oznajmił: – Nie wiem, o której będę w domu – i energicznym krokiem wyszedł z restauracji.

Cape wziął czek, podarł na drobne kawałki i wysypał je na swój talerz. – Klasyczny przypadek perfekcjonisty, ten pani mąż – podsumował. – Dostanie kiedyś zawału, jeśli nie przystopuje.

– Mówiłam mu to samo. Ale nie chce słuchać. – Westchnęła i zaczęła rozgrzebywać sałatkę po całym talerzu. – Bywa apodyktyczny i oschły, uważa, że pieniądze to bóstwo, i jest jednym z jego wyznawców. Ale w głębi duszy to przyzwoity człowiek. Naprawdę.

Cape jednak miał co do tego wątpliwości. Jego zdaniem, Andrew Vanowen był dokładnie taki, jakim przedstawiła go Justine: aroganckim, bezwzględny dupkiem. Stacy Vanowen też była tego świadoma, choć twierdziła inaczej. Świadomość tę dostrzec można było w jej oczach i w linii zaciśniętych warg.

– Wierzę pani na słowo – odparł Cape.

– A jeśli chodzi o tych ludzi... – odezwała się po chwili – ...o tych Judsonów, kimkolwiek oni są...

– To co?

– Czy powinniśmy się ich obawiać? Jak pan myśli? Tylko szczerze.

– Nie sędzę. Cokolwiek kombinują, prawdopodobnie odwiódłem ich od tego, zabierając im forszę i te zdjęcia. I mogę się założyć, że nie planowali nic tak poważnego, jak porwanie.

– Pocięzył mnie pan. Ale teraz to już nasz problem. Pan pewnie niedługo wyjeżdża z Tahoe...

– Tak, niedługo. Wasz znajomy, Mahannah, zaprosił mnie na pokera jutro wieczorem.

– Aha. I pójdzie pan?

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

Znów rozdlubywała safatkę. – A potem dokąd pan pojedzie?

– Może do Reno. Na północ albo na wschód, do Utah. To zależy od kapersu w danej chwili.

– Zazdroszczę panu – przyznała. – Czasem chciałabym tak po prostu wsiąść do auta i jechać, jechać przed siebie.

– Więc dlaczego by nie spróbować?

– Po pierwsze: jestem kobietą. A kobiety narażone są na niebezpieczeństwo.

– Chyba że są ostrożne.

– Jak można być ostrożnym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Racja. To przecież niemożliwe.

– A poza tym mam męża, kocham go i w zasadzie jestem zadowolona z życia. Wolność i swoboda bardziej pasują mojej siostrze.

– Lacy?

– Skąd pan wie, jak ona ma na imię?

– Poznałem ją. Wczoraj, u was w domu. Nic nie mówiła?

– Nie.

– Właściwie nawet mnie to nie dziwi. Odniosłem wrażenie, że nie jesteście w zażyłych stosunkach.

– A szkoda. Co mówiła o mnie?

– Nic takiego, co warto byłoby powtórzyć.

– Wyobrażam sobie. – Chwila ciszy. – I pewnie... przystawiała się do pana?

– Niezupełnie. A co? Lubi się przystawiać do nowo poznanych mężczyzn?

– Przeważnie tak. – W jej tonie dało się wyczuć dezaprobatę, a w kolejnej wypowiedzi zabrzmiała nutka złośliwości: – Bo moja siostrzyczka nie pogardzi żadnym ptaszkiem.

Śmiech Cape'a sprawił, że jej policzki lekko się zaróżowiły.

– Może zabrzmiało to pruderyjnie – dodała – ale tak naprawdę trochę jej zazdroszczy. Lacy zawsze robiła dokładnie to, co chciała, a ja z kolei byłam grzeczną dziewczynką, bardzo praktyczną.

– Powiedziałbym, że ona też trochę pani zazdrości.

– Ale nie tego, kim jestem. Tylko tego, co mam. Ona... O Boże, po co ja to panu mówię? Przecież nawet pana nie znam... Co panu do moich rodzinnych spraw...?

Cape nie odezwał się.

– Nie je pan? – zdziwiła się Stacy Vanowen. – Pewnie nie jest pan głodny?

– Po prostu wolę sam wybierać sobie dania z menu.

– Aha, rozumiem. Kolejna niezbyt miła cecha charakteru mojego męża. Jemu się wydaje, że wie, co dla innych najlepsze.

– Nie pozwalam już innym decydować za mnie – oświadczył Cape. – Nawet w najmniejszych sprawach. To mi daje poczucie swobody.

– Też bym tak chciała...

– Może kiedyś pani to osiągnie.

– O tak – odparła – może... – Jednak jej głos zdradzał niepewność.

Pod jedną z wycieraczek na szybie korwety widniała kartka. Wiadomość wykaligrafowana fioletowym tuszem, zamasztywnym, niedbałym pismem: „Łątwo trafisz, handlarzu. Lake Summit Road 246, Cave Rock. O dowolnej porze po siódmej”. Podpisana była tylko literą „L”.

Cape uśmiechnął się słabo, złożył kartkę i schował do kieszeni koszuli. Teraz już dwa argumenty przemawiają za tym, żeby zostać: poker u Vince'a Mahannaha jutro wieczorem, a dziś – spotkanie z atrakcyjną kobietą, która nie pogardzi żadnym ptaszkiem.

Raz się żyje!

14.

Cape ruszył z powrotem do klubu, poszukał telefonu i zadzwonił do Vince'a Mahannaha.

– Postanowiłem skorzystać z pańskiego zaproszenia – oznajmił.

- Świetnie. Miałem taką nadzieję.
- To o której?
- Zwykle zaczynamy o dziewiątej.
- Może być.

Mahannah podał mu jakiś adres w Glennbrook, na wybrzeżu w Nevadzie, i wyjaśnił, jak tam dotrzeć. Cape wszystko zanotował.

- Proszę przyjechać wcześniej, jeśli będzie pan miał ochotę coś zjeść.

Mamy zawsze mnóstwo zakąsek i napojów.

- Będę pamiętał.
- A wracając do tej drugiej sprawy – mówił dalej Mahannah. – Był pan na lunchu z Vanowenami? Dał im pan te zdjęcia?

- Tak.
- I jak zareagowali?
- On się wkurzył, ale jest ciekaw, co z tego wyjdzie.
- To cały Andy. A Stacy?
- Bardzo się przejęła. Boi się, że ktoś planuje porwanie.
- Co takiego? Według mnie na to nie wygląda.
- Zgadzam się z panem.
- A Andy? Pocięszyl ją?
- Niezupełnie. Miał na głowie jakieś inne sprawy. Staralem się w miare

możliwości uspokoić ją po tym, jak wyszedł.

- Był pan sam na sam ze Stacy?
- Tylko przez kilka minut.
- I co pan o niej sądzi?
- Atrakcyjna kobieta – odparł Cape. – I nieszczęśliwa.
- Dlaczego pan tak uważa?
- Takie odniosłem wrażenie. Z jej wypowiedzi też.
- A o czym mówiła?
- O swoim małżeństwie, na przykład.
- Wypytywał ją pan o jej małżeństwo? – W głosie Mahannah dało się wyczuć poirytowanie. – O jej życie osobiste?
- Nieypytywałem. Sama mi powiedziała.
- Coś konkretnego?
- Nie, nic konkretnego.
- Ale chyba nie zamierza pan znów się z nią spotkać?
- Nie mam powodu.
- Więc niech pan lepiej da sobie z nią spokój. Nawet jeśli ma jakieś problemy, to nie pańska sprawa. Rozumie pan?

Znów ta irytacja – pewnego rodzaju nadopiekuńczość, która wykracza poza granice przyjaźni. Zaborczość, czy może niezaspokojone żądze; jedno albo drugie.

– Rozumiem – odrzekł Cape.

Miał mnóstwo czasu. Do siódmej pozostało jeszcze kilka godzin. Wsiadł do korwety i ruszył autostradą numer pięćdziesiąt, najpierw po górach, a potem w dół stromym zjazdem, do Carson City.

Nic szczególnie ciekawego. Zwieńczona srebrną kopułą stołeczna siedziba władz, muzea stanowe, kilka kasyn. Małomiasteczkowa atmosfera. Wyjechał na stanową numer 341, skręcił i ujrzał wzgórze prowadzące ku osadzie Virginia City.

Ta okolica bardziej mu odpowiadała. Tu właśnie leży Comstock Lode z żyłą srebra, która odegrała ważną rolę przy budowie San Francisco i finansowaniu wojsk Unii podczas wojny secesyjnej. Mnóstwo starych budynków, odrestaurowanych po to, by stworzyć tu atmosferę prężnie rozwijającego się dziewiętnastowiecznego miasta. Miejsce nastawione na turystów, ale bez przesady. Cape przeszedł biegnącymi po stoku wzgórze uliczkami, wypił piwo w pubie Pod Rzeźnią, w jeszcze innym pubie przegrał kilka dolarów w niemodnego już jednorękiego bandytę, zwiedził Piper's Opera House, gdzie za czasów rozkwitu miasta występowali Edwin Booth i Lotta Crabtree*.

* Edwin Booth (1833-1893) i Lotta Crabtree (1847-1924) to sławni amerykańscy aktorzy teatralni końca XIX w.

Przy jednej z wyżej położonych ulic stał wybudowany z cegły kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Górskiej. Cape wszedł do środka i przez dłuższą chwilę siedział w chłodnym, opustoszałym wnętrzu świątyni. Pierwszy raz od czasu wizyty w kościele świętego Wincentego w Rockford. Właściwie nie miał nawet powodu, żeby siedzieć tu tak długo; grzesznicy jego pokroju nie mają co liczyć na łaskę zbawienia. Ale udzieliła mu się ta atmosfera – połączenie historii z religią. Jedno z tych cichych, spokojnych miejsc, gdzie można posiedzieć i pomyśleć.

Minęła już piąta, gdy dojechał do Stateline, do hotelu. Dotarł na swoje piętro, otworzył kluczem drzwi, jedną nogą wszedł do środka i nagle stanął jak wryty.

Pokój bynajmniej nie był w tym samym stanie, w jakim Cape go opuścił. Szuflady wyrwane, pościel ściągnięta, materac przekrzywiony, jego walizka, otwarta i opróżniona, na podłodze. A większy z dwóch foteli zajmowała sprawczyni całego tego bałaganu.

Tanya Judson.

Ze swoją miniaturową spluwą w dłoni.

15.

Zerwała się na równe nogi, gdy tylko Cape wszedł do środka i zamknął drzwi. Wystarczyło mu jedno uważne spojrzenie i już wiedział, że to całkiem inna kobieta niż ta, z którą miał do czynienia w San Francisco. Przede wszystkim nie była już tak spokojna i opanowana. Poza tym miała na sobie byle jakie ubranie: za luźną bluzkę, drelichy, buty na płaskich obcasach. Jej blond włosy sterczały w nieładzie, potargane od wiatru. Na skroni widać było sinawy obrzęk. Zacięty, ponury wyraz twarzy, w oczach gniew i zawziętość, i może jeszcze coś. Strach. Potężna dawka strachu.

– Jak mnie znalazłaś? – spytał.

– Nieważne.

– Więc jak się tu dostałaś? Przekupiłaś sprzątaczkę? A może nagadałaś jakiegoś półgłówkowi z obsługi hotelu, że jesteś moją żoną i zapomniałaś klucza?

W dłoni sztywno trzymała pistolet: małe, kieszonkowe cacko, jak tamten, który Cape zabrał jej wtedy w Conover Arms.

– Tu jej nie ma – oświadczyła, grożąc mu spluwą. – W takim razie gdzie jest?

– Co?

– Forsa, niech cię szlag! Szesnaście tysięcy, które nam zwinąłeś.

– Już ich nie mam.

– Tylko mi tu nie chrzań, Cape. Chcę mieć tę forszę!

– Oddałem tym, do kogo należała. Tak jak mówiłem. Oprócz tego, co było moje.

– Gównu prawda.

– Przysięgam na Boga. Zrobiłem to zaraz następnego dnia rano, jeszcze zanim wyjechałem z miasta.

– Tam były nasze dwa tysiące!
– Potraktujmy to jako odsetki karne – odrzekł Cape. – Podzieliłem je przez sześć.

Wydała z siebie odgłos podobny do prychnięcia kota.

- Dawaj portfel. Rzuć go na łóżko.
- Mam przy sobie tylko jakieś dwieście dolców.
- Rzuć na łóżko, natychmiast!

Cape wzruszył ramionami i cisnął portfel na materac. Tanya schyliła się po niego, nie zdejmując wzroku z Cape'a. Wyjęła cienki plik banknotów i rozłożyła je.

- Mówiłem ci – westchnął. – Około dwustu dolców.
- Gdzie reszta? Na pewno masz więcej.
- Chyba przegrałem w kasynie.
- Przestań chrzanić. Gdzie reszta?
- No dobrze. Niecałe pięć tysięcy mam tu, w hotelu. W sejfie.
- Powiedzmy cztery tysiące. A gdzie pozostałych dwanaście?
- Mówiłem ci już. Oddałem prawowitym właścicielom.
- Chcę mieć tę forszę!
- Ty chcesz? A Boone nie?
- Do diabła z nim. Cholerny idiota.
- Poważnie?
- Zabrnął po same uszy... Mówiłam mu, ale nawet nie chciał słuchać.
- W co zabrnął?
- Niech go diabli wezmą, nic mnie to nie obchodzi. Ani on, ani Rollo.
- A kim jest ten Rollo?

Pokręciła głową.

- Odeszłaś od Boone'a, tak? – dociekał Cape.
- Daj mi tylko tę forszę i już mnie tu nie ma.
- Gdzie on jest? Tu, w Tahoe?
- Nieważne.
- Co Boone i Rollo razem kombinują?
- A niby dlaczego miałabym ci powiedzieć?
- A niby dlaczego nie? Przecież i tak zerwałaś już z Boone'em i wyjeżdżasz... Jaki szwindel szykują dla Vanowenów i Vince'a Mahannah?
- Skąd ty to...

- W torbie oprócz forsy były też zdjęcia. Boone ci nie powiedział?
- A więc to cię tu przygnało? Te cholerne zdjęcia?
- Co to za szwindel, Tanya? Karciane sztuczki czy może co innego?
- O nie, nie. Nic ze mnie nie wyciśniesz.
- To przynajmniej powiedz mi, dlaczego odeszłaś od Boone'a. Co się stało? Zaczął cię bić?
- Już nigdy więcej mnie nie tknie, choćby nie wiem co!
- Czego ty się tak boisz, Tanya?
- Ja? Boję się? Skąd ci to przyszło do głowy?
- Masz strach w oczach, w głosie. No i ta spluwa...
- Mylisz się. Chcę się tylko z tego wycofać, i tyle.
- Wycofać się? Z czego?
- Wystarczy! – Dłoń trzymająca automat drgnęła i zakołysała się. Jej czoło zroszone było drobnymi kropelkami potu. – Resztę forsy na pewno masz w sejfie – stwierdziła. – To jasne. Albo nawet całe szesnaście tysięcy.
- Mylisz się. Mam niecałe pięć tysięcy i to moja forsa.
- Idziemy na dół – nakazała. – Razem. Natychmiast!
- I znów się mylisz. Nigdzie z tobą nie idę.
- Zaraz pociągnę za spust, Cape. Nie żartuję. Odstrzelę ci fiuta.
- Ostro powiedziane. Tylko co ci to da?
- Chcę mieć tę forszę!

W kółko to samo, jak zdarta płyta. Cape podszedł do drugiego krzesła i usiadł. Powoli i spokojnie. Znów prychnęła jak kot.

- Wstawaj! Schodzimy na dół.
- Mowy nie ma.
- Zabiję cię! Nie wierzysz, że to zrobię?
- Nie, nie wierzę.

Lufa spluwy zatrzęsała się i dziewczyna oddała strzał.

Rozległ się odgłos pomiędzy trzaskiem a hukiem. Kula wbiła się w dywan tuż przy krześle, na którym siedział Cape. Nawet się nie poruszył, a jego wzrok napotkał jej spojrzenie.

- Pudło – podsumował. – Niezbyt mądre zagranie. Jeśli ktoś to usłyszał, na pewno chwycił już za słuchawkę. Ochrona będzie tu za dwie, trzy minuty.
- Ty sukinsynu!

– Lepiej natychmiast stąd zjeżdżaj, Tanya. Masz tylko jedną alternatywę: odstrzelić mi fiuta. A to oznacza morderstwo, w dodatku z premedytacją.

Minęło kilka chwil napięcia.

Dziewczyna nie wytrzymała i wybiegła, rzucając przekleństwami.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nią drzwi, Cape wstał z krzesła i przeszedł przez pokój. Uchylił lekko drzwi i nasłuchiwał. Żadnych głosów; żaden z sąsiadów nie zareagował na strzał. Na końcu holu znajdowały się windy. Cape usłyszał jęk silnika podjeżdżającej kabiny, a potem zabrzączał dzwonek, drzwi otworzyły się i zamknęły.

Ruszył biegiem do windy, ale druga też już zjeżdżała niżej. Nacisnął guzik ze strzałką w dół. Naciskał go raz po raz. Tu, w Lakeside Grand, mają naprawdę szybkie windy: wróciła w niespełna pół minuty. I równie szybko zjechała z nim, bez zatrzymywania się po drodze. Gdy tylko drzwi rozsunęły się miękko, Cape natychmiast udał się tam, skąd widać było cały hol.

Miał ją jeszcze na widoku, szła prędko w stronę bocznego wejścia, nie oglądając się za siebie.

Cape podążał za nią po przekątnej, dopóki nie przeszła przez drzwi. Wtedy puścił się biegiem na wprost i znalazł się za drzwiami w samą porę, by obserwować, jak zmierza w głąb parkingu. Świetnie się składa. Akurat tam zaparkował swoją korwetę, gdy szczęśliwym trafem znalazł wolne miejsce w którymś z tych bliższych rzędów. Jej auto stało trochę dalej w tyle; szła spieszenie w tamtą stronę, przemierzając parking po długim skosie.

Wyprowadził korwetę z parkingu i z silnikiem na chodzie stał przy jedynym wyjeździe. Wtedy minęła go. Widział ją wyraźnie z profilu: była pochylona do przodu, kierownicę ścisnęła mocno obiema dłońmi, a wzrok miała utkwiony prosto przed siebie. Zdawało się, że nie była świadoma jego obecności.

Cape zaczekał, aż dziewczyna wyjedzie z parkingu, po czym gwałtownie ruszył za nią. Zawróciła na Lake Tahoe Boulevard, a za skrzyżowaniem skręciła na zachód. Jechała nowym, jasnoniebieskim mitsubishi na kalifornijskich numerach, a na tylnym zderzaku widniała naklejka Hertza, firmy wypożyczającej samochody – trudno było stracić ją z oczu. Trzymała się lewego pasa, przyspieszając gwałtownie i zwalniając na przemian. Niespokojna jazda, bez wymijania. Cape jechał prawym pasem. Dzieliło go od niej zaledwie kilka samochodów.

Za skrzyżowaniem droga prowadziła z powrotem do South Lake Tahoe. Gęsty ruch na odcinku moteli: gaz, hamulec, gaz, hamulec. Ona też musiała zwolnić i jechała teraz ślimaczym tempem, wciąż lewym pasem, powodując z tyłu zator – jak kierowca szukający nieznanego mu miejsca czy obiektu. Za chwilę miała więc skręcić. Cape wślizgnął się na lewy pas.

Przy następnym skrzyżowaniu zjechała na pas dla skręcających w lewo. Jądcący za nią samochód też, a potem Cape. Zerknął na tablicę z nazwą ulicy: Pioneer Trail. Dziewczyna skręciła tam szybko przy zmianie świateł. Niestety, kobieta w aucie przed Cape'em ślimaczyła się niemiłosiernie. Podjechał blisko z nadzieją, że może przyśpieszy albo zjedzie na bok. Ale ona zwolniła jeszcze bardziej. Tanya była już jakieś dwieście metrów dalej, a ta odległość między nią a Cape'em zwiększyła się, nim przejechali zaledwie trzysta metrów, mijając motele w rustykalnym stylu, małe osiedla i otoczone lasem domy zamieszkiwane przez niezamożną klasę średnią.

Tam, gdzie ulica biegła łukiem, Cape na krótko tracił mitsubishi z oczu. Jądcący przed nim kobieta wciąż się wlokła. Od Tanyi dzieliło go już ponad trzysta metrów, a wtedy dziewczyna znów zniknęła za zakrętem i gdy Cape wyjechał na prostą i odzyskał lepszą widoczność, na Pioneer już jej nie było. Musiała skręcić na tym skrzyżowaniu przed nim. Tylko w którą stronę?

Cape trzymał się bardzo blisko wlokącego się przed nim auta, gdy dojechali do skrzyżowania. Spojrzał w lewo, w prawo – ani śladu mitsubishi. Po lewej stronie – biegnący pod górę ślepy zaułek i tylko dwa budynki. Cape wykręcił gwałtownie w prawo i minął tablicę z napisem Black Bart Road. Domy mieszkalne na małych, zadrzewionych działkach. Auta zaparkowane, auta w ruchu, ale żadnego mitsubishi. Kilkoro ludzi kręcących się po okolicy, ale ani śladu Tanyi.

Pokręcił się po osiedlu, po czym zawrócił i przejechał na drugą stronę Pioneer Trail, w ślepy zaułek. Ale tam też nie znalazł Tanyi ani wypożyczonego przez nią auta.

A więc zgubił ją.

Chyba że dziewczyna okazała się na tyle sprytna, by mu uciec.

16.

Cave Rock to położona na stoku wzgórza mała miejscowość przy trasie numer 50 wzdłuż wybrzeża Nevady. Domy prywatne osadzone są przy stromych, wąskich uliczkach, niektóre nowe i wystawne, z atrakcyjnym widokiem, inne zaś wyraźnie starsze, mniej okazałe i nie tak bogate. Ten przy Lake Summit Road numer 246 znajdował się nieco dalej; był to rozłożysty kolos w kształcie skrzyni w kolorze psich wymiocin, z widokiem na skos padającym na jezioro, położony na niewielkim skrawku ziemi.

Lacy Hammond otworzyła mu od razu po naciśnięciu dzwonka, jakby stała za drzwiami i czekała już na niego. Badawcze spojrzenie, rozleniwiony uśmiech.

- A gdzie kwiaty i czekoladki? Gdzie drogi alkohol?
- Liczyłaś na prezenty, co?
- Cholera, wcale nie. Nie byłam nawet pewna, czy się w ogóle pojawisz.
- Postawiłaś na „tak” czy na „nie”?
- Na jeden do jednego. Co się tak przyglądasz, handlarzu?
- Tobie się przyglądam. Patrzę, jak jesteś ubrana...

Spodnie koloru wrzosu, bluzka bez rękawów. Bose stopy. Nie umalowana, włosy beładnie przeczesane palcami.

– A czego się spodziewałaś? Seksownej bielizny? Prześwitującej halki? Czy może miałam być zupełnie nago?

- Niczego takiego się nie spodziewałem.
- Aha, pewnie. Może jestem łatwa, ale niebanalna. Wejdz.

Swojski nieład – tak Anna określiłaby ten nieszkodliwy bałagan.

Źle dopasowane meble i – podobnie jak na zewnątrz – brak wyczucia koloru. Tartanowa kanapa, krzesła obszyte żółtawym sztruksem, kobaltowo-błękitny dywan, jedna ściana pomalowana na złoto z domieszką jakiegoś brokatu.

- Ładnie tu – skłamał Cape.
- Okropnie, jak zresztą widać. Tandetny szajs.
- Więc po co tu mieszkasz, skoro ci się nie podoba?

– Bo to moje własne. Dostałam po rozwodzie. Mojemu byłemu trafiło się coś ekstra, w Vegas; dostał się na zastępcę dyrektora w nowo otwartym kasynie. A ja musiałam zostać tutaj i sama sobie radzić.

– W jaki sposób?

– Chodzi ci o to, jak zarabiam na życie?

– Jeśli to nie tajemnica.

– Nie. Naciągam facetów, kiedy widzę, że są nadziani. Naciągam moją siostrzyczkę i jej bogatego męża. A w razie potrzeby pracuję jako barmanka. I jakos mi idzie.

– Nie wątpię.

– No, więc czego się napijesz, handlarzu? Bo ja dziś piję szkocką.

– W takim razie ja też. Najchętniej słodową.

– Nie mam takiej.

– Więc poproszę z lodem. Czy mogę stąd zadzwonić?

– Tylko na numery miejscowe.

– Do twojej siostry i jej męża. Jak mi podasz ich numer.

Zmarszczyła czoło. – Po co chcesz do nich dzwonić?

– Żeby powiedzieć im coś ważnego.

– Co?

– Sama posłuchaj, co będę im mówił.

– Chrzanisz – rzuciła, ale podała mu numer.

Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Tego wieczoru nikogo nie było w domu; wcześniej telefonował do Vince'a Mahannaha i u niego też odezwał się automat. Cape przedstawił się i zostawił państwu Vanowen tę samą wiadomość, którą nagrał Vince'owi Mahannahowi: „Tanya Judson jest tutaj, w Tahoe. Jej partner prawdopodobnie też. Dziewczyna była tak wystraszona, że wdarła się do mojego pokoju w hotelu Grand, machając spluwą i żądając forsy, którą im odebrałem w San Francisco. Nie chciała powiedzieć, skąd wiedziała, gdzie mnie szukać. Ani zdradzić, co kombinują razem z Boone'em. Wspomniała tylko, że Boone wpakował się w kabałę przez kogoś o imieniu Rollo i że ona zamierza go rzucić. Podstępem skłoniłem ją do wyjścia, a potem śledziłem przez całą drogę do South Lake Tahoe. Jeździ niebieskim mitsubishi, wypożyczonym, bo z naklejką Hertza. Zgubiłem ją przy Black Bart Road, na skrzyżowaniu z Pioneer Trail. Nie wiadomo, czy zatrzymała się gdzieś w tamtej okolicy i czy mnie widziała. Radzę wam zgłosić to na policję. Dziewczyna była wyraźnie zrozpaczona. Wszystko potwierdzę, jeśli wy i Vince posłuchacie mojej rady”.

Rozłączył się. A gdy się odwrócił, Lacy jęknęła:

- Na litość boską, o co tu chodzi?
- Nie rozmawiałaś dziś z siostrą?
- Nie. Mówisz, że jakaś kobieta groziła ci spluwą?
- Napijmy się szkockiej, to ci wszystko opowiem.

Całe szczęście, że nie bawisz się w psychoanalitka – przyznała sennie Lacy.

- W jakiego psychoanalitka?
- Takiego, co chce, żeby potem o tym rozmawiać. Mówić sobie nawzajem, jak było cudownie.
- Bo moim zdaniem nie ma sensu ubierać tego w słowa.
- Masz rację. Skoro seks jest udany, najlepiej zachować to dla siebie.

Słowa mogą wszystko zepsuć. – Ziewnęła, przeciągnęła się. – Jesteś żonaty, handlarzu?

- Nie. Kiedyś byłem.
- Jak długo?
- Dwanaście lat.
- Sama popełniałam ten błąd. Moje pierwsze małżeństwo nie przetrwało nawet roku. Zaledwie sześć miesięcy.

– To fatalnie.

– Miałam wtedy dziewiętnaście lat – ciągnęła. – Dla niego największą rozrywką były bójki w spelunach, jazda na motorze i rżnięcie na piętnaście sekund. Mówię serio, piętnaście sekund za każdym razem. Z zegarkiem w ręku. Rach, ciach, i już. Szybki Bill.

Cape milczał.

– Z drugim wcale nie było lepiej. To znaczy, był lepszy w łóżku, ale lubił ostrą, perwersyjną jazdę. Porządnie zarabiał, więc go nieźle udupiłam za te całe dwa lata sadomasochistycznych świństw, które musiałam znosić.

To też Cape pozostawił bez komentarza.

Po chwili Lacy wsparła się na łokciu i spojrzała mu w twarz.

- Wciąż myślę o tym, co mi powiedziałeś – rzekła, tym razem poważnie.
- O tych zdjęciach, o kobiecie ze spluwą i tak dalej. Rozumiesz coś z tego?
- Zupełnie nic.
 - A ona? Nie dała ci żadnych wskazówek?

- Powiedziała tylko to, co już wiesz: że Boone wpakował się w kabałę przez kogoś o imieniu Rollo i że ona chce się od niego uwolnić.
- Rollo... Ciekawe, czy to jego prawdziwe imię, czy przezwisko...
- Niewiadomo.
- Sądzisz, że Stacy coś tutaj zagraża?
- Od Tanyi raczej nie. Jest mocna w gębę, ale niegroźna.
- Czyli od Boone'a?
- Niewykluczone. Trudno go wyczuć. A może są jeszcze inni... Kto wie?
- Inni? Oprócz tego Rolla? Dlaczego tak uważasz?
- Tanya wiedziała, gdzie jestem i jak mnie znaleźć. Ktoś miejscowy musiał jej wskazać. Może ten Rollo, a może nie. Ale jeśli tak, to skąd wiedział?
- Możliwe, że ona widziała cię na ulicy albo w którymś z kasyn.
- Możliwe.
- Ale ty i tak w to nie wierzysz.
- Nie wierzę w zbiegi okoliczności. I mam przeczucie, że cokolwiek się tu święci, nie chodzi tylko o zwykłe karciane oszustwo.
- A o co?
- Twoja siostra podejrzewa, że o porwanie.
- O mój Boże! Chcą ją porwać?
- Ją albo jej męża. W obu przypadkach mogą zażądać wysokiego okupu.
- Ja w to nie wierzę.
- Ja też nie, ale teraz sam już nie wiem.
- Tylko dlaczego uwzięli się akurat na Stacy i Andyego? I na Vince'a?
- Ktoś z tej okolicy ma ku temu powody – odparł Cape. – Jeśli Vanowenowie nie wiedzą, kim jest ten Rollo, musi być ktoś jeszcze. Osoba znana któremuś z nich albo im obojgu na tyle, żeby mieć dostęp do tych zdjęć.
- Daj spokój, handlarzu. To niemożliwe.
- Jedyne logiczne wytłumaczenie.
- Brr! Przez ciebie dostaję dreszczy.
- A może znasz kogoś, kto chciałby zaszkodzić twojej siostrze?
- Chodzi ci o byłych facetów albo kogoś, kto mógłby jej źle życzyć? Nie. Ale Andy... Andy ma raczej wielu wrogów.
- Masz na myśli jakieś konkretne osoby?

- Pojęcia nie mam, kto to jest.
- Może ktoś, kto ma powody nienawidzić i jego, i Mahannaha.
- Będziesz musiał spytać Vince'a. Andym nie zwracaj sobie głowy; on ci nie powie.
- To już właściwie nie moja rzecz – odrzekł Cape. – Przesłuchaniem niech zajmie się policja.
- Andy wcale nie pójdzie za twoją radą i nie zawiadomi policji. Vince też nie.
- Nie?
- Nie chcą mieć do czynienia z prawem, skoro sami mogą temu zaradzić. Powiedzmy, że żaden z nich nie jest bez zarzutu, jeśli chodzi o prowadzenie interesów. Kapujesz, co mam na myśli?
- Kapuję.
- Andy zwietrzył więcej grubego zwierza niż pies myśliwski. I w ten sposób się dorobił.
- To naprawdę nie moja sprawa.
- Stacy też tak mówi. Nic nie widziała, nic nie słyszała. – Lacy usiadła i jedną stopę postawiła na podłodze. – Muszę się napić – oznajmiła. – A ty?
- Może później.
- W takim razie zaraz wracam.

W bladym świetle lampy Cape obserwował, jak wstaje z łóżka i leniwym krokiem idzie po pokoju. Nago wyglądała niezwykle interesująco: wysoko osadzone, jędrne piersi, pełne biodra, długie, smukłe nogi, włosy łonowe tak rozległe i gęste, jakich jeszcze nigdy nie widział u żadnej kobiety. Lubiła pokazywać swoje ciało. Szła, poruszając się zmysłowo, w drzwiach zatrzymała się, częściowo ukazując profil, stanęła przodem, po czym znów odwróciła się i, płynnie kołysząc pośladkami, weszła do salonu. Anna miewała drobne zahamowania; Lacy nie miała ich wcale. Prawdziwy seks, w ubraniu i bez, leżąc i na stojąco.

Po krótkiej chwili wróciła i stanęła przy łóżku, patrząc z góry na niego i sącząc drinka.

- Wystarczy już tych poważnych rozmów, dobrze? Przynajmniej na dziś.
- To twój dom i twoje łóżko.

Postawiła szklankę i znów przeciągnęła się, unosząc piersi jeszcze wyżej. Następnie położyła się i przyłgnęła do niego całym ciałem. Jej dłoń natychmiast znalazła się na jego ciele, ścisnęła go i głaskała.

– To mnie zawsze fascynuje – wyznała – że on sztywnieje i mięknie. Zupełnie jakby żył własnym życiem.

– Zazdrość o penisa...

– Aha. Może nie chciałabym mieć go na stałe, ale od czasu do czasu lubię. – Jej dotyk zaczynał odnosić pożądany efekt. – Miałam dziewięć lat – do-dała – kiedy po raz pierwszy zobaczyłam erekcję.

– U kogo?

– U mojego kochanego tatusia. Gwałcił mnie.

– O Jezu, Lacy!

– To się zdarza. Częściej, niż ci się wydaje.

– I powiedziałaś komuś?

– Nie. On potem płakał, przepraszał, błagał, żebym nikomu nie mówiła. I tak w kółko, za każdym razem. Na trzeźwo był taki kochany, że do rany przy-łóż, ale gdy tylko się schlał, zachowywał się jak parszywa świnia. A pił często, ten mój tatuś...

– Jak długo to trwało?

– Aż skończyłam dwanaście lat.

– Co go powstrzymało?

– Sam się powstrzymał. Pistoletem. Chyba czuł do siebie równie wielką nienawiść, co ja do niego. Ciągle pamiętam ten dzień, najszczęśliwszy w moim życiu. Gdyby on tego nie zrobił, wyręczyłabym go po latach. Przez cały czas myślałam o tym, żeby go zabić, kiedy się mazał, przepraszał, błagał...

Cape nic nie odpowiedział.

– Nie wiem, czy do Stacy też się dobierał – ciągnęła Lacy. – Chyba tak, ale ona nie chce o tym mówić. Po prostu ucieka ód tematu.

Znowu cisza.

– Och, zepsułam ci nastrój. Był już twardy, a teraz znów jest miękki.

– Nasza rozmowa jest chyba pozbawiona zmysłowych treści – odparł Cape. – A podobno miałaś już na dzisiaj dość poważnych tematów. I w łóżku nie chciałaś rozmawiać o seksie.

– Racja. Pojęcia nie mam, po co ujawniam ci moje najskrytsze i najczar-niejsze sekrety rodzinne. – Jej palce wciąż poruszały się rytmicznie: delikatnie, lecz zdecydowanie. – Nic już nie powiem – zapewniła. – Oboje nic już nie mówmy.

Nie musiała długo czekać, aż znów będzie gotowy. Znała mnóstwo sztuczek, wykorzystwała tylko kilka z nich. Tym razem siedziała na nim i jęczała

jeszcze głośniej, jeszcze bardziej nienasycona, niemal oszalała z pożądania. Jakby chciała sama sobie coś udowodnić – że seks rzeczywiście sprawia jej przyjemność i że w gruncie rzeczy lubi mężczyzn, bez względu na swego ojca, szybkiego Bilia, sadomasochistę i wszystkich innych, których znała, a którzy tylko ją przelecieli, za co ich nienawidziła.

Cape wyszedł od niej krótko po północy. Nie pytał, czy może zostać, a Lacy go nie zachęcała. Leżała naga na łóżku i w milczeniu patrzyła, jak się ubiera. Odezwała się dopiero wtedy, gdy był już gotów do wyjścia.

- Więc kiedy wyjeżdżasz z Tahoe? – spytała.
- W niedzielę rano.
- Może przyjdiesz do mnie jeszcze jutro wieczorem?
- Jutro gramy w pokera u Mahannah. Nie mówiłem ci?
- Mówiłeś. Życzę ci powodzenia, ale gdyby szybko cię ograli, będę tu czekać.

- Wezmę to pod uwagę.
- Koniecznie.
- Ja tobie też życzę powodzenia – rzekł do niej. – Na dłuższą metę.
- Dam sobie radę.
- I łatwo się nie poddawaj.
- Tak, wiem. I bierz los w swoje ręce.
- To już nie zawsze się da.
- Ale jak najczęściej – odparła, przeciągając się jak kotka. – To na razie, handlarzu. I gdybyśmy się już nie zobaczyli, dzięki za świetną zabawę.

17.

Lacy miała rację: ani Vanowenowie, ani Mahannah nie chcieli mieć do czynienia z prawem. Wiadomość głosowa od Mahannah czekała na Cape'a w hotelu. Vanowenowie już to przedyskutowali i zgodnie postanowili: żadnych glin. Niech pan nie mówi nikomu o tym, co się wydarzyło, Cape. Porozmawiamy o tym jutro wieczorem przed pokerem. Czekam u mnie przed wpół do ósmej.

Co za ludzie. Ale to by! ich problem, niech się sami martwią. On zrobił swoje. Byle do niedzieli, i już go tu nie będzie.

Spokojny, sobotni poranek w South Lake Tahoe. Cape krążył w okolicy Pioneer Trail i Black Bart Road w promieniu ośmiu tamtejszych przecznic. Jednak nie trafił ani na niebieskiego mitsubishi, ani na Tanyę, ani na Boone'a.

Szkoda było czasu. Zaczął już zastanawiać się, po co zawraca sobie nimi głowę. Żeby znów spotkać się z Tanyą i jej miniaturową spluwą? Czy może znaleźć odpowiedzi na pytania, które właściwie prawie wcale go nie dotyczą?

Zostaw to, Cape. Zajmij się własnym życiem.

Całodniowa przejażdżka wokół jeziora. Fallen Leaf Lake, Emerald Bay, Sugar Pine Point, Pine Beach, Homewood, rojące się od turystów Tahoe City, Carnelian Bay. I z powrotem, wzdłuż granicy z Nevada, a potem spóźniony lunch w Incline Village. Nevada State Park, miejsce zwane Whittell's Castle, ciekawe tylko ze względu na swą nazwę: ostrugany zamek. Skunk Harbor, Glenwood Bay. Ładna okolica, ale nic nowego – widoki podobne do tych, które mijał w górach Sierra i na południowym wybrzeżu. Odczuwał zniecierpliwienie. I silniejsze niż kiedykolwiek pragnienie nowych atrakcji, nowych doświadczeń.

Trochę żałował, że przyjął zaproszenie Vince'a Mahannaha na ten wieczór z pokerem. Ale tylko trochę.

Dom, w którym mieszkał Mahannah, położony był w Glenwood, na północ od Cave Rock, i podobnie jak inne posiadłości bogaczy z Tahoe i okolic, był duży, zbudowany w stylu rustykalnym, z widokiem na jezioro i stał na terenie prywatnym. Ciężte sosnowe bale, sekwojowe gonty i taras otoczony balustradą, brukowana ścieżka, wiodąca na betonowy pomost w kształcie litery T. Wystrój wnętrza można było przewidzieć: boazeria z sekwoi, kamienny kominek, głowy zwierząt, indiańskie dywaniki i malowidła ściennie, oszklony stojak na broń, pełen drogich na oko karabinów i śrutówek. Sala gier o powierzchni około dwunastu metrów kwadratowych, z wyjściem na taras z widokiem na jezioro. Tu też kamienny kominek, sofy i krzesła obite ciemną skórą, barek, a pośrodku, tuż pod lampą z zielonym abażurem, tradycyjny stół do pokera:

sześciokątny, pokryty zielonym, wytartym filcem, z wgłębieniami na żetony dla każdego gracza.

Gdy tylko Mahannah wprowadził Cape'a do środka, jakiś mężczyzna siedzący na kanapie zerwał się jak rażony piorunem. Andrew Vanowen. W kremowym swetrze z kaszmiru, perłowo-szarych spodniach, mokasynach od Gucciego – jak zwykle niewyszukanie elegancki. Mahannah też miał na sobie drogie ubranie: skrojone na miarę spodnie khaki i ręcznie szytą koszulę. W porównaniu z nimi zakupione w sklepie gotowe spodnie i pulower Cape'a wyglądały na tandetne. Dawniej czułby się nieco onieśmielony w takim miejscu, w obecności takich osób. Ale teraz już nie.

Dostrzegł Vanowena, który na jego powitanie odpowiedział mechanicznym skinieniem głowy. Drink w dłoni Vanowena mógł być zaprawiony sokiem z cytryny, sądząc po skrzywionej minie.

- Zapraszam do baru – rzekł Mahannah do Cape'a.
- Nie, dzięki. Nie piję przed grą. Ani podczas gry.
- Naprawdę? Ja też nie.
- Ja mam mocną głowę – oznajmił przekornie Vanowen.
- Jasne, Andy – zgodził się Mahannah. – Nie bierz tego do siebie.

Vanowen przypatrywał się Cape'owi spod przymrużonych powiek. Wypieki na jego twarzy świadczyły o tym, że zdążył już sporo wypić.

– No, dość już tej towarzyskiej gadki – uciał. – Niech nam pan opowie o tej kobiecie, Cape. O Tanyi.

– Opowiedziałem już w skrócie, kiedy nagrałem wam wiadomość wczoraj wieczorem.

- Chcę to usłyszeć od pana teraz, w szczegółach.
- No właśnie, proszę zrobić nam tę przyjemność – dodał Mahannah.

Cape zrelacjonował im cały incydent od początku do końca. Imię „Rollo” nie mówiło nic żadnemu z nich, a przynajmniej tak twierdzili.

– Coś mi się zdaje, że to nie jest jego prawdziwe imię – stwierdził Vanowen. W jego głosie nadal brzmiała nutka przekory. Odpowiedzi Cape'a na jego dociekania, mniej więcej te same, które przedtem padły z ust Lacy, wyraźnie go nie zadowalały. Nie przestawał dążyć, zadawał w kółko te same pytania.

– No nie – rzekł Cape, znudzony tym przesłuchaniem. – Ile razy mam to jeszcze powtarzać? Wiem dokładnie tyle samo, co wy.

- Czyżby? – spytał Vanowen.
- Przecież mówię wam.
- Chrząni pan, Cape. Ma pan nas za idiotów?
- O co panu chodzi?
- Dość już tych gierek. – Zakołysał szklanką, skubnął dolną wargę, przestawił stopy i zamachał rękami. Przypominał marionetkę na niewidzialnych sznurkach. – No dalej! Niech pan gada, w czym rzecz. I skończy ten teatr.
- Jaki teatr?
- Andy uważa – wtrącił Mahannah obojętnym tonem – że pan tylko udaje samarytanina. I podejrzewa pana o jakieś ukryte zamiary.
- Zdaje się, że chce nas pan w coś zrobić – dodał Vanowen. – Takie odnoszę wrażenie.
- O, rany boskie!
- Proszę spojrzeć na to z naszej strony – odparł logicznie Mahannah. – Zjawia się pan nagle w Tahoe, przywozi ze sobą zdjęcia, które w żadnym wypadku nie powinny znaleźć się w posiadaniu obcej osoby. Opowiada nam pan jakąś nieprawdopodobną historię o dwojgu szulerów, na którą nawet brak dowodów. Mówi pan o jakichś ludziach, których nie wiedzieliśmy na oczy. Wcale się z nami nie kontaktowali, a pan twierdzi, że kręcą się koło nas. A potem kolejna historia bez dowodów: jakaś kobieta zjawia się nagle w hotelu, w pańskim pokoju, i strzela do pana na oślep. Czy na naszym miejscu nie uznałby pan, że to trochę podejrzane?
- Jedźcie panowie ze mną do hotelu Grand – odparł Cape słabym głosem przez ściśnięte gardło – to pokażę wam ślad po kuli na dywanie.
- Vanowen prychnął jak zwierzę.
- Do diabła, przecież to żaden dowód! Sam mógł pan przestrzelić dywan.
- Ale po co? W jaki sposób miałyby to pomóc mi was zrobić?
- Samemu proszę nam to wyjaśnić.
- Nic nie będę wyjaśniał. Wszystko już powiedziałem. Nie obchodzi mnie, do diabła, co pan sobie myśli i co kombinują Judsonowie. Zobacz pan, że któregoś dnia jedno z nich zjawi się w pobliżu i pchnie pana prosto pod koła autobusu. Ale dość już tego. Spadam stąd.
- Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Mahannah dogonił go w chwili, gdy pchnięciem otwierał drzwi, i chwycił go za ramię, ale Cape wyswobodził się i wyszedł.

- Niech pan zaczeka, dobrze?
- Po co? Odechciało mi się z wami rozmawiać.
- A jeśli się przyznam, że nie podzielam opinii Andy'ego?
- Nic mnie to nie obchodzi.

Cape ruszył po żwirowym placu do miejsca, gdzie zaparkował korwetę. Mahannah pośpieszył za nim i zastąpił mu drogę do samochodu.

– Spokojnie, przyjacielu – odezwał się swym miękkim głosem. – Mówię poważnie: nie zgadzam się z Andym. Moim zdaniem był pan z nami szczerzy, i to pod każdym względem.

- To dlaczego trzyma pan jego stronę?
- Wcale nie. Występowałem tylko w roli adwokata diabła. Sam pan przyzna, że to wszystko może się wydawać nieco naciągane, zwłaszcza że nie ma żadnych dowodów.

Cape złagodniał.

- Chyba tak.
- To on był agresywny, nie ja.
- Agresywny, arogancki, ordynarny. Co za palant!
- Co do tego nie będę się sprzeczał. Ale mogę przekonać go, żeby posłuchał głosu rozsądku. Tylko niech mi pan da szansę. Chodźmy do środka i spróbujmy jeszcze raz.

- Ale po co? Proszę mi podać jeden dobry powód.
- Podam panu aż cztery – odrzekł Mahannah. – Główny z nich to taki, że podobnie jak i my, sam jest pan ciekaw, co tu się święci. Jeśli wspólnie się zastanowimy, to może zdołamy logicznie to wyjaśnić.

- Wątpię.
- A jednak mimo wszystko warto spróbować.
- No dobrze – zgodził się Cape. – A pozostałe trzy powody?
- Najpierw to, że i tak już pan tu jest, to z kolei znaczy, że lubi pan hazard, no i nie ma pan dziś wieczorem nic innego do roboty. Inaczej wcale by pan nie przyszedł.

Cape pomyślał przez chwilę.

- Zgoda. Ale jeśli tylko Vanowen znów zacznie się mnie czepląc, spadam stąd raz na zawsze.

*

Pozostali gracze zaczęli schodzić się kwadrans po ósmej, a za dwadzieścia dziewięć wszyscy byli już na miejscu: J. T. Sturgess – właściciel agencji nieruchomości z South Lake Tahoe, Jack Wineberg – zastępca dyrektora kasyna z North Shore, Sherman Bellah – właściciel jednego z miejscowych ośrodków narciarskich, Wayman Jones – niezależny reporter z Tahoe Keys. Każdy z nich miał ujmującą powierzchowność i jawne zamiłowanie do pokera. Alkohol pili w umiarkowanych ilościach, nie palili – widocznie Mahannah nie znosił tytoniu i nie pozwalał palić w domu. I byli przyjaźnie nastawieni. Tylko Vanowen zatruwał atmosferę.

Mahannah jednak porozmawiał z nim i cokolwiek mu powiedział, zadziałało, bo od tamtej chwili Vanowen zachował swoje podejrzania wyłącznie dla siebie. Burza mózgów nie odniosła żadnego skutku poza tym, że Vanowen i Mahannah stanowczo nie chcieli mieszać w to policji, chyba że w zaistniałych okolicznościach byłoby to nieuniknione.

Cape zdążył już uspokoić się do czasu, gdy cała szóstka usiadła przy stole do pokera. Wieczór był dość ciepły, więc Mahannah zostawił otwarte drzwi na taras. Cape siedział przodem do okna i miał widok na wyraźną, żółtą poświatę księżycy odbijającą się w tafli jeziora. Mahannah siedział po jego prawej stronie, Bellah po lewej, a Vanowen naprzeciwko.

To była gra w jego stylu. Gracze też. Rzadka wymiana zdań i bez niedorzecznych uwag. Po prostu stary, tradycyjny, czysty poker. Uprzejma rywalizacja, ale w duchu zaciętości. Prócz tego łączyło ich coś jeszcze: żądza wygranej. Żaden z nich nie był na straconej pozycji. Nawet Vanowen zagrywał ostrożnie, w całkowitym skupieniu.

Dwie ogromne pule przy pierwszych sześciu rozdaniach. Cape nie spasował, ale przegrał obie. Sturgess i Mahannah wywierali na niego presję, sprawdzali, na co go stać, próbowali odgadnąć jego styl gry. Ale on dał się rozgryźć tylko na tyle, na ile oni jemu. Wineberg chciał zablokować przy następnym rozdaniu, jednak to Cape wygrał parą szóstek z trójkami Wineberga. Wtedy zaczęli traktować go już jak równego sobie.

Szybka gra, poważna, ale bez przesady, stawki wysokie, ale nie na tyle, żeby zniechęcić Cape'a. Zrezygnowałby tylko wtedy, gdyby zaraz na początku przytrafiła mu się dobra passa. Ale tak się nie stało; w ciągu pierwszej godziny przegrał tysiąc sześćset. Nie zmienił jednak taktyki; przy obiecujących rozdaniach nadal odważnie obstawiał, aż w końcu zaczęły mu się trafiać coraz lepsze

karty. Wygrał dwa razy pod rząd w pokera pięciokartowego dobieranego, raz przegrał, a potem zgarnął pulę wysokości dwóch tysięcy ośmiuset dolarów, bijąc kolorem na asie pik trójkę króli Wineberga i małego strita Vanowena. Wtedy poczuł padające z naprzeciwka rażąco gniewne spojrzenie. Vanowen nie znośił przegrywać, a tego wieczoru wyraźnie nie miał szczęścia.

Po trzech godzinach Mahannah i Jones zdecydowanie prowadzili, Cape zaś powoli dorobił się dwóch tysięcy stu dolarów. Vanowen zgarnął tylko jedną niewielką pulę, przegrał prawie pięć tysięcy i już zaczęło go to irytować. Gdy tylko przegrywał albo pasował, obrzucał Cape'a wściekłym spojrzeniem, jakby tylko on ponosił za to winę. Co kilka minut wstawał od stołu, żeby napełnić szklankę przy barze. Wszyscy to dostrzegli, lecz tylko Mahannah odważył się to skomentować.

- Noc jeszcze młoda, Andy. Po co przesadzać z trunkiem?
- Nie chcę słuchać kazań na temat picia alkoholu.
- To nie kazanie, tylko uwaga.
- W takim razie zachowaj swoje uwagi dla siebie.

Wreszcie Vanowen zgarnął kolejną pulę, tym razem dość dużą, ale i to nie zdołało poprawić mu humoru. Wciąż patrzył spode łba i sączył alkohol. Gdy przy rozdawaniu przyszła jego kolej, piasnął o stół siedmioma kartami. Cape miał króla i waleta i jako pierwszą kartę odkrył waleta. Dobrze mu to wróżyło. Obstawił obie karty, trafił na kolejnego waleta i potwierdził wejście. Vanowen miał dwie dziesiątki i zaraz podbił pulę o sto dolarów, Cape podniósł stawkę o kolejne sto, wrzucił do puli i znów przyciągnął gniewny wzrok Andyego.

Vanowen wziął talię kart i już miał rozdawać, gdy nagle zeszywniał, a w jego oczach zamiast wrogości pojawiło się zaskoczenie.

- Jezu Chryste! – wybuchnął.

Pozostali jęknęli, przerażeni, i skierowali wzrok na coś za plecami Cape'a. Cape odwrócił głowę... i zamarł.

Ktoś był w pokoju. Wszedł bezszelestnie, a teraz zbliżał się do stołu. Niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, krępa sylwetka, ubrany cały na czarno, naciągnięta na głowę czarna kominiarka, a w jednej ręce automat dużego kalibru.

– Nie ruszać się, bo wszystkich pozabijam! – Chrypliwy, spięty męski głos, stłumiony przez kominiarkę. – Ręce na stół. No już!

Posłuchali. W pokoju nagle zapanowała pełna napięcia atmosfera. Cape poczuł na karku mrowienie i gęsią skórkę.

Uzbrojony bandyta wyjął z kieszeni jakiś biały, zwinięty materiał i podszedł na tyle blisko, by rzucić go na stół. Poszewka od poduszki albo worek po mące. – Ej, ty – zwrócił się do Sturgessa, u którego był bank. – Wkładaj tu forszę. Szybciej!

Vanowen otworzył usta.

- Nie wywiniesz się z tego – odezwał się.
- Stul pysk.
- Myślisz, że nie wiemy, kim jesteś? Że ta maska ci pomoże?

Cape zerknął na niego. Żyły napęczniały mu na szyi, pulsowały na skroniach. Rozognione od trunku oczy patrzyły gniewnie, z pogardą, ale bez strachu.

– Mówiłem ci, stul pysk, idioto. – Trzymająca automat dłoń drgnęła niespokojnie i zakołysała się. Cape miał wrażenie, że obserwuje zwiniętego, jednookiego węża. – A pozostali niech wyłożą portfele, zegarki i kosztowności na stół. Wszystkie, co mają. Jedną ręką. Drugą położyć tak, żebym miał ją na widoku.

W milczeniu zrobili, jak im kazał. Tylko Vanowen się ociągał, a kiedy wyjął już portfel, cisnął go mocno na filcowy blat. Platynowy sygnet na palcu jego lewej dłoni z kręgiem okazałych diamentów lśnił i mienił się w świetle nisko zawieszanej, małej lampki. Andy jednak nie zdjął go, tylko zasłonił drugą dłonią.

– Wszystko do worka – nakazał bandyta Sturgessowi. Kiedy worek był już pełen, dodał, wskazując na Cape'a: – Podaj go do tego faceta.

Cape sięgnął po worek.

– A teraz podaj mi go prawą ręką.

Cape posłuchał, a bandyta podszedł, wyrwał mu go i cofnął się z powrotem.

– Ej, ty – zwrócił się tym razem do Vanowena. – Co tam chowasz? Zdejmuj ten sygnet i rzuć go tutaj.

Ale Vanowen siedział bez ruchu i tylko patrzył wściekłym wzrokiem.

- Zdejmuj go. Szybko!
- Niech cię szlag, Judson. Bo tak się chyba nazywasz, nie?
- Andy, na miłość boską! – jęknął ostrzegawczo Mahannah.
- Boone Judson. To ty...

Zamaskowany człowiek strzelił. Prosto w twarz. Zdawało się, że głowa Vanowena eksplodowała jak puszką z jasnoczerwoną farbą.

Lufa automatu przesunęła się i padł kolejny strzał, tym razem wymierzony w Cape'a.

18.

Cape tymczasem zdążył już zsunąć się z krzesła na bok i paść na podłogę. Kula śmignęła tuż obok, przeszywając lewą połą jego koszuli. Wtulił się w podłogę, nogi zaplątały mu się pod krzesłem. Usłyszał kolejny strzał i w tej samej chwili poczuł, że cały stół zwała się na niego. Jednak i tym razem kula chybiła; metalowy nabój uderzył w jakiś twardy przedmiot tuż przy jego głowie.

Dookoła panował chaos. Jęki, krzyki, szybkie kroki, odgłosy szamotaniny na drewnianej podłodze, powietrze gęste od swądu spalonego prochu. Kant przewróconego stołu wpijał mu się w plecy; ktoś usiłował podnieść się i łokciem trzasnął go w szczękę. Nagle poczuł, że cały ciężar zsuwa się z niego. Kopnięciem wy dostał nogi spod krzesła i obrócił się na plecy. Jedną ręką przesliznęła się po czymś mokrym i lepkiem, gdy podciągając pod siebie kolana podparł się na niej i wstał chwiejnie.

Przez pierwszą sekundę lub dwie zobaczył tylko rozmyte kształty. Ale gdy odzyskał ostrość widzenia, zorientował się, że bandyty nie ma już w pokoju. Szybkie kroki... wciąż je słyszał w innej części domu. Czyżby kierowały się do wyjścia? Pobiegł za nimi, nie oglądając się za siebie. Nie zareagował nawet wtedy, gdy ktoś zawołał go po imieniu, tylko biegł naprzód, zostawiając innych i całe to zamieszanie za sobą.

Drzwi były otwarte. Jednym susem znalazł się na zewnątrz. Mleczne światło księżycy spowijało zwirową ścieżkę i rzucało poświatę na ciemne kształty zaparkowanych aut. Wokoło ani żywego ducha. Podjazd i droga, od której prowadził, przypominały gładkie, czarne wstęgi. Wtedy jego słuch wyłowił jakieś szelesty, trzask pękających łamanych i deptanych gałęzi: bandyta był w lesie nad brzegiem jeziora. Cape minął dom, taras i pobiegł możliwie najdalej na drugą stronę ścieżki. Była tam alejka skracająca w gęstwinę drzew. Przez okap gałęzi przesączało się światło księżycy, które rozmywało kontury i pozwalało mu zorientować się, dokąd zmierza.

Niespodziewany odgłos: w dali, gdzieś z przodu, ktoś uruchomił silnik.

Po ciemku Cape nie był w stanie przyspieszyć kroku. Już dwukrotnie niemal wpadł na drzewo. Po jego prawej stronie wyłoniła się wąska zatoczka, a następnie pas porośniętej drzewami ziemi. Gdzieś przed nim odgłos silnika wzmógł się do miarowego terkotu i powoli zaczął cichnąć. Ktoś odpływał od brzegu łodzią.

Cape brnął dalej naprzód, aż dostrzegł wyraźny, żółtawo-czarny poblask tafli jeziora. I znów zatoczka, kolisty pas błota i piachu tworzący plażę otoczoną podeptanymi paprociami i zaroślami, bruzda wryta w wilgotnej ziemi tam, gdzie wcześniej stała wyciągnięta z wody łódź, której niewyraźny kształt było widać teraz na jeziorze, kilkaset metrów od brzegu, jak porusza się szybko na południowy zachód. Po kilku sekundach, gdy Cape zdyszany stał już na brzegu, kształt ten zniknął całkiem za jakimś wąskim, zalesionym półwyspem.

Nagle ciszę przerwał dobiegający tuż za nim z lasu hałas, a potem rozległo się wołanie: – Cape! Gdzieś się pan podział, do diabła? – To był głos Mahannah. Cape obejrzał się i dostrzegł rozbiegane snopy latarek, tworzące między drzewami poprzez grę światła i cienia jakies dziwaczne kształty. Nie odpowiedział na wołanie, tylko stał i czekał.

Mahannah wyłonił się jako pierwszy. W jednej dłoni trzymał latarkę, w drugiej ścisnął śrutówkę ze swej kolekcji broni. Sturgess i Wineberg szli tuż za nim, nieuzbrojeni.

– Dokąd zwał? – spytał Mahannah.
– Na jezioro. Miał tu motorówkę.
– Ryzykował pan życie w tej gonitwie – zauważył Sturgess. – Pana też mógł załatwić.

– W domu było dużo gorzej. Dwa razy do mnie celował.

Cape minął pozostałych i ruszył ścieżką z powrotem. Po kilku sekundach dogonili go. Mahannah szedł obok, oświetlał drogę latarką. Milczał, podobnie jak Cape.

W domu, na kanapie, siedzieli Bellah i Jones z dużymi kieliszkami koniaku w dłoni. Obaj byli bladzi i mieli zszokowane miny. Ciało Andrew Vanowena leżało przykryte jakimś prześcieradłem. Na wysokości jego twarzy widniały plamy krwi. Stół wciąż leżał przewrócony na bok, a rozsypane żetony i karty, potłuczone szkło i czerwone smużki pokryły podłogę i zasłonięte płótnem zwłoki.

Jones drgnął i rzekł do Mahannaha: – Musieliśmy go przykryć. Jego mózg... i ta krew...

– Czy ktoś powiadomił policję?

– Tak – odparł Bellah. – Są już w drodze.

Cape obszedł pokój naokoło i stanął przy barze. Dopiero teraz odczuł skutki tego, co się stało; rozboleła go głowa, nogi miał jak z waty. Gdy oparł się o blat, zauważył krzepnącą czerwoną plamę na swojej dłoni. Krew Vanowena. W zlewie za barem umył ręce.

– W sypialni masz otwarte okno, Vince – oznajmił Jones. – Widocznie tamtędy ten drań dostał się do środka.

– Skąd on wiedział o naszej grze? – dociekał retorycznie Wineberg. – Przecież nigdy się z tym nie afiszujemy.

– Nieważne. Tylko dla czego, na Boga, załatwił nieszczęsnego Andy'ego? Cape upił łyk koniaku.

– Bo Andy go rozpoznał – stwierdził Sturgess. – I zdradził jego nazwisko, jeszcze zanim tamten do niego strzelił. Jak mu tam było... Johnson?

– Judson – poprawił go Mahannah. – Boone Judson.

– Właśnie. Ale kim, do diabła, jest ten Judson? Skąd Andy go znał?

Mahannah odwrócił się i spojrział na Cape'a. Jego gładka, urodziwa twarz ukazała ponury grymas. Zniknęło przyjazne spojrzenie.

– To się nie zgadza – rzekł Cape.

– Co pan ma na myśli?

– Nie dlatego zabił Vanowena, że został rozpoznany. I nie dlatego wycelował potem we mnie dwie kule.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Kiedy podszedł bliżej i wyrwał mi z ręki worek z forszą, przyjrzałem się jego oczom przez wycięte w masce dziury. Miał brązowe oczy.

– I co z tego?

– Judson ma niebieskie – wyjaśnił Cape. – Kimkolwiek jest ten bandyta, to na pewno nie Boone Judson.

19.

W ciągu niespełna godziny w całym domu i posesji zaroilo się od policjantów. Dowodził nimi śledczy w cywilu, kapitan D'Anzello. Już po czterdziestce, rosły, ale niezbyt gruby, z pozoru łagodny i powolny, z czupryną czarnych

włosów i krzaczastymi, popielatymi wąsiskami. Kompetentny fachowiec. Typ człowieka, który nie potrzebuje wiele mówić ani działać, by wzbudzić szacunek czy zainteresowanie, a sama jego obecność czyni z niego centrum uwagi.

D'Anzello zadał kilka wstępnych pytań, żeby uzyskać ogólne informacje o tym, co zaszło. Następnie prosił każdego z nich po kolei do gabinetu Mahannah, podczas gdy pozostali czekali w salonie na swoją kolej. Mahannah wszedł tam jako pierwszy. Cape wiedział więc, jeszcze zanim go poproszono, że wejdzie jako drugi.

Gabinet miał taki sam zdecydowanie surowo męski wystrój, który cechował cały ten dom. Najwięcej miejsca zajmowało biurko z jakiegoś wypolerowanego drewna, które pasowało kolorystycznie do boazerii z sekwoi. D'Anzello jednak nie zasiadł przy biurku. Wraz z innym, młodszym cywilem stali na środku pokoju i czekali.

- Proszę usiąść, panie Cape – poprosił D'Anzello.
- Postoję, jeśli to panu nie przeszkadza.
- Jak pan woli. Pan Matthew Cape, tak?
- Zgadza się.
- Aktualne miejsce pobytu?
- Hotel Lakeside Grand w Stateline.
- Stałe miejsce zamieszkania?
- Nigdzie. Pan Mahannah na pewno wspomniał o tym...
- A gdzie pan był ostatnio zameldowany?
- W Rockford, w Illinois. Tam się urodziłem i mieszkalem przez całe życie. Wyjechałem dopiero kilka tygodni temu.

- A co takiego wydarzyło się kilka tygodni temu?

Cape opowiedział krótko i zwięźle.

- A teraz podróżuje pan po kraju, żyje pan na walizkach? Prowadzi pan wędrowny tryb życia?

- Można to tak określić.

- A skąd pan bierze na to pieniądze?

- Głównie z oszczędności.

- I z hazardu?

- Raczej nie. Lubię wprawdzie hazard, ale to tylko hobby.

- Grywa pan w pokera o wysokie stawki?

- Jeśli mnie na to stać. Dziś na przykład trochę ryzykowałem.

Ten drugi śledczy z biura szeryfa miał włączony magnetofon, a oprócz tego sporządzał jeszcze notatki. Jego zadaniem było chyba pilnować, by nie umknęły

im wszelkie istotne informacje. D'Anzello zaś przeprowadzał rozmowę.

- Był pan już kiedyś karany?
- Za hazard? Nie.
- A za inne przestępstwa?
- Miałem młodsze wpadki w Rockford.
- A konkretnie?
- Posiadanie marihuany w wieku piętnastu lat. Ale oskarżenie wycofano.
- Nadal pali pan trawkę, panie Cape?
- Nie.
- Bierze pan inne narkotyki?
- Też nie.
- Miał pan jakieś kłopoty w wieku dojrzałym? Mam na myśli konflikty z

prawem.

- Żadnych.
- Żadnych mandatów za przekroczenie prędkości?
- Ani za nieprawidłowe parkowanie – dodał Cape.
- Wie pan, że możemy to sprawdzić.
- Proszę bardzo. Ostatnio kontakt z przestępstwem miałem jakiś miesiąc temu, w Nowym Orleanie. Przypadkowo byłem świadkiem kradzieży torebki, ruszyłem więc w pogoń za złodziejem, złapałem go i trzymałem tak długo, aż przybyła policja. To też możecie panowie sprawdzić.

– Sprawdzimy – zapewnił D'Anzello. – A teraz pomówmy o tym, co pana tu sprowadza.

- Mahannah na pewno wszystko już powiedział...
- Chciałbym jednak usłyszeć to od pana.

Cape wykrzywił wargi w słabym uśmiechu.

- Wie pan, mam już serdecznie dość opowiadania tej historii.
- Dziś wieczorem zamordowano tu człowieka, panie Cape – odparł D'Anzello nieco ostrzejszym tonem. – Proszę opowiedzieć wszystko jeszcze raz i niczego nie pomijać.

- Zgoda. Raz jeszcze mogę.

Kiedy skończył, D'Anzello spytał: – Czy ja dobrze zrozumiałem? Odebrał pan Judsonom torbę z pieniędzmi i pozwolił, żeby uszło im to na sucho?

- Właśnie tak.

- Dlaczego? Orznięli pana i tych ludzi z konferencji. Zawodowi szulerzy, którzy na pewno oskubią jeszcze niejednego uczciwego człowieka. Skoro pan jest taki dobroduszny, to dlaczego w San Francisco nie zgłosił pan tego na policję, żeby ich zwinęli?
- Wcale nie twierdzą, że jestem dobroduszny. Nie należę do tej kategorii ludzi.
- A do jakiej?
- Do żadnej. Wtedy, w Rockford raz dałem się zaszufladkować na kilka lat. Stanowczo za długo.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Dlaczego nie zawiadomił pan policji?
- Bo wtedy musiałbym zostać tam jeszcze przez kilka dni, a nawet dłużej. Nie chciałem się w to mieszać.
- Ale przyjechał pan tu ze zdjęciami. I miesza się pan w sprawy Mahannah i Vanowenów.
- Nie po to przyjechałem do Tahoe – wyjaśnił Cape. – Mówiłem już, że lubię hazard.
- A fakt, że dostarczył pan zdjęcia i przekazał informacje o Judsonach, to przypadkowy dobry uczynek?
- Skoro tak to pan określił...
- Podobnie jak podział szesnastu tysięcy dolarów między pozostałych oszukanych?
- To nie było przypadkowe.
- I ani przez chwilę nie pomyślał pan, żeby te szesnaście tysięcy zatrzymać dla siebie? Przecież nikt oprócz Judsonów nawet by nie wiedział... A ci i tak nie byli w stanie nic zrobić.
- Nie jestem złodziejem – odparł Cape. – Pieniądze należały też do innych graczy, którzy zostali oszukani podobnie jak ja. Jeśli nie wierzy pan, że je zwróciłem, podam panu ich nazwiska. Adresy otrzyma pan w tamtym hotelu. Proszę osobiście ich zapytać.
- A może miał pan na głowie jakieś ważniejsze sprawy? – spytał D'Anzello łagodnym tonem.
- To znaczy jakie?
- Vanowenowie, Vince Mahannah... Dzięki zdjęciom wkuł się pan w ich łaski, został zaproszony na pokera w kameralnym gronie.
- Tak pan sądzi?
- Na razie jeszcze nic nie mogę sądzić.

- Pojęcia nie miałem, kim są ci ludzie ze zdjęć. Dowiedziałem się dopiero tu, na miejscu.
- A może w torbie było coś jeszcze, co pomogło panu ich zidentyfikować.
- Niczego innego nie było.
- To pan tak twierdzi. A my mamy tylko pańskie słowo.
- I o pokerze u Mahannaha też dowiedziałem się wcześniej na podstawie zawartości torby, tak?
- Całkiem możliwe.
- Przecież sam się tu nie wprosiłem – tłumaczył Cape. W czaszce mu dudniło, w żołądku mdliło aż do bólu. – To Mahannah mnie zaprosił. Niech go pan zapyta.
- Już pytałem. Gdyby pana nie zaprosił, byłby pan może gotów dopuścić się manipulacji tylko po to, żeby się tu dostać...
- I zaplanować to, co tu się dziś wydarzyło, tak? Do tego pan zmierza?
- Tak. W celach rabunkowych. Istnieje taka możliwość.
- Sugeruje pan, że działałem w zмовie z tym bandytą? Kompletna bzdura!
- Pan Vanowen rozpoznał w nim Boone'a Judsona na chwilę przed śmiertelnym strzałem. Wszyscy to potwierdzili.
- Vanowen się mylił. Sylwetka była wprawdzie podobna, ale Judson ma niebieskie oczy, a zabójca miał brązowe. Powiedziałem im to, jeszcze zanim zdążył pan tu przyjechać. I nie miał soczewek kontaktowych, jeśli o to panu chodzi. Po co Judson czy ten bandyta mieliby zmieniać kolor oczu?
- Nie o to mi chodzi – przerwał mu D'Anzello.
- Nie?
- Nie. Rzecz w tym, że o kolorze oczu Judsona wiemy tylko od pana, a pańskich słów nie da się potwierdzić. Podobnie jak innych informacji na jego temat.
- Więc jaka jest pańska wersja wydarzeń? Vanowen zginął, bo zabójca przestraszył się, że został rozpoznany?
- To chyba logiczne.
- Ale to nie był Boone Judson – protestował Cape, usilnie starając się zapanować nad emocjami. – Ostatnie dwa strzały wymierzone były we mnie. Proszę spojrzeć na tę dziurę wypaloną w mojej koszuli, jeśli mi pan nie wierzy.

Skoro byłem jego współnikiem, to dlaczego chciał mnie kropnąć?

– To chyba oczywiste, nie? Forsę miał już w ręce i gdyby zabił też pana, nie musiałby się nią dzielić. Jeden trup mniej czy więcej, co za różnica?

– Myli się pan, kapitanie. Grubo się pan myli.

– Więc niech mi pan to lepiej wytłumaczy. Kto jest zabójcą, skoro nie Judson?

– Ktoś, kto ma łódź. I zna okolicę jeziora na tyle dobrze, żeby trafić tam po ciemku, a w dodatku na rauszu. To ktoś miejscowy.

– Na rauszu?

– Poznałem po jego sposobie poruszania się i po tonie głosu. Miał też rozszerzone źrenice.

– Więc jakim cudem dostrzegł pan kolor jego oczu?

– Rozszerzona źrenica nie przysłania tęczy. Mówię panu, że były brązowe.

– To dlaczego wcześniej pan o tym nie wspomniał?

– Bo nie miałem okazji. Zasypywał mnie pan pytaniami o moje życie osobiste.

Kapitanowi D'Anzello nie spodobała się ta uwaga. Dodał tylko: – Skoro Vanowen zidentyfikował go błędnie, to dlaczego zginął?

– Tego nie wiem.

– A w ogóle skąd Judson i ta kobieta – Tanya, tak? – mieli te zdjęcia? Po co przyjechali do Tahoe? Dlaczego kobieta była tak przerażona, kiedy pojawiła się u pana w hotelu Grand? I skąd wiedziała, jak pana znaleźć? Co oni mają wspólnego z tym, co tu się dziś stało?

– Ta sama odpowiedź na wszystkie pytania: nie wiem.

– A to, co pan wie, wyznał już pan nam i wszystkim innym?

– Tak jest. I nie macie dowodów na to, że jest inaczej.

– Tak pan sądzi?

– Tak, bo to jedyna i szczerą prawdą.

– To się okaże...

– Jeszcze jakieś pytania czy mogę już wyjść? – spytał Cape.

– Z pokoju tak, ale proszę jeszcze nie opuszczać tego domu.

– Chciałbym się wyspać.

– Wszyscy byśmy chcieli – odparł mu D'Anzello. A gdy Cape skierował się do drzwi, dodał jeszcze: – I proszę przedłużyć sobie pobyt w hotelu Grand. Zrozumiano?

– Tak, zrozumiano – rzucił, rozgoryczony.

- Bardzo cenię sobie wszelką współpracę, panie Cape. Wówczas łatwiej mi uwierzyć w czyjaś niewinność z powodu braku dowodów, a nie odwrotnie.
 - Może pan być spokojny, będę do pańskiej dyspozycji, gdy tylko będzie chciał pan znów ze mną rozmawiać.
- „Do pańskiej dyspozycji” oznaczało to samo co „w potrzasku”.

Zwolnili go dopiero o trzeciej nad ranem. Cape siedział już w korwecie i rozgrzewał dudniący silnik, gdy Mahannah wybiegł z domu i nachylił się do szyby. Po raz pierwszy od przyjazdu policji miał teraz okazję rozmawiać z Cape'em sam na sam. Sycząc, wyrzucał z siebie słowa, które narastały w nim niczym wpompowany gaz.

- Jeśli miał pan z tym coś wspólnego, Cape, przysięgam na Boga: pożałuje pan, że żyje.
 - Nie miałem z tym nic wspólnego.
 - Nie szkodzi. I tak to wszystko po części pańska wina.
 - Skąd taki wniosek?
 - Przyjeżdża pan tu, stawia nas wszystkich na baczność. Pewnie do niczego takiego by nie doszło, gdyby tylko, do diabła, trzymał się pan z dala od Lake Tahoe.
 - Bo prawdopodobieństwo włamania byłoby wtedy mniejsze bez względu na to, czy grałbym dzisiaj tu z wami, czy nie...
 - Właśnie. Dlatego nie podoba mi się to.
- Cape nie odpowiedział.
- Nieważne, czy jest pan winny, czy nie, Cape – rzucił Mahannah na pożegnanie – ale przynosi pan pecha. Jest pan jak taka przegrana karta.

20.

Nie mógł spać. Był zbyt przejęty.

Otoczony gęstą ciemnością, myślami wciąż powracał do wydarzeń ostatnich dni. Ślady prowadzące donikąd, sprzeczne ze sobą wersje. Czuł się tak, jakby przygotowywał prezentację towaru, nie znając połowy faktów i liczb.

Tylko ostatnie słowa Mahannah miały jakiś sens. To jedno się zgadzało.

Pechowy Cape.

Jak przegrana karta.

Gdzieś po szóstej wreszcie zasnął. Spał jednak tylko dwie godziny. Obudził się półprzytomny, z bólem w stawach, zlany potem. Nawet długi prysznic nie poprawił mu samopoczucia.

Przed wyjściem z pokoju zadzwonił jeszcze do Visa i MasterCard zgłosić, że skradziono mu karty kredytowe. Na dole załatwił przedłużenie pobytu w hotelu Grand. Wczoraj, przed wyjazdem do Mahannah, w hotelowym sejfie zostawił tysiąc dolarów; wziął teraz trzysta. Cztery tysiące przepadły, skradzione wraz z jego portfelem i kartami kredytowymi. Jeśli D'Anzello nie pośpieszy się z przesłuchaniem, trzeba będzie postarać się w miejscowym banku o przelew pieniędzy z konta w Rockford. Niedobrze jest stracić gotówkę. Ale utracić wolność na nieokreślony czas to coś o wiele gorszego.

Czekał go jeszcze cały dzień, długi, bez sensu.

Pioneer Trail, Black Bart Road.

Niczego nie znalazł. Próbował na wszelkie sposoby i wszystko na nic.

Potem Cave Rock.

Lacy nie było w domu. Pojeździł po okolicy, zatrzymał się w kawiarence, zjadł coś na siłę, po czym znów pojechał do Lake Summit Road, do jej domu w kolorze psich wymiocin. Ale nadal jej nie było.

Wracać do hotelu? Nie warto. To może do Mahannah, sprawdzić, czy zostanie go w domu i w jakim nastroju? Jeszcze nie. Za wcześniej.

W takim razie pozostaje tylko Rubicon Bay.

Brama na teren posiadłości Vanowenów była otwarta. Gdy Cape dojechał do samego końca krętego podjazdu, miał do swojej dyspozycji cały parking. Tylko pod wiatą stał jeden zaparkowany samochód: srebrne BMW, to samo, które widział na zdjęciu Stacy Vanowen.

Drzwi nikt nie otwierał. Cape ruszył ścieżką prowadzącą za dom, aż do hangaru dla łodzi. Na końcu ścieżka rozwidlała się, a jej krótsza odnoga wiodła na ogrodzony taras – obszerny, prostokątny, otoczony balustradą z okorowanych bali, wysunięty około metr nad samo jezioro i wsparty na grubych palach.

Na tarasie stało kilka sztuk białych mebli z rurek oraz otwarty kontuar z sekwoi, który pełnił funkcję baru na świeżym powietrzu. Stacy Vanowen siedziała samotnie przy stole pod parasolem, wpatrzona w dal, w roziskrzoną słońcem tafelę wody.

Cape podszedł do wejścia na taras. Tam, na zewnątrz, było dość gorąco; temperatura sięgała chyba ponad trzydziestu stopni. Tego wczesnego popołudnia słońce grzało mu kark jak poduszka elektryczna. Panował tam spokój; z oddali dochodził jedynie słaby warkot motorówek, a wiejący od jeziora wiatr szumiał i wył w koronach sosen.

– Pani Vanowen? – Musiał zawołać dwukrotnie, żeby dźwięk jego głosu dotarł do jej uszu.

Gwałtownie odwróciła głowę i zerknęła spod przyciemnionych okularów. – A, to pan...

– Nie chciałem pani przestraszyć. Dzwoniłem do drzwi...

– Nawet nie słyszałam. O co chodzi?

– Chciałbym chwilę porozmawiać. Złożyć kondolencje.

Nie zareagowała.

– Mogę wejść na moment?

– Tak... Proszę.

Zsunęła okulary i nie mógł spojrzeć jej w oczy, gdy podszedł do stołu. Zachowywała się jednak ostrożnie, jakby nie była pewna, czy się go bać, czy nie. Miała na sobie szorty, luźną koszulę w stylu hawajskim i sandały. Opanowany wyraz twarzy, nie umalowana, żadnych oznak smutku. Na stole obok niej nie było żadnych trunków na złagodzenie żalu.

– Przykro mi z powodu pani męża, pani Vanowen.

– Jasne. Wszyscy tak mówią. Policja. Vince. Telefon też dzwoni bez przerwy... I między innymi dlatego tu przyszedłem: żeby się od tego oderwać. Bo jak długo można wysłuchiwać, że im przykro?

– Rozumiem panią.

– Naprawdę?

– Pewnie chce pani zostać sama. Wpadłem więc tylko na chwilę.

– I tak, i nie – odparła, przechylając głowę, by na niego spojrzeć. – Vince twierdzi, że być może miał pan coś wspólnego z tym, co się wydarzyło.

– Vince się myli.

– Mówi, że jeśli to pańska sprawa, nie ujdzie to panu na sucho.

– Ktokolwiek za tym stoi, zostanie ukarany. Już policja tego dopilnuje.

- Ale *kto* za tym stoi? Ci dwoje...? Judsonowie?
 - Oni na pewno są w to zamieszani – odrzekł Cape. – Ale ten facet w kominiarce to nie był Boone Judson.
 - Jest pan pewien?
 - Całkowicie.
 - Gdy tylko o tym pomyślę... głowa mi pęka. Wszystko to takie skomplikowane, bez sensu. Andy... mój...
 - Nawet nie cierpiał – przerwał jej Cape – jeśli to panią uspokoi.
 - Nic mnie nie uspokoi. Nie ma go tu, zostałam sama. To ja cierpię. Boli mnie nie tylko to, jak zginął, ale...
 - Tak?
 - Nieważne. To już nie pańska sprawa. – Znow popatrzyła w dal, na jezioro. – Chciałabym teraz tam być... – szepnęła.
 - Na jeziorze?
 - Tam, aż na samym środku. Byle jak najdalej stąd.
 - Z dala od ludzi i ich wyrazów współczucia...?
 - Z dala od ludzi, stresu, bolesnych spraw – rzekła. – Tam człowiek czuje się jak na swojej własnej wyspie. Oto cały urok podróżowania łodzią, rozumie pan...
 - Bo łódź jest jak pływająca wysepka. To takie bezpieczne schronienie.
 - Właśnie. – Znow spojrzała na niego. – Czy pan zna się na łodziach, panie Cape? Na motorówkach?
 - Wiem coś niecoś o maszynach.
 - A umiałby pan naprawić silnik?
 - To zależy.
- Wstała raptownie.
- Niech pan pójdzie ze mną.

Zszedł za nią z tarasu do hangaru. Stacy Vanowen szła szybkim krokiem, kręcąc biodrami i krzyżując długie nogi. Długie, silne i kształtne, jak nogi jej siostry. Cape spojrzał na nie i odwrócił wzrok. Przecież to nogi kobiety, która dopiero co owdowiała. Wystarczyło, by zamknął oczy, a wciąż miał przed nimi widok rozbryzgującej się głowy Andy'ego Vanowena.

W hangarze panował chłód i ponury mrok. Stacy włączyła górne światło. Dwa baseny, oba wyposażone w elektryczne podnośniki o zakrzywionych dźwigniach. Tylko w jednym z nich stała łódź, zacumowana na spokojnej tafli wody. Pięciometrowy sportliner z czterema siedzeniami i kabiną pod

pokładem, elegancki, o niskim zawieszeniu. Zdjęta z silnika obudowa leżała obok, a przy niej otwarta skrzynka z narzędziami.

– Silnik pracuje, ale łódź nie chce ruszyć – wyjaśniła. – Zaglądałam sama, ale... nie znam się na technice.

Cape zszedł na rufę i przykucnął, żeby obejrzeć silnik. Potężny, czterocylindrowy, niezniszczony. W niespełną minutę znalazł przyczynę awarii, a po chwili usunął ją przy pomocy klucza francuskiego i śrubokrętu ze skrzynki z narzędziami.

- Obluzowany przewód zapłonu – wyjaśnił, zwracając się do Stacy.
- A teraz ruszy?
- Zobaczmy.

Usadowił się za sterem. Kluczyk tkwił już w stacyjce. Za pierwszym razem silnik sapnął, zarzęził i zgasł. Przy drugiej próbie wydał z siebie jednostajny, cichy, dudniący pomruk.

- Zostawić włączony czy zgasić?
- Zostawić włączony. Chciałabym wypłynąć.
- A ja razem z panią, dobrze?
- Dlaczego?
- Bo mnie też potrzebna jest taka ucieczka.
- Wypływam na kilka godzin, jeśli nie na dłużej.
- Nie szkodzi, mam dziś wolne popołudnie.
- Zgoda – odparła. – Zresztą ja chyba też nie mam ochoty być zupełnie

sama, nawet tam, na jeziorze...

Umiała sterować łodzią. Szybkim manewrem wyprowadziła sportlinera z hangaru na otwartą wodę, dodała nieco gazu i ruszyła naprzód na pełnych obrotach. To nagłe przyspieszenie rzuciło Cape'a z całej siły do tyłu, na oparcie siedzenia. Mieli pod wiatr, prując wodę i rozpryskując ją po lekko wzniesionym dziobie i przedniej szybie. Krople cięży Cape'a po policzkach i nagich ramionach.

Odbili prosto od brzegu i mknęli po otwartej przestrzeni. Stukot tłoków grzmiał mu w uszach, a łódź przesywała powietrze, odbijając się i podskakując na pomarszczonej od wiatru tafli wody. Stacy Vanowen zręcznie radziła sobie przy sterze, swobodne ruchy, włosy rozwiane jak złoty wachlarz połyskujący w słońcu, krople wody lśniące na jej gładkiej jak marmur cerze. Cape poczuł narastającą w nim euforię – ta szybkość, ten wiatr, ten potężny warkot od spodu, chwilowe stany nieważkości na przemian z siłą tarcia i ślizgu.

Mniejsze ryzyko i emocje niż przy skokach spadochronowych, ale wrażenia podobne. Zupełnie jak na wyścigach motorówek czy aut. Trzeba będzie spróbować jednej z tych dyscyplin albo nawet obu. Gdy tylko odzyska wolność.

Przez dziesięć minut lub dłużej pędzili naprzód, aż wreszcie Stacy zmniejszyła prędkość do połowy, a po paru sekundach zredukowała ją do zera. Sportliner prześlizgnął się po wodzie, zatrzymał i zaczął dryfować, gdy tylko wyłączyła silnik. Cape otarł twarz i obejrzał się. Za nimi, w oddali, zostało wybrzeże, postrzępione półwyspami i zatoczkami, zalesionymi stokami wzgórz i ośnieżonymi graniem. Budynki przypominały różnej wielkości punkciki na zielono-brązowym tle, niczym pinezki wbite w mapę.

– Zawsze pani tak pędzi? – spytał.

– Czasami. Wtedy gdy koniecznie muszę się oderwać. Nie przestraszył się pan tej prędkości?

– Wręcz przeciwnie.

– Ja dzięki niej czuję, że żyję.

– Ja też. Im szybsza jazda, tym bardziej chce się żyć.

Na jeziorze nie było już tak silnego wiatru. Łódź stała teraz w miejscu i skwar znów stał się nie do wytrzymania. Także dla Stacy, bo zasunęła do połowy dach, by osłonić przed słońcem przednie siedzenia.

– Zupełnie jak na wysepce – zauważył Cape.

– Tylko przez chwilę. Zaraz ruszamy dalej.

– Dokąd?

– Nieważne. Donikąd. To ogromne jezioro: ponad piętnaście kilometrów szerokości i prawie czterdzieści pięć długości. Do samego środka jeszcze nam daleko.

– Tak myślałem.

– Jest też bardzo głębokie na samym środku.

– Jak bardzo?

– Czteryście pięćdziesiąt metrów. Ciekawe, jak tam jest, na dnie, czteryście pięćdziesiąt metrów pod wodą...

– Pewnie ciemno – odparł Cape.

– I zimno – dodała. – Zimno jak w grobie.

Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Przez chwilę Cape patrzył na przemian to na nią, to na niebo i góry nad wodą. Powiew wiatru był na tyle silny, że obracał łódź dookoła, zmieniając za każdym razem jego punkt widzenia.

- Możemy chwilę porozmawiać, pani Vanowen?
- Stacy – poprawiła go. – Nie jestem już panią Vanowen.
- Skoro tak wolisz...
- O czym mamy rozmawiać?
- O wydarzeniach zeszłej nocy.
- Po co? Nie pojmuję, jak to się stało. Ty też twierdzisz, że nie pojmujesz...
- Jeszcze nie, ale próbuję to pojąć.
- Wystarczy, że o tym pomyślę, i od razu boli mnie głowa... Mówiłam ci już.
- Mnie też chciał zabić – ciągnął Cape. – Ten człowiek, który zamordował twój męża.
- Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z ukosa.
- Tego nie możesz być pewien.
- Mogę, a wręcz jestem tego pewien. Ostatnie dwa strzały wymierzone były we mnie.
- I po co miałby cię zabić?
- A po co zabił twój męża?
- Bo myślał, że Andy go rozpoznał...
- To nie był Boone Judson. Po co zabijałby człowieka tylko za to, że wziął go za kogoś innego?
- Nie wiem... Może spanikował. Typowy złodziej...
- On nie panikował – odrzekł Cape. – Był nafaszerowany narkotykami, nerwowy, a mimo to przez cały czas miał świadomość tego, co robi. I wcale nie byłbym taki pewny, czy to typowy złodziej.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Niewykluczone, że wcale nie chodziło mu o kradzież.
- Usiadła prosto, zwrócona twarzą do niego.
- Co ty opowiadasz?
- Nic, ja tylko snuję domysły.
- Ty... O mój Boże, chyba nie sądzisz, że to, co zrobił Andy'emu, było zamierzone?
- To całkiem możliwe. Twój mąż miał wielu wrogów. A przynajmniej tak słyszałem.
- Tak, ale nie w tym sensie. Andy był biznesmenem, miał do czynienia z wielkimi firmami, z inteligentnymi, rozsądnymi ludźmi. To, co sugerujesz... jest nie do pomyślenia.

– Niezupełnie. Niewykluczone, że ktoś, kto to zrobił, jest bystry, bezwzględny i pełen nienawiści.

– Kto taki? O czym ty mówisz?

– Nie wydaje mi się, żeby Rollo działał w pojedynkę.

– Rollo? Skąd ci to imię przyszło do głowy?

– Usłyszałem je od Tanyi Judson. Prawdopodobnie to on jest zabójcą w kominiarce.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym niedowierzania.

– Nie znasz nikogo o tym imieniu? – spytał ją.

– Nie.

– I nie słyszałaś go od męża ani od nikogo innego?

– Nie. Co jeszcze Tanya Judson powiedziała ci o tym Rollo?

– Nic więcej poza tym, że razem z Boone'em zamieszany był w jakiś spisek, który sprowadził Judsona do Tahoe.

– A więc chcesz mnie przekonać, że troje obcych ludzi uknuło jakiś spisek, żeby podstępnie załatwić mojego męża?

– Troje, jeśli nie więcej. Ale przynajmniej jedna z tych osób to chyba ktoś znajomy.

– Co za absurd!

– Lepiej dla ciebie, żebyś miała rację.

– Nie znałeś Andy'ego, nic nie wiesz o jego interesach ani o życiu prywatnym. – W jej głosie zabrzmiała nuta pogardy. – Jak możesz tak bezpodstawnie oskarżać innych?

– To są domysły oparte o fakty, nie oskarżenia.

– Ale bezpodstawne. Skoro zamaskowany mężczyzna zjawił się tu po to, by... zamordować Andy'ego, to po co miałby zabijać ciebie?

– Może dlatego, że za dużo wiem.

– Czyli to wszystko jedna, wielka konspiracja, tak? Gadasz teraz jak paranoik.

– Czy z Vince'em Mahannahem łączy cię bliska znajomość? – spytał nagle Cape.

– Co takiego...?

– Na tyle bliska, że można ją określić jako romans?

– Jak śmiesz!

– On wcale nie kryje swoich uczuć do ciebie. Ciekaw jestem tylko, jak daleko posunąłby się, żeby być z tobą na stałe?

Miażdżące spojrzenie Stacy. Przez chwilę zdawało się, że zaraz schyli się i wymierzy mu policzek. Ale ona odwróciła się tylko, zapaliła silnik, dodała

gazu. Wprawiała łódź w tak ostry zakręt, że o mało jej nie wywróciła, zanim odzyskała nad nią kontrolę.

Koniec przejażdżki po jeziorze. Koniec rozmów. Prosto do posiadłości Vanowenów, odbijając się od wody jak hydroplan, pędząc z wariacką szybkością aż do samego brzegu.

21.

Na tarasie u Vanowenów ktoś już czekał. Jakaś niewyraźna sylwetka pokazała się w oddali: ciemnowłosa kobieta w białej marynarce i spodniach... Lacy. Gdy zwolnili, podpływając do nadbrzeża, zeszła na pomost. Stała i obserwowała, jak jej siostra kieruje łódź wzdłuż brzegu w stronę hangaru, i nawet nie ruszyła się, by pomóc jej przywiązać liny na dziobie i rufie. Cape wysiadł i zrobił to sam.

– Witam naszego handlarza – odezwała się Lacy. – Co za spotkanie! – I odwróciła się plecami, nim zdążył jej odpowiedzieć.

Stacy Vanowen wyłączyła silnik i wspięła się na pomost. Wciąż miała napięty i gniewny wyraz twarzy.

– Stypa tylko dla wybranych? – spytała ją Lacy. – Czy może mogłabym się przyłączyć?

– Lacy, błagam. Wcale nie jesteś zabawna.

– A po tobie też jakoś nie widać żałoby.

– Co ty możesz wiedzieć? Nigdy nie byłaś w żałobie.

– Bo nie znałam nikogo wartego łez. Dlaczego nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś mi o Andym? Nikt nawet nie raczy mnie o niczym informować. Dowiedziałam się sama z radia, przed godziną.

– A gdybym zadzwoniła, to co? Przyjechałaśbyś natychmiast potrzymać mnie za rękę?

– Możliwe. Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie udawaj, jak bardzo się troszczysz. Nigdy nie darzyłaś sympatią biednego Andy'ego.

– To prawda. Niech spoczywa w pokoju, i tak dalej, ale był z niego niezły drań.

– Na miłość boską!

– Tak? Sama udajesz, siostrzyczko. Obie dobrze wiemy, że ty też nie darzyłaś go szczególną sympatią.

– Nieprawda. Kochałam go.

– Może kiedyś. Założę się, że teraz nie tęsknisz za nim bardziej niż ja.

Stacy Vanowen obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem, po czym musnęła wzrokiem Cape'a i sztywnym krokiem ruszyła w stronę domu.

– Chyba za mocno jej dopiekaś, co? – zwrócił się Cape do Lacy.

– Jednego nie cierpię – odparła Lacy. – Hipokryzji. Chcesz znać prawdę?

Ona już dawno rozwiodłaby się z Andym, gdyby nie kasa.

– Jest młodsza, ma słabszy charakter.

– Żebyś wiedział. A ty? Nawet nie zadzwoniłeś ani nie wpadłeś, żeby mnie poinformować...

– Byłem u ciebie przed południem. Nie zastałem cię.

– Musiałam jechać do Reno. Ale to się stało wczoraj wieczorem, nie dziś rano.

– Policja wypuściła mnie z domu Mahannaha dopiero o trzeciej nad ranem. Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Nawet z tobą.

– To chyba logiczna wymówka. W końcu rozwalony mózg to nieczęsty widok.

– Zwłaszcza że mógł to być i mój własny.

– Co masz na myśli?

Cape wyjaśnił jej.

– Ciężka sprawa – westchnęła Lacy. – A może zabójca strzelał na oślep?

– Strzelał do mnie, jestem tego pewien. Najpierw do Vanowena, potem do mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że moim zdaniem zabójca działał umyślnie. Z premedytacją.

– Mówisz poważnie? Ale po co ktoś miałby zabijać akurat was obu?

– Gdybym to wiedział, nie przyjeżdżałbym tu.

– Daj spokój, handlarzu. To tylko włamanie. Tak przynajmniej mówili w radiu.

– A ty wierzysz we wszystko, co usłyszysz w radiu?

– Z tego Andy'ego naprawdę był kawał drania. Przy bliższym poznaniu coraz mniej dawał się lubić. Ale żeby zaraz go mordować? Zresztą ty też jesteś tu za krótko, żeby aż tak kogoś wkurzyć. Coś mi tu nie gra.

– W takim razie nie będę cię przekonywał – odparł Cape. – Ale dlaczego mówisz, że był z niego kawał drania?

– Z bardzo wielu powodów. Szybko i beztrudnie trwonili forszę innych, był arogancki, próżny, despotyczny i regularnie zdradzał żonę. Do mnie też się przystawiał kiedyś, na jakimś przyjęciu. Prawie wsadził mi łapę pod spódnicę, kiedy szeptał mi coś do ucha.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Powiedziałam mu, żeby spadał. A on tylko się zaśmiał. Nie przejmował się odrzuceniem. Zawsze znajdował sobie inną, która mu nie odmawiała.

– Powiedziałaś o tym siostrze?

– Po co? Nawet by się nie przejęła.

– Dlaczego? Bo też sypiała z innymi?

Lacy wzruszyła ramionami.

– Z Vince'em Mahannahem, na przykład? – dociekał Cape.

– Wścibski z ciebie gość, wiesz? Sam ją o to spytaj.

– Już to zrobiłem. Na jeziorze.

– Założę się, że nie usłyszałaś jasnej odpowiedzi.

– I właśnie wygrałaś zakład.

– A w ogóle co robiliście tam razem?

– Chciała wy płynąć łodzią – odparł Cape. – Ale silnik nie działał, więc go naprawiłem. I zgodziła się, żebym jej towarzyszył.

– Jak dobry kumpel.

– Powiedziała, że nie chce być sama.

– A jednak po przejażdżce z tobą nie wyglądała na zadowoloną. Pewnie zapytałaś ją o Mahannaha? Czy może przystawiał się do niej i na pocieszenie proponował seks?

– Słuchaj no, moja damo, twoja siostra nie myliła się. Rzeczywiście nie jesteś dziś zabawna.

Wykrzywiła usta i znów wzruszyła ramionami.

– Rzadko kiedy bywam zabawna – przyznała. – On się w niej kocha, wiesz? – dodała po chwili.

– Mahannah? Sam się tego domyśliłem. A co na to ona?

– O Chryste! No dobrze, powiem ci. Kiedyś mieli romans. Przez jakiś czas było namiętnie i burzliwie, a potem się uspokoiło. Nie wiem, czy nadal z nim sypia, czy nie. Mówiłam ci już, że ona mi się nie zwierza. Mam wprawdzie wiarygodne informacje, ale tylko z drugiej lub trzeciej ręki.

- A dlaczego się uspokoiło?
- Bo Andy się dowiedział. Jego męskie ego cierpiało, że dziewczyna zabawia się gdzieś na boku. Z tego, co wiem, zagroził, że ją wyrzuci, jeśli nie zerwie z Vince'em.
- I jego pieniądze miały dla niej aż tak wielkie znaczenie?
- Chodziło raczej o intercyzę – wyjaśniła Lacy. – Andy nalegał na nią przed ślubem. W przypadku rozwodu Stacy nie dostałaby ani centa.
- A teraz, jako wdowa?
- Dostanie wszystko. Co ty sugerujesz, handlarzu? Że Stacy maczała palce w morderstwie Andy'ego, żeby jako wdowa odziedziczyć po nim majątek?
- Takie historie już się zdarzały.
- To niepodobne do naszej małej księżniczki. Boi się własnego cienia. Nie zauważyłaś? Nie odważyłaby się skrzywdzić nawet muchy.
- Za to Mahannah wygląda na takiego typa, który bez skrupułów zmiażdży każdego insekta.
- Myślisz, że działali razem? O rany!
- A czy Vanowen stał się z Mahannahem po tym, jak dowiedział się o romansie?
- Tego nie wiem – odparła Lacy. – Wątpię. Dlaczego pytasz?
- Możliwe, że mu groził, a to dałoby Mahannahowi jeszcze jeden powód, żeby go sprzątnąć.
- Pewnie. Tylko po co *ciebie* chciał sprzątnąć? Handlarzu, pieprzysz takie głupoty, że dłużej nie mogę tego słuchać.
- Nic nie odpowiedział.
- To było tylko włamanie – podsumowała Lacy. – I nic więcej. Po co dopatrywać się w tym czegoś innego? Ciesz się, że miałeś szczęście, i ruszaj stąd.
- Nie mogę.
- Bo wmówiłeś sobie tę bzdurę, że mają cię na celowniku?
- Częściowo tak.
- A niby co jeszcze cię tu trzyma? Przegrana forsa? Chyba aż tyle nie przegrałeś...
- Nie chodzi o forszę.
- To o co?
- O pozostanie na miejscu – odparł Cape. – Policja twierdzi, że brałem udział w zorganizowaniu tego napadu.

Uniosła brwi.

- Chyba nie mają racji...
- Nie. Ale muszę tu zostać do czasu, aż sami to zrozumieją.
- Biedactwo... Przecież to tylko kilka dni.
- Z kilku dni robi się tydzień, potem następny, a pieniądze się kończą...
- Więc poszukaj sobie jakiejś tymczasowej pracy. Znam tu w Harrah's jednego z szefów. Zatrudni cię jako dealera, jeśli go poproszę.

Cape znów odpowiedział milczeniem.

- Aha, to poniżej twoich kwalifikacji? Pewnie wolałbyś jakąś lekką i łatwą posadkę w dziale handlu?
- Naprawdę nie jesteś dziś ani trochę zabawna – stwierdził i odwrócił się od niej.
- Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

Stanął i obejrzał się.

- A gdybym poczuł się samotny i zapragnął trochę czułości?
- O nie. Ja z mojej strony dałam ci już wszystko.
- Myślałem, że podobało ci się tamtej nocy...
- Tamta noc była, minęła. Na razie, handlarzu.

Znów przegrana karta.

22.

Mahannah.

Nie było go w domu. Tylko zastępca szeryfa pilnował, by chorobliwa ciekawość nie sprowadziła na miejsce zbrodni niepożądanych osób. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewał Mahannah.

D'Anzello.

Był w swoim biurze w Carson City, chętny do rozmowy, ale nieugięty.

- Nie jestem w stanie powiedzieć panu, na jak długo musi pan jeszcze tu zostać, panie Cape. Zabójstwa zdarzają się tutaj dość rzadko, ale jeśli już mamy z nimi do czynienia, sprawy wymagają czasu i cierpliwości.
- Dla pana tak. Ale czemu dla mnie?

- Przecież nigdzie się panu nie śpieszy, prawda? Nie ma pan w planach nic pilnego?
- Nie o to chodzi. Mówię panu, że nie mam nic wspólnego z tym, co się wydarzyło wczoraj wieczorem.
- W takim razie na pewno to potwierdzimy i wtedy będzie pan mógł ruszyć w drogę.
- Niech mi pan chociaż powie, czy sprawy posunęły się naprzód?
- Trochę.
- A dokładniej?
- Nie mogę podać szczegółów – odparł D'Anzello. – Powiem panu tylko, że ten pański kolega, Boone Judson, ma już na swoim koncie kilka ciężkich przestępstw i że odsiadywał wyrok w New Jersey i w Arizonie.
- Po pierwsze: to nie jest mój kolega. A po drugie: wcale się temu nie dziwię.
- Głównie były to oszustwa oparte na szulerskich sztuczkach, ale raz został skazany za napad z bronią w rękę. Szybki krok od oszustwa do napadu z bronią i morderstwa.
- Naprawdę myśli pan, że zrobiłby ten krok, skoro wszyscy wokół wiedzą, kim on jest?
- Swoim nazwiskiem przedstawiał się w San Francisco i sam pan mówił, że nie miał tam z nikim żadnych powiązań. Zresztą niewielu zawodowych przestępców działa pod pseudonimem. To przeważnie egocentrycy, a do tego niezbyt inteligentni.
- A czy ja podałbym panu jego prawdziwe nazwisko, gdybym był zamieszany w ten jego przeklęty spisek?
- Czemu nie? Gdyby pan uznał, że oczyści to pana z zarzutów...
- Ale ja naprawdę jestem niewinny – odparł Cape, znużony. – A facet w kominiarce to nie był Judson. Ile razy jeszcze mam to powtarzać?
- Dopóki nie znajdziemy dowodów. A na razie niech pan wraca do Tahoe, panie Cape. Niech się pan odpręży, skorzysta z okolicznych atrakcji. A ja, tak czy owak, skontaktuję się z panem w odpowiednim czasie.

Odprężyć się, skorzystać z atrakcji? A niech to szlag!

Zgoda, możliwości nie brak, ale nic go nie interesowało. Pozostać w Carson City?

A może zwiedzić Reno?

Albo wracać do Stateline?

I jeszcze raz przeszukać okolicę Pioneer Trail i Black Bart Road?

Zagrać o pieniądze?

Urznąć się?

Pomedytować gdzieś w pustym kościele?

Spróbować jeszcze raz z Justine?

Czy po prostu zamknąć się w pokoju, siedzieć w czterech ścianach i czekać aż do obłędu?

Na nic się nie decydując, ruszył biegnącą przez góry autostradą numer 50 do Tahoe. Późnym popołudniem dotarł do Stateline. Przez cały dzień nic nie jadł. Skurcze w żołądku i tłumy weekendowych gości sprawiły, że wymknął się do South Lake Tahoe. Tam zatrzymał się w pierwszym lepszym miejscu, w knajpcie piwnej, gdzie pochłonął kanapkę oraz kilka piw.

Wsiadał z powrotem do korbety chyba dużo bardziej podenerwowany. W ustach czuł jeszcze słonawy smak kanapki z grillowanym mięsem. Na wprost ujrzał neonowy szyld pubu. Zatrzymał się, wypił kolejne piwo. Wiedział już, jak spędzi resztę czasu.

Zrobi rundkę po knajpach.

Robił to już wcześniej, gdy tylko dopisywał mu nastrój – w Nowym Orleanie, Oklahomie i miasteczkach na granicy Teksasu. Natrafiał na jakąś knajpkę, zamawiał piwo albo dwa, pogawędził, z kim się dało, a potem ruszał do następnej. W całej tej zabawie chodziło o to, żeby odwiedzać coraz bardziej obskurne miejsca. Nie szukał kłopotów, tylko kręcił się po okolicy i napawał miejscową atmosferą. Przypominało to zjeżdżanie w dół, przez poszczególne warstwy skalne, do miejsca, z którego wyraźnie widać było, co pełza po samym dnie.

Takim „dnem” w South Lake Tahoe były południowo-zachodnie obrzeża miasta za skrzyżowaniem autostrad nr 50 i 89. Dzielnica raczej przemysłowa, z kempingami mieszkalnymi i knajpami o zakratowanych oknach. Bar Hip-Hop: brudne, drewniane boksy, przypalone papierosami blaty, błysk ekranu ryczącego w kącie telewizora, kilkoro stałych klientów, którzy siedzieli na swoich miejscach jak zakorzeni. Tam właśnie Cape wdał się w dyskusję ze starszym, podpitym człowiekiem o zapadniętych policzkach, zajmującym stółek tuż obok.

Piwo zdążyło już uderzyć Cape'owi do głowy na tyle, że zaczął lamentować nad utraconą wolnością, nie wchodząc w szczegóły. I tak się zaczęło. Stary

zerknął na niego chorobliwie przekrwionymi oczami, podrapał się w pokrytą brązowymi plamami łysinę, otarł usta wierzchem sękatą dłoni i odezwał się głosem zarzynałego ptaka:

– Wolność? – zaskrzeczał. – A co to dla ciebie oznacza, chłopcze?
– Nie mieć nic do stracenia.
– He?
– To z piosenki country.
– Z jakiej znów piosenki, do diabła? Co oni wiedzą o wolności, ci piosenkarze? Słuchaj no, jeśli chcesz wiedzieć, czym jest wolność, spytaj kogoś, kto się na tym zna. Na przykład mnie.

– Dobrze, więc niech mi pan powie, czym jest wolność.
– Sęk w tym, że wcale jej nie ma. Nie ma jej, i już. Ona nie istnieje. To tylko taka magiczna sztuczka...

– Czyli złudzenie?
– Właśnie. Postaw mi drinka, a powiem ci, dlaczego.

Cape przystał na to.

– Wszyscy pragną wolności – ciągnął stary. – A przynajmniej tak im się wydaje. Jechać, gdzie tylko zechcą, robić to, co im się żywnie podoba. Być panem samego siebie. I to jest właśnie wolność, tak?

– Mniej więcej.

– Guzik prawda. Tak się tylko wydaje. Ludzie nie rozumieją, póki nie doświadczą tego i owego i nie dożyją mojego wieku, że życie nie daje wolności. Rozumiesz, chłopcze? Życie nie daje wolności, bo ona istnieje tylko w ludzkiej wyobraźni.

– A dlaczego to życie nie daje wolności? – spytał go Cape.

– Chryste Panie! Bo istnieją granice. Zakazy. Przepisy. Takie jest życie: twoje, moje, każdego z nas. Nosimy wielkie, zardzewiałe kajdany od początku do końca, od krzyku narodzin aż do śmierci. Nieważne, dokąd zmierzamy i co robimy. – Stary oblizwał wargi, nie zamykając ust; resztki jego uzębienia miały w przyćmionym świetle barwę tytoniu. – Postaw mi jeszcze jednego, a podam ci przykłady.

Cape zapłacił za kolejnego drinka.

– Byłem jeszcze smarkaczem, kiedy zaciągnąłem się do floty handlowej – mówił dalej starzec. – W moich żyłach płynęła słona krew, byłem żądny przygód. Pływałem po Zatoce Meksykańskiej, po Karaibach, po Morzu Południowochińskim, po Pacyfiku; wszędzie byłem, widziałem cały świat. Już nie pamiętam nawet, ile razy płynąłem przez Kanał Panamski. I zdaje ci się, że

przez całe te lata, gdy pomagałem przewozić towary przez pół świata, czułem się wolny?

– Nie wiem.

– Wcale nie, do diabła! Było tak samo, jak w domu, na łądzie. W kółko mi mówili, co mam robić, kiedy i jak. I kapitanowie, i oficerowie, i bosmani, pijusy, kretyni, czarnuchy... Czułem się jak niewolnik.

– Przecież wcale nie musiało tak być – przerwał mu Cape.

– Tak sądzisz?

– Mógł pan wyrwać się stamtąd w każdej chwili, nie?

– Jak? Miałem wskoczyć do wody w jakiejś republice bananowej?

– Na przykład.

– Myślałem o tym i kiedyś nawet to zrobiłem, bo miałem już serdecznie dość. Zwiąłem z pokładu w Wenezueli i przez sześć miesięcy chlałem i włóczyłem się po plaży, obracałem panienki i chwytalem się dorywczych zajęć, gdy brakło forsy. Myślisz, że to była wolność?

– Nie wiem.

– Otóż nie, do diabła! Wciąż czułem się jak niewolnik. Przez barmanów, dziwki, gliny, dupków z urzędu emigracyjnego i innych, u których pracowałem. Zrób to, zrób tamto, tego nie rób, tamtego nie rób. To samo czekało mnie, gdy wróciłem do Stanów, a później, gdy byłem już za stary, żeby pracować na statku, za stary do jakiegokolwiek roboty – zawsze znaleźli się tacy, przez których czułem się jak niewolnik. Chcesz wiedzieć, co najbardziej potrafi człowieka zniewolić? Postaw mi jednego, to ci powiem.

Cape postawił mu jeszcze jednego drinka.

– Forsa – rzekł stary. – Szmal, brudna mamona. Bez niej nigdzie się nie ruszysz, niczego nie dokonasz. Forsę trzeba mieć, a to człowieka zniewala. Bez tego nie da rady, choćby nie wiem co.

– A gdyby tak wyrwać się z tej niewoli, wyjechać gdzieś na pustkowie i żyć na łonie natury?

– To nic nie da. Tam też będziesz niewolnikiem, tyle że Matki Natury: burze, powódzie, zamiecie, pożary. Choroby. Nieszczęśliwe wypadki. Głód, samotność. To też jest niewola, uwierz mi.

– Wiem już – odparł Cape.

– To dobrze. Kobiety też potrafią zniewolić... Jesteś żonaty?

– Już nie.

– Które z was odeszło?

– Ja.

– To dobrze – stwierdził stary. – Byłem trzykrotnie żonaty i wszystkie je zostawiłem. Mieszkałem z dwiema przyjaciółkami, a panienek na jedną noc miałem tyle, że niejeden fiut by nie wytrzymał. Doczekać się nie mogłem, aż skończę z jedną, bo już chciałem przelecieć następną. Jak myślisz, co czułem, odchodząc od nich?

– Wolność.

– Właśnie! Ale gdy tylko wyrwałem się od jednej kobiety, wpadałem w sidła innej. Przez prawie pięćdziesiąt lat byłem ich niewolnikiem, i co z tego miałem? Dziesięciokrotnie więcej trucia i narzekania niż bzykania. Teraz cofam się pamięcią i żałuję, że w ogóle je posuwałem. Trzeba było lepiej brandzlować się, walić konia, trzepać kapucyna...

– To chyba też nie jest wolność.

– Do diabła, pewnie, że nie! – zaskrzeczał stary. – Od tego tylko lepi się ręka i boli kutas.

– A teraz mieszka pan sam? – spytał Cape.

– Chciałbym, ale ciągle jestem niewolnikiem. Tym razem mojego własnego syna. Mieszkam z nim i jego żoną. Co za suka! Nienawidzi mnie, bo mówię to, co myślę. Każe mi się wynosić z jej domu. Jaki tam dom! Zwykła przyczepa, psiakrew. Wyzywa mnie od brudasów i pijaków prosto w twarz. Może i ma rację, ale ja jestem z tego dumny i nie życzę sobie wysłuchiwać tego od niej. Davey, mój syn... to była wpadka, jedyna w moim życiu i nie z mojej winy, ale zlitował się nade mną i przywiózł mnie tu z San Pedro kilka lat temu. W Pedro bardziej mi się podobało. Jak już mówiłem, czułem się tam wolny, ale nie byłem już w stanie sam się utrzymać. Przepijałem cały zasiłek. A teraz siedzę w Tahoe i dalej przepijam zasiłek. Zasiłek! Jakbym ciągle był bezrobotnym gówniarzem. Nigdy w życiu do głowy by mi nie przyszło, że skończę, gnijąc w knajpie dzień i noc, dopóki mi wątroba nie wysiadzie, żeby Davey i jego babka z przyczepą mogli mnie wreszcie zakopać.

– Smutna historia – podsumował ironicznie Cape. – Pełna tragizmu.

– Tak ci się zdaje? Mylisz się. Korzystałem z życia i wcale nie było tak źle, nawet jeśli nie zagnałem wolności. Chciałbym przeżyć to wszystko jeszcze raz, tylko może bez tych kobiet. Do licha, niech nawet będzie, że z kobietami. Wcale nie podoba mi się walenie konia. O nie, chłopcze, ja nie narzekam tak jak ty. To ty się nad sobą uzalasz.

– Ja? Daj pan spokój, do diabła.

– Odkąd tylko zaczęliśmy gadać, nic, tylko narzekasz na brak swobody, bo nie wolno ci wyjechać z Tahoe i odebrano ci tę twoją wolność. Co to jest, jeśli nie użalanie się nad sobą?

– Przecież nawet mnie pan nie zna.

– Nie? Takich jak ty spotkałem w życiu tysiące. Mówiłem ci, że sam też kiedyś taki byłem. Chciałem się wyrwać z niewoli, szalałem w pogoni za czymś, czego nie sposób znaleźć, bo nie istnieje.

– A skąd pan może wiedzieć, czego ja szukam?

– Szukasz wolności. Dlatego chlejesz i biadolisz.

– Ja szukam czegoś więcej – odparł Cape. – Nie tylko wolności.

– A czego jeszcze?

– Nieznanych miejsc, nowych doświadczeń.

– Żeby wpakować się w kolejną pułapkę?

– Chcę chwycić życie obiema rękami i ujarzmić je – odrzekł Cape.

– Ha! Dobre sobie, chwycić życie obiema rękami i ujarzmić! Uważaj no, żeby to życie *ciebie* nie ujarzmiło.

– Może już mnie ujarzmiło. I dlatego właśnie chcę się na nim zemścić.

– Stara śpiewka, chłopcze. Chlejesz, narzekasz i użalasz się nad sobą.

– Wcale nie. Już mi przeszło.

– Coś mi się zdaje, że chyba nie. No, co cię gryzie? Coś więcej niż ta zakichana wolność?

– Nie.

Stary niespodziewanie wyszczerzył żółtawe zęby w uśmiechu.

– A niech to szlag, już ja dobrze wiem, w czym rzecz. Ty wcale za niczym nie gonisz, ty uciekasz.

– Myli się pan. Po co miałbym uciekać?

– Mam rację, na Boga. Co się dzieje? Przed czym tak uciekasz?

Cape dopił resztę piwa.

– Słuchaj no – ciągnął stary podstępny tonem. – Mogę ci pomóc. Ja też kiedyś uciekałem, znam kilka sztuczek. Postaw mi jeszcze jednego, to ci opowiem.

Cape odsunął stołek, zgarnął resztę drobnych i wyszedł z knajpy. Co za przekłety diad. Wredny, zepsuty, przemądrzały dupek. Stuknięty stary drań.

Pojęcia nie ma o wolności ani o innych sprawach. Najgorsza niewola to wcale nie szmal czy ludzie ze swoimi wymaganiami i oczekiwaniami. Najgorszą niewolę człowiek narzuca sam sobie.

23.

Gdy wrócił do hotelu, czekały na niego dwie wiadomości głosowe, jedna nagrana o 16.45, a druga o 19.25. Obie od tej samej osoby.

Pierwsza brzmiała: „Cape, wiesz, kto mówi. Mam poważne kłopoty i muszę natychmiast z tobą pogadać. Oddzwoń zaraz po przesłuchaniu tej wiadomości. Z nikim nie rozmawiaj”. Dalej pojawił się numer miejscowy i wewnętrzny.

Druga wiadomość: „Cape, gdzieś ty się podział, do diabła? Zadzwoń!”

To był Boone Judson.

Wystraszony.

Cape odsłuchał wiadomości dwa razy. Judsonowi łamał się głos, między słowami dało się wyczuć strach. Cape poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą, by usunąć resztki alkoholowego otępienia. Kiedy wyszedł, wybrał podany przez Boone'a numer. W słuchawce odezwał się kobiecy głos:

– Ośrodek „Pod Sosnami”. W czym mogę pomóc?

Poprosił numer wewnętrzny: czternaście.

Zadzwęczał sygnał... a potem głos Boone'a, ostry i przerywany, spytał: – Halo? Cape, czy to ty?

– Tak, to ja.

– Chryste, w samą porę. Gdzieś ty był?

– Wspomniałeś o jakichś poważnych kłopotach. Mów, o co chodzi.

– Nie przez telefon. Wiesz, o co chodzi.

– Nie rozumiem, jak się w to wplątałeś.

– To nie jest rozmowa na telefon, do diabła.

– Więc po co dzwoniłeś? Myślisz, że mogę ci pomóc?

– Nie mogę zgłosić się na policję. Nie znam tu nikogo, z kim mógłbym zaryzykować i pogadać. Tanya wyjechała. Dwa dni temu... A teraz...

- Co teraz?
 - Nic. Nieważne.
 - Po drodze wpadła do mnie do hotelu – oznajmił Cape.
 - Co takiego?!
 - Zastałem ją w moim pokoju. Skąd wiedziała, gdzie mnie znaleźć, Boone? Skąd ty wiedziałeś, gdzie jestem?
 - Czego ona od ciebie chciała? Forsy?
 - Odpowiedz na moje pytanie.
 - Ile razy mam powtarzać? Nie przez telefon!
 - Przyszła po szesnaście tysięcy – wyjaśnił Cape. słuchawce zabrzmiał świszczący oddech.
 - I dałeś jej?
 - Nie mam już tej forsy.
 - I nic ci nie zostało?
 - Ani grosza.
 - Cape, posłuchaj: muszę stąd pryskać. Powinienem był wyjechać z Tanyą, zrobić tak, jak mówiła... Chociaż tysiąc, co? Chyba tyle możesz mi dać.
 - A co dostanę w zamian?
 - A co byś chciał?
 - Dowiedzieć się wszystkiego: kto podrzucił mi zdjęcia, co ściągnęło ciebie i Tanyę do Tahoe... Chcę poznać całą historię.
 - W takim razie przywieź tysiąc dolarów, a wszystko ci opowiem. Tylko pośpiesz się, Cape. Bądź tu jak najszybciej.
 - Ośrodek „Pod Sosnami”... To jakiś motel z domkami?
 - To w South Lake Tahoe, niedaleko od twojego hotelu.
 - Podaj mi adres.
- Boone wyrecytował nazwę i numer ulicy.
- Tylko żadnych glin, Cape – ostrzegł po chwili. – Spróbuj nasłać gliny, a przekonam ich, że to wszystko twoja sprawka. Przysięgam.
 - Zgoda, żadnych glin.
 - Jeśli masz zamiar przywieźć kogoś ze sobą, dowiem się o tym, jeszcze zanim tu dotrzesz.
 - Siedź tam i czekaj – nakazał mu Cape i rozłączył się.

Ośrodek „Pod Sosnami” znajdował się nieopodal Pioneer Trail, na stoku wzgorza za skrzyżowaniem po drugiej stronie Black Bart Road. Widocznie tam

właśnie jechała Tanya w zeszły piątek. Zauważyła, że Cape ją śledzi, i skręciła wcześniej, żeby go zgubić. Albo sama się pogubiła – w nieznaney okolicy, zamysłona, wystraszona – a potem musiała krążyć, żeby trafić pod właściwy adres.

Cape dwukrotnie podjeżdżał pod wejście motelu. Było prawie wpół do dziesiątej i zapadł już zmrok, jedynie światło lampek nocnych w oknach i poświata księżyca pozwoliły mu dokładniej obejrzeć posiadłość. Położona była w gęstym lesie, na wzgórzu, na końcu zwirowej drogi. Kilka otoczonych drzewami domków, zbudowanych z pokrytych szorstką korą bali, widać było już z ulicy; inne stały wyżej, schowane wśród gęstwiny sosen. Dokoła cisza i spokój: drzewa i przestrzeń oddzielały domki od siebie.

Zjechał ze wzgórza i ruszył wzdłuż Pioneer Trail do następnego skrzyżowania, a potem pod górę ulicą równoległą do tej, przy której stał motel. Zaparkował tam korwetę, obszedł budynek i skierował się na teren ośrodka „Pod Sosnami”, mijając oświetloną recepcję jak któryś z wczasowiczów. Nikt nawet nie wyszedł, by go sprawdzić.

Szedł drogą w cieniu przy poboczu. Żwirowy trakt rozwidlał się na dwie krótkie ścieżki, wiodące do przeznaczonych dla dwóch aut parkingów przy każdym z domów. Ścieżki oznakowane były słupami z numerami wypalonymi na drewnianych tablicach oraz zamontowanymi w ziemi reflektorami, których punktowe światło padało pod kątem w górę i oświetlało numery. Minął pierwsze dwie tablice z numerami 1 i 2, a więc czternastka położona była dużo wyżej.

Gdy zbliżył się do domów numer 11 i 12, widział już koliste zakończenie drogi. Przypominało mały zbiorniczek u dołu termometru. Stały tam zaparkowane w pewnej odległości od siebie dwa pojazdy – jeden większy, drugi mniejszy. Oświetlona ścieżka prowadziła na skos od kolistego miejsca w las. Rozproszone światło przenikało przez gęsto splecione gałęzie od strony numeru 14, ale samego domku nie było jeszcze widać. Naprzeciwko, w domu numer 13, było zupełnie ciemno.

Cape zaszył się głębiej w cieniu drzew i ostrożnym krokiem podszedł do najbliższej zaparkowanego auta. Wraz z nadejściem nocy temperatura spadła o kilka stopni, a chłodny wiatr znad jeziora wył i szumiął w gałęziach drzew. Odgłos wiatru i trzaskającego pod stopami igliwia zagłuszał każdy inny dźwięk. Pochylny nisko, Cape podbiegł od tyłu do mniejszego samochodu.

Było to jasnoniebieskie mitsubishi. Na tylnym zderzaku widniała naklejka wypożyczalni aut Hertz.

Skulony, podszedł do drugiego samochodu. Sportowy chevrolet suburban, przechodzony, biała karoseria, tu i ówdzie wgnieciona i ubrudzona. Opatrzona inicjałami tablica rejestracyjna stanu Kalifornia: RTFLORA. Wolnym krokiem podszedł od strony kierowcy, chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte. Obszedł auto i spróbował otworzyć drzwi od strony pasażera. Też zamknięte.

Stamtąd ruszył pod górę w las. Sosny rosły tu coraz gęściej, a między nimi pięła się obficie roślinność i leżały połamane konary. Szedł powoli. Słysząc było jego każdy krok, więc czekał, aż zagłuszy je wiejący wiatr. Ścieżka do domku numer 14 prowadziła jakieś trzydzieści metrów w lewo. Zamontowane w pewnych odstępach reflektory rzucały tyle światła, że Cape mógł poruszać się równoległe do niej.

Dopiero po kilku minutach dotarł do miejsca, z którego widać było dom. Nad wejściem paliła się lampka, a tuż obok nieco bledsze światło uwydatniało zarys zasłoniętego okna. A gdy był już blisko, zakradł się do niespełna dwudziestu metrów i stanął w cieniu rozwidlonej sosny. Stamtąd miał już niemal otwarty widok na wąską werandę i drzwi.

Przypomniał sobie znów Tanyę z jej miniaturowym automatem, którego pozbył się w San Francisco. Doznał sprzecznych uczuć: żałował, a jednocześnie cieszył się, że nie ma go przy sobie. Nigdy w życiu nie strzelał z broni. Gdyby chciał użyć jej teraz, w zaistniałych okolicznościach, pewnie byłoby z tego więcej szkody niż pożytku.

Schował ręce w pustych kieszeniach, oparł się o sosnę i czekał.

Minęło pięć minut – sprawdził na słabo podświetlonej tarczy swego zegarka. Dziesięć minut. W domu nadal nic się nie działo. Tylko dokoła słysząc było odgłosy wiatru, nocnego ptactwa, szelest w podszybie. Jakies auto podjeżdżało drogą do któregoś z niżej położonych domów.

Piętnaście minut.

Dwadzieścia.

Zimno i niewygodna wywołały w nodze Cape'a skurcz. Napiął mięśnie i rozmasował je.

Dwadzieścia pięć minut.

Trzydzieści.

Wreszcie drzwi się otworzyły – ktoś szarpnął je gwałtownie – i na werandzie pojawił się jakiś mężczyzna.

Ten sam wzrost i przysadzista sylwetka co u Boone'a Judsona. Jednak nie

był to Judson. W świetle lampki nad drzwiami Cape wyraźnie widział jego twarz. Młodsza, o ciemniejszej karnacji i krzaczastych brwiach. Przerzedzone czarne włosy. Ten obcy człowiek wydawał się dziwnie znajomy, i to nie tylko ze względu na fizyczne podobieństwo do Judsona.

Rollo! A któżby inny?

Przez kilka sekund stał niepewnie i obserwował ścieżkę wiodącą na parking. Potem odwrócił się i mocno walnął ręką w otwarte za jego plecami drzwi. Wszedł do środka, nie zamykając za sobą drzwi, i choć Cape mógł pod kątem zajrzeć do wnętrza domu, niewiele widział. Po paru sekundach Rollo znowu wyszedł i ciężkim krokiem zszedł z werandy na ścieżkę.

Cape zawahał się. Poczul nagłą chęć, by śledzić Rolla i nakryć go, ale po ciemku, stąpając po gałęziach i suchym igliwiu, zdradziłby się ze swoją obecnością, jeszcze zanim zdążyłby do dogonić. A Rollo na pewno miał broń. Czy nie dlatego właśnie zastawił tę całą pułapkę?

Cape nie ruszył się z miejsca, obserwując, jak Rollo znika mu z oczu. Po chwili usłyszał rżenie i turkot zapalanego silnika. Zgrzyt zmieniających biegów, tarcie opon po żwirze.

Jeszcze przez chwilę Cape czekał i obserwował otwarte drzwi domu. Nikt więcej się nie pokazał. Cape wydostał się spośród drzew możliwie najciszej. Wspiął się po schodach i ostrożnie zajrzał przez drzwi do środka.

Jeden duży pokój, dwa szerokie łóżka po jednej stronie, po drugiej mały salon z aneksem kuchennym. I Boone Judson... oparty na brzuchu przy pierwszym łóżku, z rozłożonymi ramionami, klęczał na podłodze. Z tyłu głowy, nad linią włosów, widniała szerniała rana. Różowawa skóra i resztki popielatych włosów były zbryzgane krwią. Krew splamiła odkryte prześcieradło pod jego głową. Strzał z bliska, jak na egzekucji, krótko po rozmowie telefonicznej z Cape'em.

Judasz stał się kozłem ofiarnym. Oto główny bohater całej tej zmowy.

Cape nie ruszał się z miejsca. Szybkim spojrzeniem ogarnął pokój. Tylko jedna rzecz przykuła jego uwagę: pęk kluczy na stole w kuchence. Bokiem przemknął do stołu. To były klucze od auta, z breloczkiem od Hertza. Chwycił je, wycofał się do drzwi i wyszedł.

Pot lał się z niego. Osuszał go wiatr, którego podmuch zdawał się zamieniać go w cienką warstwę lodu na skórze, gdy Cape pędził po oświetlonej ścieżce. Na parkingu podbiegł do mitsubishi. Pierwszym kluczem nie udało się

otworzyć drzwi od strony kierowcy, więc spróbował innym. Udało się. Chwytał klamkę przez połą kurtki, którą owinął sobie wokół dłoni. W świetle górnej lampki zobaczył jedynie puste siedzenia, na podłodze też nic nie znalazł.

Pchnął drzwi ramieniem, a gdy się zatrzasnęły, pobiegł do tyłu. Tym samym kluczem otworzył bagażnik. Podniósł pokrywę, podważając ją metalem, by nie dotykać auta.

– Jezu!

Cuchnęło trupem. Zadławił się i wzdrygnął. Lampka w bagażniku rzucała blade światło na zawinięty w koc pakunek, który tam upchnięto. W miejscu, gdzie brzegi koca rozchyliły się, widać było zsiniałą twarz, język i otwarte oko.

Tanya.

Została uduszona.

Nie żyła już od dawna, pewnie od czwartkowego popołudnia.

Cape zatrzasnął bagażnik pchnięciem ramienia. Wyjął klucz, wytarł o podszewkę kurtki i rzucił cały pęk na ziemię. W ustach miał wstrętny, metaliczny smak – tak smakuje strach. Było gorzej, o wiele gorzej, niż się spodziewał. Pułapka, zmowa, masakra. Ciężka sytuacja, może nawet bez wyjścia. Głupio zrobił, że pozwolił Rollo uciec. Głupio robi, jeśli sądzi, że wystarczy donieść na niego kapitanowi D'Anzello, aby móc spokojnie stąd wyjechać...

Niespodziewany błysk światła. Jakieś zamieszanie, czerwono-niebieskie odbłaski na dole, u wejścia do motelu.

Wozy policyjne. Dwa, trzy, cztery, skracają z ulicy. Miały wyłączone syreny, tylko ich lampy błyskowe tworzyły jakieś dziwaczne, kolorowe kształty na tle drzew i ciemności.

No tak, oczywiście! Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Rollo, był anonimowy telefon na miejscowy posterunek policji.

Cape popędził w głąb lasu jak szalony.

24.

Koszmarna ucieczka: wokół groteskowe kształty, niewidzialne przeszkody, o które potykał się i przewracał, suche konary, sterczące i wczepiające się w niego jak nagie szkielety rąk. Wiedział, że nikt go nie goni – nawet go nie

zauważyli; tam, w domku, czekało ich sporo pracy. Mimo to Cape nie mógł zwolnić.

Stracił poczucie czasu; zdawało się, że nie widać końca lasu. A gdy wreszcie dotarł do jego obrzeża, w ciągu kilku sekund uświadomił sobie, że znajduje się dokładnie tam, gdzie zaparkował swoją korwetę. W mokrej, lepkiej mgłę ujrzał jej sylwetkę niedaleko, przy biegnącej w dół ulicy. Chwiejnym krokiem ruszył po nierównym chodniku w stronę auta i oparł się o chłodny metal, szukając nerwowo kluczyków. W gardle mu rzeziło, jakby nie mógł zaczerpnąć tlenu.

Niżej, zza rogu Pioneer Trail, błysnęły reflektory.

Cape wskoczył do korwety, zatrzasnął drzwi i ułożył się płasko na siedzeniu pasażera. Reflektory zmierzały pod górę, w jego stronę, rozświetlając wnętrze jego auta, i nie zwalniając, przemknęły obok.

Cape leżał tak jeszcze przez chwilę, aż ustąpił mu ból w piersiach i wyrównał mu się oddech. Ręce mu drżały, gdy usiadł prosto. Musiał podtrzymać dłoń drugą ręką, by trafić kluczem do stacyjki.

Gdy tylko ruszył, natychmiast poczuł się lepiej. Opanował drżenie ciała. Wciąż jednak sączył się z niego lepki pot – gęsty, tłusty, cierpki.

Zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, zjechał do Pioneer Trail, skręcił w lewo. Po przejechaniu około czterystu metrów zauważył przy głównym skrzyżowaniu czerwone światło. Skręcił więc w kierunku jeziora i już po chwili ujrzał na wprost promenadę Lake Tahoe Boulevard. Oślepiający błysk światła, ruch, ludzie... Policja.

Korweta to kolejna pułapka.

Charakterystyczny, rzucający się w oczy wóz. D'Anzello miał jej numer rejestracyjny. Ile potrzeba czasu, żeby każdy gliniarz w Kalifornii i Nevadzie miał go w swym rejestrze pilnie poszukiwanych? Godzinę, może dwie? Albo nawet mniej?

Musiał koniecznie jechać, bo na piechotę nie miałby szans. Auta przecież nie ukradł – jedynym wyjściem było nie opuszczać korwety. Jechać naprzód, przed siebie. I trzymać się z dala od głównych dróg. Jeździć bocznymi uliczkami...

jechać, ale dokąd?

Nie miał dokąd uciec, nie miał gdzie się ukryć.

Czuł spływające po czole krople. To nie był tylko pot – w kąciку ust poczuł słonawy smak. Krew. Z głębokiej rany nad brwią. Wyczuwając ją palcami, spowodował piekący ból. Czuł go też w innych miejscach: na twarzy, szyi, rękach. Cały się poranił, pędząc przez las.

Trzeba natychmiast coś z tym zrobić. Ślady krwi narażają go na ciekawość innych, wzbudzają podejrzenia.

Na wprost dostrzegł stację benzynową. Mało ludzi, słabo oświetlona w bocznej części, przy toaletach. Zjechał i zaparkował w najbardziej ocienionym miejscu. W schowku miał apteczkę. Wyjął ją i zabrał do męskiej toalety.

Tam zamknął drzwi i spojrzął na swoje odbicie w przymglonym lustrze. Draśnięcia, zadrapania, rana na czole. Twarz miał całą pomazaną od potu, brudu i krwi. Przemył ją zimną wodą, ranę zdezynfekował i założył opatrunek. Ubranie wyglądało nie najgorzej – tu i ówdzie pozahaczana koszula, dziura w kurtce. Papierowym ręcznikiem startł plamy od brudu i krwi, strzepnął resztki gałęzi i igieł po sosnach.

Od razu lepiej. Nie wyglądał już na przypadkową ofiarę przestępczego spisku.

Z powrotem do auta.

Jechał bocznymi uliczkami, szukając jakiegoś pubu z wydzielonym, cieniowym miejscem na parking. Trafił do tawerny Buckhorn. Nazwa brzmiała znajomo; Cape był tam przedtem. W środku panował mrok, siedziało paru klientów i barman. Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Zamówił podwójnego Jacka Danielsa i wypił duszkiem. Trunek rozgrzał go i uspokoił. Zamówił kolejnego, tym razem zwykłego. Nie mógł dopuścić, by w tej sytuacji alkohol przyćmił mu umysł.

Zapytał o telefon. Barman wskazał mu korytarz prowadzący do toalet. Znalazł telefon, ale nie było książki z numerami. W knajpach przeważnie mieli za barem drugą, więc Cape poszedł i zapytał. Barman fuknął, że książka pewnie gdzieś jest, ale nie ma czasu pójść jej poszukać. Cape rzucił mu dwie jednodolarówki – resztę z tego, czym zapłacił za drinki. Barman posłał mu szelmowski uśmiešek i książka telefoniczna, choć mocno podniszczona, od razu się znalazła.

Przeszedł do lepiej oświetlonego miejsca i przewertował książkę do spisu firm. Przejrzał strony pod hasłem „ogrodnictwo”.

Na drugiej stronie, w niewielkiej ramce, dostrzegł reklamę: R.T. FLORA Service.

RTFLORA. R.T. FLORA Service. R, jak Rollo?

Żadnych nazwisk ani adresu – tylko numer telefonu i hasło reklamowe: „Szeroki zakres usług ogrodniczych dla firm i osób prywatnych”.

Cape oparł czoło o ścianę. Nie masz dokąd uciec, nie masz się gdzie ukryć, nie masz dokąd jechać. Pomyśl tylko. Ruszże głową!

Niski, śniady, krępy jak Boone Judson. R.T. FLORA Service... usługi dla firm i osób prywatnych. Lakepoint Country Club. Lakepoint. Lakepoint... Coś jeszcze przypomniało mu się z tego klubu...

„Mój syn, Gary... pracuje trochę w klubie, pomaga przy sprzęcie golfowym... Lilith... też tam pracuje, w dziale płac...”

Słowa Justine.

Justine... Jakie to ona ma nazwisko?

Wtedy, przy śniadaniu w restauracji w piątek rano, kelnerka zwracała się do niej chłodnym, oficjalnym tonem, właśnie po nazwisku...

Pustka w pamięci.

Jak ona się do niej zwracała?

No dalej, Cape, rusz głową! Powiedziała...

„Czy jeszcze coś, pani... pani...”

Takie samo nazwisko nosił jeden z prezydentów, już nieżyjących...

Coolidge.

Szybko otworzył książkę, przewrócił białe strony do litery C.

Znalazł. J. Coolidge, Lakeview 2294, S. Lake Tahoe.

25.

Nie musiał daleko jechać, jakieś półtora kilometra w kierunku Stateline, potem na drugą stronę promenady Lake Tahoe Boulevard, a mimo to droga dłużyła mu się niemiłosiernie. Każdy samochód, każdy błysk reflektorów stanowił potencjalne zagrożenie. Na razie jednak szczęście mu dopisywało; nie trafił na ani jeden policyjny wóz.

Droga Lakeview Drive wiała się na krótkim odcinku nabrzeża przez centrum miasta, dzielnice prywatnych posiadłości, skupiska moteli nad samym jeziorem, małe osiedla mieszkaniowe i przybrzeżną okolicę usianą garstką domów. Pod numerem 2294 stał kompleks domków, około tuzina ich równolegle rozmieszczonych w dwóch szeregach. Podświetlony szyld przed nimi głosił: Osiedle Rest Haven. Cape zaparkował w cieniu drzew w pewnej odległości od kompleksu, po czym wrócił.

Za szyldem widać było rzędy skrytek pocztowych, na każdej nazwisko lokatora. Skrytka J. Coolidge oznaczona była numerem 5. Mieszkanie to

znajdowało się gdzieś w tyle. Cape znalazł je i spostrzegł zasłonięte frontowe okno, z którego nie przenikała ani jedna wiązka światła.

Wszedł na mały, otoczony barierką ganek i kciukiem nacisnął przycisk dzwonka. Dźwięk odbił się echem za drzwiami. Zadzwoił jeszcze raz, poirytowany, przyciskając mocniej i dłużej. I znowu nic. Nikogo nie było w domu.

To niemożliwe, że Justine jest jeszcze w hotelu, w pracy. Nie o tej porze. Pewnie spędza wieczór poza domem. Zastanawiał się, czy zaczekać, aż wróci. I tak nie miał nic innego do roboty.

Cape zszedł z ganku, zatrzymał się i rozejrzał. Wtedy usłyszał chrzęst zwi-ru: ktoś zbliżał się ścieżką.

Jakiś dzieciak, piętnaście, może szesnaście lat, żyłasta budowa ciała, krótko ścięte, ciemnobrązowe włosy. Światło latarni jeszcze bardziej wydobyło jego rysy, gdy podszedł bliżej: wydadne kości policzkowe i te charakterystyczne, lekko skośne oczy.

Dzieciak zwolnił i bezpiecznie zatrzymał się w odległości kilku metrów.

– Dobry wieczór. Szuka pan kogoś?

– Ty jesteś Gary? Gary Coolidge?

– Tak. A pan to kto?

– Na imię mam Matt. Jestem przyjacielem twojej mamy. Hm, przyjaciel to może za dużo powiedziane: jestem jej znajomym. Poznaliśmy się w hotelu Lakeside Grand kilka dni temu. Nic ci nie mówiła?

– Nie. A był pan z nią umówiony?

– Właściwie nie.

– Więc po co pan przyszedł?

– Mam do niej prośbę. To coś ważnego.

– Taak? – Skośne oczy spojrzały podejrzliwie. – Coś kiepsko pan wygląda. Ktoś pana napadł czy co?

– Nie. Ganiałem po lesie chyba trochę na oślep – odrzekł Cape. – O której mama wróci?

– Mówiła, że przed północą. Poszły z Lilith na kolację i do kina. Wie pan, kim jest Lilith?

– Tak.

Dopiero przed północą... To jeszcze kupa czasu.

– O mnie też mama opowiadała? – dociekał Gary.

– Dużo o tobie mówi. Jest z ciebie dumna.

– Ja z niej też. Razem nieźle sobie radzimy.

- To bardzo dobrze.
- A co to za prośba?
- Chcę poprosić ją o pomoc... albo Lilith... albo ciebie...
- Mnie?
- Mama mówiła, że pomagasz przy sprzęcie golfowym w klubie Lakepoint Country Club. Więc pewnie znasz ludzi, którzy tam pracują.
- Znam parę osób.
- A faceta od zieleni imieniem Rollo?
- Rollo? Nie...
- Na pewno?
- Żaden z facetów od zieleni nie nazywa się tam Rollo. Tego jestem pewien.
- Firma ogrodnicza R.T. FLORA Service? Mówi ci to coś? – dążył Cape.

Chłopak miał skonsternowaną minę.

– Niski, krępy, śniady. Oczy brązowe, rzadkie, czarne włosy. Jeździ białym chevroletem suburbanem, z inicjałami na tablicy rejestracyjnej: RTFLO-RA. I bierze narkotyki.

– O rany... To przecież ten dupek, sztywniak!

– Sztywniak?

– Tak go przezywamy. Wygląda, jakby połknął kij i gdyby tylko się zaśmiał, pewnie złamałby się w pół! Kiedyś chciał mi sprzedać amfę. I to w pracy, w klubie!

- Jak on się naprawdę nazywa?
- Torres czy Targes... Jakoś tak...
- Przypomnij sobie, Gary. Koniecznie muszę się dowiedzieć.

Chłopak pomyślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– E, nie pamiętam.

– A jak ma na imię, jeśli nie Rollo?

– Pewnie też gdzieś słyszałem, ale zapomniałem. Nazywamy go sztywniak, i już.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie mieszka?

– Nie. Skąd mam wiedzieć? – Na twarzy chłopaka znów malowało się podejrzenie. – A czemu ten facet tak pana interesuje? Chodzi o narkotyki?

– Nie, nie.

– Ja ich nie znoszę. Nie chcę, żeby wokół mojej mamy kręcił się jakiś ćpun...

– Przysięgam ci, że wcale nie chodzi o narkotyki. To pilna i osobista sprawa.

– Dlaczego pilna?

– Mam kłopoty, a on może mnie z nich wyciągnąć – odparł Cape. – Rozpoznałbyś jego nazwisko, gdybyś zobaczył je na piśmie?

– Nie wiem. Możliwe.

– Dam ci pięćdziesiąt dolców, jeśli przeszukasz książkę telefoniczną matki.

– Pięćdziesiąt?! O kur... kurczę! Poważnie?!

– Już wyciągam.

– Ale pan ze mną nie pójdzie – zaznaczył chłopak nieufnie. – Zaczeka pan tu, na zewnątrz.

– Jasne. Tylko się pośpiesz, dobrze? – Cape wyjął z portfela dwudziestkę i dziesiątkę i wetknął banknoty Gary'emu w dłoń. – Resztę dostaniesz, jak wrócisz.

– A jeśli nie znajdę jego nazwiska?

– Trudno. Tylko pamiętaj: jest mi bardzo potrzebne, i adres też.

– Dobrze, postaram się. – Gary wskazał dłonią skwer z trawnikiem, ławkami, małym placem zabaw dla dzieci, położony między dwoma domkami. – Niech pan pójdzie tam i zaczeka.

Chłopak nie wracał przez ponad dwadzieścia minut. Cape, który siedział na ławce jak na szpilkach, zaczął się już pocić i nerwowo wiercić. Gdy tylko ujrzał Gary'ego wychodzącego z oświetlonego ganku, w jednej chwili poderwał się i szybkim krokiem ruszył w jego stronę.

– W książce telefonicznej nic nie było, panie Matt. Ale zdobyłem jego dane z innego źródła. – Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie.

– Jesteś niesamowity.

– Były w komputerze Lilith – wyjaśnił Gary. – Ona czasem pracuje w domu i przechowuje tam wszystkie dokumenty z klubu. No i się do nich włamałem. Nie byłaby zachwycona, gdyby się o tym dowiedziała, ale czego się nie robi dla pięćdziesięciu dolców...

– To jak on się nazywa?

– Tarles. T-A-R-L-E-S. A na imię ma Rolando. Dziwnie, nie? Rolando Tarles, w zdrobieniu Rollo.

– A jego adres?

– Columbine Road 465.

- South Lake Tahoe?
- Aha. Ale nie wiem, gdzie to jest.
- W samochodzie mam mapę. – Cape wręczył mu dwadzieścia dolarów i dorzucił jeszcze dziesięć. – Dzięki, Gary. Można powiedzieć, że właśnie uratowałeś mi tyłek.
- Ten sztywniak musiał nieźle panu zająć za skórę.
- Przez niego coś straciłem, ale odzyskam to, choćby nie wiem co.
- Forsę?
- To ważniejsze niż forsa.
- A co może być ważniejsze niż forsa?
- No... pewnie, że jest coś takiego – rzucił Cape. – Nazywa się wolność.

26.

Columbine Road.

Krótką uliczka z domami po obu stronach, dzielnica zamieszkiwana przez niezamożną klasę średnią, podobnie jak ta przy Black Bart Road. Numer 465 znajdował się na samym końcu, dom graniczący z ogrodzeniem cmentarza. Kryty gontem dach, boczne deski z sekwoi, mógł mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Obudowany ganek, mnóstwo krzewów, zadbane rzędy klombów i reklama firmy R.T. FLORA Service. Podjazd od strony płotu, a tuż przy wolnostojącym garażu zaparkowana furgonetka.

Dookoła ciemno, ani jednej latarni. W sąsiedztwie ani śladu chevroleta suburbana.

– A niech to szlag! – syknął Cape przez zaciśnięte zęby. Zawrócił, skręcił z Columbine przy najbliższym skrzyżowaniu i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógł zaparkować korwetę. Po piętnastu minutach wreszcie znalazł: parking dla nauczycieli przy szkole podstawowej, zaraz za ogrodzeniem z łańcuchów, na zacienionej przestrzeni pod wielką akacją. Auto mogło stać tam bezpiecznie do rana. A jeśli potem zostanie zauważone, to i tak już bez znaczenia.

Pieszko wrócił na Columbine Road. Trzy pary reflektorów aut wyłoniły jego sylwetkę w ciemności; siedł naprzód i minął je bez wahania jak tutejszy

mieszkaniec. Były to samochody prywatne. Nikt go nie zaczepił ani nie zwrócił na niego uwagi. Minął go tylko jakiś mężczyzna w średnim wieku, spacerujący z psem, i nawet mu się uklonił.

Koło domu Rolla nadal było ciemno i pusto, tylko na ganku sąsiedniego domu świeciła się lampka, ale w oknach też było ciemno. Światła paliły się w domach po drugiej stronie ulicy; gdy Cape mijali ostatni z nich, jakaś kobieta poruszyła się w panoramicznym oknie bez zasłon, ale nawet nie spojrzała ani nie zatrzymała się. Telewizor grał tam tak głośno, że dźwięk odtwarzanego śmiechu słychać było na całej ulicy. Uwaga kobiety skupiona była na ekranie.

Cape wszedł po schodach na werandę domu Rolla. Zauważył przycisk dzwonka, ale starał się go nie dotykać. Wyposażone w siatkę drzwi zewnętrzne zamknięte były na klucz, więc główne drzwi wejściowe za nimi na pewno też. Cape wycofał się schodami na dół. W niezasłoniętym oknie po drugiej stronie ulicy widać było ryczący telewizor; tym razem nikogo nie było w pokoju. Cape ruszył spiesznie na podjazd i przeszedł nim aż do końca, gdzie stała zaparkowana furgonetka. Na drzwiach od strony kierowcy widniał ułożony z czarnych liter napis: R.T. FLORA SERVICE. Pociągnął za klamkę. Były zamknięte.

Podwórce za domem było kolejnym obrazem usług firmy, tyle że na mniejszą skalę. Od jednej strony graniczyło z cmentarzem, a w większej części otoczone było drzewami. Ciemne i oddzielone od reszty świata. Cape sprawdził tylne wejście: solidne ościeże, pewnie zabezpieczone zasuwą. Okno przy drzwiach też szczelnie zamknięte, podobnie jak inne, ciągnące się aż do oddalonej ściany bocznej.

Na podwórzu Cape przesunął palcami po brzegach okna sąsiadującego z tylnym wejściem. Pojedyncza szyba, dość cienka, ze starym, spękany kitem. By ją zbić, wystarczy jedno energiczne uderzenie.

Zastanawiał się, czy zaryzykować.

To chyba lepsze niż czekanie na zimnie. Bóg raczy wiedzieć, o której Rollo zamierza wrócić do domu.

Cape zdjął kurtkę i owinął nią prawe ramię. Przy głośnym podmuchu wiatru uderzył łokciem w szybę.

Rozbiła się na równe kawałki, a brzęk tłuczonego szkła zadźwięczał mu w uszach tak głośno, że na chwilę zamarł w miejscu. Gdzieś w pobliżu zaczął ujadać pies. Cape uważnie nasłuchiwał jeszcze innych odgłosów. Słyszał swój własny chrypiący oddech, łomotanie serca i wycie wiatru. Czekał i słuchał. Ujadanie psa rozlegało się już coraz rzadziej, aż w końcu ustało. Jeszcze minuta. Dwie, trzy.

Cisza.

Cape ruszył się, powyjmował z framugi okna potłuczone kawałki szkła, żeby wchodząc do środka, uniknąć skaleczeń. Zatrząsk zaciął się albo zardzewiał. Przez następne dwie lub trzy minuty Cape starał się go poluzować, a potem przez jeszcze dłuższą chwilę usiłował wypchnąć ramę do góry tak, by zdołać pod nią przejść. Znow oblał go pot, od zimna dostawał dreszczy. Wreszcie wspiął się na parapet. Gdy zeskakiwał na podłogę, odłamek szkła wbił mu się w dłoń, ale prawie nic nie poczuł.

Znalazł się w jakimś pomieszczeniu gospodarczym. Zawadził o gładką, twardą przeszkodę i po dotyku poznał, że to pralka. Po omacku minął zmywarkę i stojącą obok niej suszarkę, natrafił na ścianę; nie odrywając od niej ramienia, dotarł do drzwi i znalazł się w kuchni. W padającej od okna mglistej poświacie księżycowej wyłoniły się kontury zlewu, lodówki, kącika jadalnego z krzesłami.

Kolejno zaczął otwierać rzędy szuflad pod zlewem. W czwartej leżała latarka. Zanim ją włączył, przysłonił dłonią szkło. Miała dobre baterie i rzucała stały snop światła.

Cape przeszedł przez kuchnię, przepuszczając przez palce odrobinę światła, by bezpiecznie wyjść drzwiami wahadłowymi do małej jadalni. Zaraz obok mieścił się salon. Już u samych drzwi Cape poczuł klucie w nozdrzach.

Gęsty, żrący odór marihuany.

Wszedł do salonu, oświetlając go nikłym blaskiem przysłoniętej latarki. Na stoliku stała popielnica pełna niedopalonych skrętów. Dwa brudne kieliszki do koktajlu, prawie opróżniona duża butelka po whisky Jim Beam, resztki jedzenia na talerzach. Rozłożona wersalka, zasłana zmiętą pościelą i kocem po kimś, kto ostatnio tam nocował – prawdopodobnie Boone Judson. Widocznie Rollo karmił i poił swoją ofiarę alkoholem, nim poprowadził ją na rzeź.

Poza tym żadnych innych wskazówek. Pozostałą część domu zajmowały dwie małe sypialnie, jedno pomieszczenie biurowe i zapuszczona łazienka. W łazience Rolla stał stolik nocny, którego szuflada zawierała zużytą fajkę do koki i inne akcesoria typowe dla narkomana. Ćpał ostro, to widać: był na „haju”, kiedy zabił Vanowena, nawalony pewnie też tamtego popołudnia, gdy udusił Tanyę, i dzisiaj wieczorem, w ośrodku „Pod Sosnami”. O ileż łatwiej jest zabić człowieka, gdy się jest pod wpływem środków odurzających.

Cape szybko przeszukał szafkę i szuflady. Nic nie znalazł. W biurze stał podniszczony sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, komputer i drukarka firmy Radio Shack, i metalowy segregator. Przejrzał najpierw biurko, a potem segregator.

Dobrze jest poznać swojego wroga.

Znalazł dowody. Całe mnóstwo dowodów, które powinny przekonać kapitana D'Anzello.

Zwolnienie ze stanowego więzienia Arizony w Yumie sprzed sześciu lat. Odsiedział czteroletni wyrok za niepodane tu przestępstwa.

Akt kupna-sprzedaży sprzed trzech lat na używaną łódź i silnik przyczepny marki Evinrude.

Rachunki od firmy Baxman Marine w Pine Beach za przechowywanie łodzi.

Trzyście tysięcy dolarów w gotówce, złoty Rolex należący do J. T. Sturgesa i unikalny, turkusowo-srebrny sygnet Vince'a Mahannah.

Cape został w salonie i usiadł w zapadłym fotelu, mając w zasięgu ręki po-grzebacz.

Obmyślał plan i czekał na Rolla.

Północ.

Cisza była tak nieznośna, że pulsowała mu w uszach, jak szum znalezionej nad morzem muszli. Przez dłuższy czas był bardzo podenerwowany. Teraz ogarniał go jakiś letarg.

Wpół do pierwszej.

Emocje opadły, umysł się rozleniwił. Drażący ból przeszywał go aż do kości. Powieki zaczęły mu ciążyć.

Kwadrans po pierwszej...

Niespodziewane dźwięki.

Cape dźwignął się z fotela, półprzytomny, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z urywanych fragmentów sennych wizji. Śniło mu się, że przez parę sekund Anna była razem z nim i krzyczała, obrzucając go wymówkami. Słyszał pobrzmiwający echem głos Mary Lynn, który ostrzegał: „Proś Boga o przebaczenie, bo inaczej spłoniesz w piekle!” Słyszał własnego ojca na Florydzie, jego pijacki śmiech i chrypiący głos, podobny do głosu tego starca z knajpy:

„Uważaj no, żeby to życie *ciebie* nie ujarzmiło!” A potem wszystkie głosy i wizje znikły, a ich miejsce zajęła irytująca świadomość rzeczywistości: miejsca, w którym się znajdował, otaczającej go ciemności i smrodu marihuany.

I znów ten hałas. Jakieś odgłosy z zewnątrz, z ulicy.

Warkot silnika, rytm muzyki.

Przetarł oczy i skupił wzrok. Okno znajdowało się tylko o kilka metrów dalej. Chwiejnym krokiem zbliżył się do niego, rozchylił zasłony i wyjrzał na ulicę.

To jakieś dzieciaki, nie Rollo. Pod stojący naprzeciwko dom podjechał pontiac trans am z nastawionym „na maksa” radiem, z którego leciał głośny rap. Silnik warczał, długie snopy świateł reflektorów sięgały aż do cmentarnego płotu. W środku siedziała obściskująca się para. Nagle drzwi domu otworzyły się i jakiś facet w piżamie w paski wyskoczył na zewnątrz i coś krzyczał.

Cape zasłonił okno. Wrócił do fotela, ale nie usiadł. Głowa mu pękała, serce waliło jak młotem. Podświetlana tarcza jego zegarka pokazywała 2:57. Przespał ponad godzinę.

Silnik pontiaca zaryczał, zapiszczały opony. Po paru sekundach wszystkie te odgłosy i rytm muzyki ucichły. Znów zapadła upiorna cisza.

Trzecia godzina, a Rolla wciąż nie ma.

A skoro jeszcze go nie ma, to pewnie już nie przyjdzie. Widocznie nocował gdzie indziej.

Cape zapalił latarkę i nie przysłaniając światła, udał się do kuchni. Obmył twarz zimną wodą z kranu nad zlewem, nabrał trochę w dłonie i wypił chciwie. Mimo to wciąż miał w ustach ten gorzkawy smak.

Odczuwał osłabienie w całym ciele, ból w krzyżu i potworny ból głowy – w ogóle czuł się marnie. Ale to tylko zmęczenie, odrętwienie od spania w fotelu, od ciągłego napięcia. Dojdzie do siebie. Byle tylko ruszyć dalej. Nieważne, że jest pechowcem. Zdoła przejechać jeszcze sporo kilometrów, gdy tylko znów będzie wolny i wyjedzie na otwartą drogę.

Zajmie się wszystkim po kolei. Przypomniawszy sobie, że w którejś z szuflad Rollo trzymał kluczyki. Może zapasowe do zaparkowanej na podjeździe furgonetki?

27.

Furgonetka marki Ford okazała się złomem. Cape kilkakrotnie próbował uruchomić silnik, który sapał, wypuszczając kłęby dymu, aż wreszcie zapalił i utrzymał stały chód. Jego przerywany turkot przechodził w astmatyczne rżenie, a przy zbyt mocnym nadejnięciu na pedał gazu niekiedy gasł. Skrzynia biegów i sprzęgło były równie rozklekotane jak silnik: dźwignia zgrzytała, sprzęgło ślizgało się i blokowało przy zmianie biegów.

Widocznie wóz został kupiony za bezcen. Tylko ogrzewanie działało bez zarzutu, a wskaźnik paliwa pokazywał prawie pełen zbiornik. W szarości wczesnego ranka stonowana karoseria furgonetki też się liczyła. Świadczył o tym fakt, że policjanci z mijającego go przy wjeździe do Stateliné patrolu nawet nie zwrócili uwagi na Cape'a ani na wymalowany na drzwiach wozu napis R.T. FLORA SERVICE.

Najpierw do Cave Rock
Nikogo tam nie zastał.

Pine Beach.

Długa, nerwowa jazda w drodze powrotnej do South Lake Tahoe, na północ autostradą numer 89 i jej urwistym odcinkiem wysoko nad Emerald Bay, zmęczyła go jeszcze bardziej. Nad głęboko zakreślonym łukiem zatoczki usianej łodziami leżała maleńka wioska. Na każdym z dwóch przeciwległych krańców zatoczki stał warsztat ze sprzętem pływającym i punktem serwisowym. Jednym z nich był Baxman Marine.

Nieduży placyk zaraz przy autostradzie: ogrodzony warsztat, rzędy łodzi w suchych dokach, budynek z blachy falistej niewiele większy niż przeciętny dom, długi dok w kształcie litery T wraz z basenami. Przed bramą pas żwiru, a na nim jakiś masywny pojazd, który w światłach forda wyglądał na sportowy wóz jasnego koloru. Cape zwolnił i przetoczył się tuż obok niego. Szewrolet suburban, pośpiesznie zaparkowany na skos, z widoczną tylną tablicą rejestracyjną: RTFLORA.

Cape przejechał jeszcze około stu metrów, skręcił na pobocze i stanął przy zacienionym sklepie. O tej porze na autostradzie nie było ruchu. Gdy Cape wysiadł i ruszył z powrotem do Baxman Marine, droga wciąż świeciła pustkami.

Jedynie dostrzegalne za płotem światła okazały się latarniami nocnymi. Niektóre, umocowane na słupach przy doku, nadawały taflę jeziora smolisty połask, jakby na wodzie lśniła plama ropy. Pośród różnych kształtów i cieni trudno było dostrzec jakiegokolwiek ruchu. Cape skierował się do chevroleta. Drzwi od strony kierowcy nie były zamknięte; otworzył je więc i po chwili uznał, że w środku jest pusto. Podeszedł do auta z przodu, położył dłoń na masce – była zimna, na metalu lśniły krople rosy. Widocznie zaparkowano go tu dość dawno.

Obie połowy bramy wjazdowej były złączone, lecz nie zabezpieczone; otwarta kłódka wisała zaczepiona o łańcuch. Cape wślizgnął się na plac, minął rzędy łodzi, kilka przyczep, sprzęt pływacki. Z boku blaszanego budynku znajdowało się szerokie, podwójne wejście, a z boku jego ściany głównej – zwykłe drzwi. Cape podeszedł najpierw do nich. Były zamknięte. Przyłożył więc ucho do zimnej blachy i wyłowił tylko słabe drganie, wywołane przez wiatr. Poza tym żadnych innych dźwięków. Usunął się spod padającego z góry światła latarni i poszedł do podwójnych drzwi. Zamknięte.

To miejsce na pewno należy do kogoś, kogo Rollo zna na tyle dobrze, by powierzyć mu klucze. Poza tym miał tutaj zniżkę za przechowywanie swojej łodzi. Czy przyjechał tu wczoraj wieczorem po to, by zabrać łódź i popływać nią w środku nocy?

Cape skierował się do pochylni i wyszedł na dok. Po drodze spostrzegł kilkumetrową łódź sportową, której nakryty plandeką silnik wystawał ponad powierzchnię wody. Uchylił róg plandeki: silnik marki Evinrude. Pozostałe zacumowane łodzie różniły się od siebie. Szansa, że jeszcze któraś miała tego typu silnik, była minimalna. Wszystko wskazywało więc na to, że ta łódź należała do Rolla.

Tylko gdzie on sam się podział, do cholery?

Cape obrócił się i ruszył z powrotem. W pewnej chwili jego uwagę przykuła tylna część budynku, w którym mieścił się zapewne magazyn. Zatrzymał się i podniósł wzrok.

W ścianie było oświetlone okno, a otaczający je wokół blask nadawał mu wyraźny, jasny kształt. Okno znajdowało się jednak za wysoko, by zajrzeć do środka bez pomocy drabiny. Źródłem światła mogła być nocna lampa biurowa,

tylko co za sens zostawiać ją włączoną, skoro na zewnątrz paliło się tyle latarni?

Cape wsunął rękę do kieszeni kurtki i wyjął pęk zapasowych kluczy Rolla. Następnie pobiegł za róg, do drzwi z przodu budynku. Dopiero trzeci z wypróbowanych kluczy pasował do zamka i dał się obrócić. Cape wstrzymał oddech, uchylił drzwi, wślizgnął się do środka i szybko zamknął je za sobą.

Światło w tyle budynku padało od lampy na stole w jakimś pomieszczeniu biurowym, oddzielonym przybrudzoną szybą i płytą wiórową. Z tej odległości Cape niewiele mógł zobaczyć, tym bardziej że lampa oświetlała przestrzeń tylko w promieniu kilku metrów. Większa część magazynu była mocno zaciemniona, na betonowej podłodze piętrzyły się różne przedmioty, małe i duże, o znajomych lub obcych dla oka kształtach. Ani z biura, ani z innych zakamarków nie dochodziły żadne dźwięki. Ta cisza prawie szumiała mu w uszach i przyprawiała go o dreszcze.

Na wprost ciągnął się korytarz i na oko droga była wolna. Ruszył więc bardzo ostrożnym krokiem, wyciągniętą dłonią rozgarniał powietrze. Leżały tam stosy desek, płyty sklejkowe, jakieś drewniane formy, szkielec łodzi na żurawiku, tokarki, prasy, piły. W chłodnym powietrzu dało się wyczuć zapach trocin, farby, oleju lnianego, terpentyny... i czegoś jeszcze. Słaby, nieprzyjemny odór nie wiadomo skąd.

Cape przeszedł już około dwudziestu metrów. Wymijając wózek ręczny, który ni stąd, ni zowąd stanął mu na drodze, zderzył się z czymś innym. Coś odbiło mu się z ukosa o czoło, zabrzęczało, zakołysało się na boki i już miało wymierzyć mu po ciemku kolejny cios, ale zdążył schylić głowę i przykucnąć. Po korytarzu rozniósł się echem dźwięk spadającego metalu. Nad głową Cape'a nadal kołysał się jakiś przedmiot: pewnie kloszowa lampa zwisająca z belki stropowej.

W biurze jednak nikt się nie zjawił, nie zapaliły się żadne inne światła.

W końcu hałas ucichł, ustało delikatne skrzypienie rozhuśtanej lampy. Znów nastała martwa cisza.

Cape wyprostował się powoli. Gdy tylko odzyskał normalne tętno, ruszył dalej naprzód. To światło w biurze to tylko lampa nocna, pomyślał. Rolla tam nie ma. Nie ma go nigdzie na terenie zakładu...

I tu się pomyliłeś, Cape.

Rollo był właśnie tam, i to przez cały czas.

Cape ujrzał go, gdy tylko doszedł do uchylonych drzwi. Smugi brudu na szybie działowej sprawiały, że pomieszczenie wyglądało mgliście i nierealnie,

jakby zatopione w mętnej wodzie. Stało tam biurko, za nim krzesło obrotowe, a na nim Rollo, niedbale oparty, z głową zwisającą na bok. Usta miał otwarte, powieki zaciśnięte i grymas cierpienia na twarzy.

Cape otworzył pchnięciem drzwi i jednym krokiem znalazł się w środku. Nieprzyjemny odór stał się teraz bardzo silny: amoniak. Oddychając ustami, Cape podszedł bliżej do krzesła.

Z bliska Rollo nie wyglądał imponująco – szerokie barki, mięsiste usta, wielki brzuch. Jego spodnie koloru khaki były z przodu poplamione moczem. Żadnych śladów krwi czy przemocy, tylko podwinięty lewy rękaw białej, przybrudzonej już koszuli, a na gołym ramieniu ciasno zawiązana gumowa rurka. Cape podszedł jeszcze bliżej. Na podłodze, między biurkiem a krzesłem, leżała połamana strzykawka, w której odbijało się światło lampy. I rozsypany ziarnisty, biały proszek.

Rollo przedawkował. Bez niczyjej pomocy.

To koniec?

Nie. W gardle mu świstało i rzęziło; w nadgarstku dał się wyczuć nikły puls. Źle z nim. Pewnie zapadł w śpiączkę. Umrze, jeśli natychmiast nie trafi do szpitala.

Cape zawahał się, przeszukał biurko. Dolna szuflada biurka wyciągnięta, a w środku otwarta metalowa skrzynka, częściowo wypełniona plastikowymi workami. Ziarnisty, biały proszek, kryształki, marihuana luzem, gotowe skręty. Narkotykowy barek. Właściciel firmy Baxman Marine miał na boku dochodowy interes, a Rollo był jego współnikiem albo najlepszym klientem. Albo jednym i drugim.

Na biurku stał telefon. Cape podniósł przez papier słuchawkę i wybrał 911. Podał informację w pięciu krótkich zdaniach, a w ostatnim nazwisko Rolanda Tarlesa i adres Baxman Marine. Tamten poprosił o powtórzenie i dane zgłaszającego, ale Cape się rozłączył.

Wciąż czuł się osaczony, prawie tak samo, jak przedtem. Jeśli Rollo umrze, koniec z wolnością. D'Anzello uzna, że to Cape wstrzyknął mu śmiertelną dawkę, a Cape nie udowodni mu, że tego nie zrobił. Ani nie znajdzie dowodów na to, że nie był współnikiem Rolla w napadzie i że nie jest zamieszany w morderstwo Tanyi i Judsona.

Została mu jeszcze jedna szansa. Tylko jedna.

Pędem wybiegł z magazynu

28.

Rubicon Bay.

Jak to zwykle, brama wjazdowa posiadłości Vanowenów była otwarta. Cape przyspieszył i wjechał, nie starając się maskować swej obecności. W domu było ciemno. Dopiero gdy zawyło parkowane auto i wysiadł z niego, w środku zapaliło się pojedyncze światło. A pod wiatą stało tylko BMW należące do Stacy Vanowen.

Światło lampy na ganku oblało Cape'a białą poświatą, ale drzwi wciąż były zamknięte. Nacisnął dzwonek. Kolejne trzydzieści, może czterdzieści sekund, nim wreszcie ktoś mu otworzył. Zza drzwi wyjrzały wielkie oczy Stacy Vanowen. Miała na sobie szlafrok i kapcie, jednak zmęczony wyraz twarzy, ciemniejsze cienie pod oczami i niespokojne ruchy wskazywały na to, że wcale nie spała.

– Rany boskie – westchnęła. – Co ty tu robisz?

– Musimy pogadać.

Zatrzęsa głową, jakby chciała uporządkować myśli.

– Jest dopiero piąta rano. Czyja to furgonetka? I gdzie twoje auto?

– Wejźmy do środka. Proszę cię.

– Ty wyglądasz... jakby cię ktoś napadł.

– To nie to, co myślisz.

Wszedł do środka, popychając ją lekko. Usunęła mu się z drogi. Spojrzała zdumionym i przestraszonym wzrokiem.

– Nie rozumiem, po co tu przyjechałeś – rzekła.

– Zaraz zrozumiesz. Gdzie możemy porozmawiać?

– W salonie...

Zaprowadziła go do ciemnego pokoju i włączyła światło. Cape miał wrażenie, że otacza go duża przestrzeń w tonacji niebiesko-brązowej, ozdobiona elementami z kamienia i drewna, jakimiś obrazami, dziełami sztuki. Widział jednak bardzo niewyraźnie. W skroniach czuł silny puls, ból promieniował na kręgosłup i kark, przytępił wzrok.

– Lepiej usiądź – poradziła mu Stacy Vanowen. – Bo zaraz zemdlejesz.

– Na to wygląda...

– Może... drinka? Brandy?

– Poproszę. – Opadł na miękkie poduszki, ale zamiast oprzeć się wygodnie, pochylił się do przodu. Jeśli zbyt szybko się odpręży, może stracić czujność. – Sobie też nalej.

– Nie o tej porze.

– Zmienisz zdanie, gdy usłyszysz to, co ci zaraz opowiem.

Przez parę sekund obserwowała go, przygryzając dolną wargę. Następnie wyszła i szybko przyniosła dwa pełne kieliszki. Cape duszkiem wypił połowę. Miał wrażenie, że łyka ogień. Obserwował, jak Stacy siada w pewnej odległości od niego, złączone kolana okrywa połami szlafroka i kurczowo trzyma swój kieliszek w obu dłoniach, jakby były zmarznięte, a ona chciała je w ten sposób rozgrzać.

– No to mów, o co chodzi? – spytała. – Co takiego stało się dziś w nocy?

– To się dzieje cały czas, odkąd przyjechałem do Tahoe. Czuję się uwiązany na łańcuchu jak pies...

– Na łańcuchu? Jak pies? Gadasz bez sensu...

– Wiem już, kto zabił twojego męża – oznajmił Cape.

Zamrugnęła tylko oczami.

– Wiem wszystko, znam każdy szczegół. Nie uwierzysz, ale to prawda.

– Dlaczego twierdzisz, że nie uwierzę?

– Bo to bardzo przykra sprawa.

– Wciąż gadasz bez sensu. Wiesz, kim był ten człowiek w kominiarce?

– To facet od zieleni, wcześniej karany handlarz narkotykami. Nazywa się Rolando Tarles. W skrócie Rollo. To jego furgonetka. To on za wszystkim stoi, a pomaga mu twoja siostrzyczka.

Stacy wytrzeszczyła oczy.

– Lacy? Czyli to ona... Ale dlaczego...?

– Po pierwsze: dla forsy; po drugie: z nienawiści. Taka jest poprawna kolejność.

– Dla czyjej forsy? Chyba nie Andy'ego! Przecież w testamencie nic jej nie zapisał..

– Ale tobie tak. Dom, pieniądze w banku, portfel akcji... To wszystko twoje, prawda?

– Przecież wiesz, że Lacy i ja nie jesteśmy w dobrych układach.

– Ale pozwalasz jej przyjeżdżać, kiedy tylko chce, dajesz jej kieszonkowe, kupujesz prezenty. Lacy jest cwana, potrafi manipulować. Świetnie gra.

Pogodzi się z tobą, żeby sama na tym skorzystała. Duże ryzyko, duża nagroda.

Stacy siedziała sztywno. Miała mleczną cerę, która chwilowo przypominała bardziej alabaster niż marmur, dopóki nie zaczęły pojawiać się pod nią drobne żyłki. Nagłym ruchem uniosła kieliszek do ust, rozlewając brandy, i wypila zawartość jednym gwałtownym łykiem.

– Czemu Lacy tak bardzo nienawidziła Andy'ego? – spytała.

– Przede wszystkim dlatego, że miał wszystko, czego pragnęła. Nazywała go aroganckim chamem, dupkiem, despotą, który regularnie zdradzał żonę. Mówiła, że do niej też kiedyś próbował się dobierać na jakimś przyjęciu.

– Wcale mnie to nie dziwi. Wiedziałam, że sypia z innymi, niektóre z nich nawet znałam. Możliwe, że Lacy go nienawidziła... Sama go czasem nienawidziłam... Ale żeby zaraz planować morderstwo? To chyba niemożliwe.

– Lacy nienawidzi mężczyzn – stwierdził Cape. – A taka nienawiść rodzi skłonności destrukcyjne. Wszystko przez waszego ojca, za to, co jej zrobił w dzieciństwie.

Stacy wzdygnęła się, ale milczała.

– W stosunku do mężczyzn jest po prostu bezwzględna. Wykorzystuje ich, jak tylko potrafi. Sama zresztą mi przyznała. Wykorzystała Rolando Tarlesa, Boone'a Judsona. I mnie.

Znów cisza.

– Wszystko zostało ukartowane od początku do końca – ciągnął dalej Cape. – Rollo pracuje w Lakepoint Country Club, Lacy grywa tam w golfa... Kilka dni temu widziałem, jak rozmawiali. Wiedziała pewnie, że siedział w więzieniu w Arizonie. Prawdopodobnie uwiodła go, sypnęła gotówką, obiecała większą zapłatę... Tak go sobie okręciła wokół palca, że był gotów zrobić dla niej wszystko.

Stacy potrząsnęła głową. Cape nie wiedział, czy było to zaprzeczenie, czy tylko odruch. Nawet nie patrzyła na niego.

– Rollo wciągnął w to Boone'a Judsona – wyjaśnił. – Znali się z więzienia, obaj w tym samym czasie odsiadywali wyrok w Yumie. Według planu trzeba było przekonać Judsona, że będzie to karciany szwindel, czyli jego chleb powszedni. Ty, twój mąż i Vince Mahannah mieliście być jego ofiarami. Właśnie dlatego go wybrali. Poza tym był tego samego wzrostu i budowy ciała, co Rollo. Lacy zdobyła zdjęcia Vanowena i Mahannah, Rollo sfotografował ciebie. Zdjęcia wysłał Judsonowi niby

dla formalności, używając jakiejś wymówki, żeby zostawić je w posiadaniu Judsona. No i dzięki tym zdjęciom i swojej sylwetce świetnie się nadawał na to, by go zrobić w zabójstwo twojego męża... I wszystko poszłoby gładko, gdyby sprawy nie zaczęły się komplikować. Judson znalazł sobie partnerkę, Tanyę, nie informując o tym Rolla. Uznał, że do tej gry będzie mu potrzebny kapitał, więc najpierw nakradł z Tanyą trochę forsy w San Francisco. Popęnił też błąd, gdy zaprosił mnie do gry. I kolejny, gdy przywiózł Tanyę ze sobą do Tahoe.

Cape'owi zaschło w gardle. Dopił resztę brandy, potrzymał ją chwilę w ustach i mówił dalej.

– A Tanya pokrzyżowała plany Lacy. Nie pasowała do wstępnie ustalonego schematu. No i wkrótce wyczuła pismo nosem. Chciała się wyłamać, ale nie miała forsy. Rollo pewnie wygadał jej, że tu jestem; dlatego przyszła do mnie do hotelu. A ponieważ nie udało jej się wydębić ode mnie ani centa, wróciła do motelu, w którym się zatrzymali. Podejrzewam, że Rollo był tam sam i czekał na nią. Judsona zdążył już bezpiecznie odesłać do domu. A Tanya była tak zrozpaczona, że chciała tylko zdobyć od niego forszę. Więc ją udusił.

Stacy gwałtownym ruchem uniosła głowę. – Co takiego?!

– Udusił ją. Ciało ukrył potem tego samego dnia w bagażniku wynajętego wozu. Znalazłem je tam dziś w nocy.

– O Boże!

– Ale Lacy została przy swoich planach – ciągnął Cape. – Jak wtedy, gdy pojawiłem się u niej ze zdjęciami. Tak to sprytnie obmyśliła, żeby wszystko wskazywało na to, iż to Judson zabił Tanyę. I mnie. Spała ze mną, żeby wycisnąć jakoś wszystko, co wiem, uznała, że to trochę za dużo, i poleciła Rollo zabić mnie podczas tego sfigowanego napadu. Wczoraj, podczas naszej rozmowy, musiałem powiedzieć coś, co ją przekonało, że jestem coraz bliżej prawdy. Z kolei jej słowa powinny były od razu dać mi do zrozumienia, że jest w to zamieszana. Dopiero dziś w nocy zdałem sobie z tego sprawę.

– A co takiego mówiła?

– Powiedziała, że rozwalony mózg to nieczęsty widok. Przedtem twierdziła, że o morderstwie u Mahannaha dowiedziała się z radia. Policja nie sformułowałaby tego tak dosadnie, a media tym bardziej. Wystarczy podać do wiadomości, że został „bestialsko zamordowany”, bez takich szczegółów jak rozwalony mózg.

– Ale... – Słowa uwięzły jej w gardle. Odkaszlęła i dokończyła: – ...przecież tu nic nie wskazuje na to, że Lacy brała w tym udział.

– Dowodzą tego zdarzenia dzisiejszej nocy. Lacy chciała, żebym zginął. Usiłowała zrobić mnie w spisek z Judsonem. Mielśmy niby pozabijać się nawzajem w wyniku sprzeczki. Po rozmowie ze mną Lacy zastawiła razem z Rollo pułapkę w motelu. To było grubymi nićmi szyte, więc nie dałem się zła-pać. Inaczej już bym nie żył. Jednak popełniłem błąd, pozwalając Rollo uciec, a on nastął na mnie gliny. Przez całą noc szukałem jego i Lacy, żeby tylko wy-dostać się z tego bagna.

– I udało ci się?

– Wydostać z bagna? Jeszcze nie.

– Chodzi mi o to, czy udało ci się odszukać Lacy. I tego faceta Rollo.

– Znalazłem Rollo. W warsztacie Baxman Marine, w Pine Beach.

– Ale... co on tam robił?

– Zostawia tam swoją łódź. A właściciel ma na boku interes: handluje narkotykami. Możliwe, że Rollo mu w tym pomaga. Po zabiciu Judsona był tak wyczerpany, że pojechał do Pine Beach naćpać się czegoś i przypadkiem wstrzyknął sobie za dużą dawkę.

– To znaczy, że on nie żyje?

– Żyje, ale źle z nim.

– Umrze?

– Nie wiadomo – odparł Cape. – Jeśli przeżyje, policja wydobędzie od niego zeznanie. A jeśli umrze, to i tak są dowody świadczące przeciw niemu.

– Jakie to dowody?

– Pieniądze i przedmioty skradzione w czasie napadu u Mahannaha, inne różne rzeczy, które trzyma w domu. Nic nie wskazuje na współudział Lacy, ale założę się, że i na nią można znaleźć haka. Zanim to improwizowała i na pewno coś schrzaniła...

– Wciąż nie rozumiem, po co przyjechałeś do mnie – przerwała mu Stacy. – Dlaczego nie pojechałeś na policję?

– Bo dowody przeciwko Rollo nie oczyściłyby mnie z zarzutów – odrzekł Cape. – Nie zamierzam sam się narażać, skoro jest inne wyjście. Potrzebuję pomocy, wsparcia, a ty jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

– Nie wiem, jak ci pomóc...

– Masz tu gdzieś magnetofon?

– Magnetofon?
– Tak. Potrzebny byłby do nagrywania.
– Andy miał taki...
– To zadzwoń jeszcze do siostry i poproś, żeby przyjechała. Wypytam ją, postaram się wymusić na niej obciążające zeznanie w twojej obecności, a ty nagrasz je na taśmę. – Wyjawienie tego pomysłu na głos zdradzało rozpacz na granicy obłędu; takie właśnie uczucia nim miotają. – A jeśli to się nie uda, sam zgłoszę się na policję, a ty możesz iść ze mną i zaświadczyć przed kapitanem D'Anzello, że wierzysz mi na słowo.

Wciąż przygryzała wargę, unikając jego spojrzenia.

- Chyba że mi nie wierzysz? – dodał pytająco Cape.
- Sama już nie wiem, komu wierzyć.
- Znasz swoją siostrę, dobrze wiesz, jaka jest i że byłaby do tego zdolna.
- O tak, już ja wiem, do czego jest zdolna.
- A więc pomożesz mi?
- Hm... Muszę zebrać myśli. Napiję się jeszcze brandy...

Wstała i wolnym krokiem przeszła przez pokój. Cape zwalczył pokusę, by oprzeć się wygodnie i zamknąć oczy. Przetarł je tylko. Stres, zmęczenie... W głowie miał mętlik. Powinien chyba wstać, przespacerować się, zaczerpnąć świeżego powietrza, bo od tego ciepła stawał się ociężały...

Skądś nadjechał samochód.

Odgłos silnika, wyraźny, choć przytłumiony, wzbudził w nim czujność. Chciał podnieść się z fotela.

- Zostań tam, nie ruszaj się!

Cape odwrócił głowę. Stacy zbliżała się do niego z wycelowaną bronią w ręce.

Spojrzał na nią, potem na rewolwer. Widocznie przez cały czas trzymała go w szlafroku. Po raz kolejny Cape stał się celem.

- O co tu chodzi? Kto przyjechał?
- Zamknij się! A niech cię szlag... Po prostu siedź cicho.

Odgłos silnika ustał. Po chwili ktoś wszedł do domu, wiatr zawył przez otwarte drzwi, zanim trzasnęły z hukiem. W korytarzu zabrzmiały szybkie kroki. To Lacy.

- Weszła do pokoju, spojrzała na Stacy, potem na Cape'a i znów na siostrę.
- Najlepiej będzie, jak ja to wezmę – rzekła i wyrwała Stacy rewolwer.
 - Co tak długo? Myślałam, że dłużej tego nie wytrzymam...
 - Kiedy dzwoniłaś, byłam już prawie w domu. Świetnie się spisałaś, kochana. Naprawdę świetnie.
- Aleś ty głupi, Cape. Przegrany jak ta ostatnia karta. Obie siostrzyczki były w zмовie.

29.

Gdy tylko Lacy przejęła broń, nie spuszczała Cape'a z oczu, które patrzyły na niego pustym, zimnym wzrokiem, bez mrugnięcia, jak oczy ptaka czy gada. Niewinna twarz Stacy Vanowen okazała się jedynie powierzchowną maską, za to jej siostra była twarda jak stal, tylko serce miała z czarnego lodu.

Stacy oparła się o kanapę. Słaniała się na nogach i była blada. Cape'a traktowała teraz jak powietrze; całą swą uwagę skupiła na starszej siostrze.

- On wie wszystko – oznajmiła.
- Jasne, że wiem – rzucił cierpkim tonem. – Nieźle to wczoraj ukartowaliście. I teraz też. W obu przypadkach dałem się nabrać.

Ale równie dobrze mógł mówić sam do siebie.

- Nieważne, co on wie – odparła siostrze Lacy. – Powiedział jeszcze komuś?
- Twierdzi, że nie.
- To dobrze. Tylko jak on się dostał do furgonetki Rolla?
- Nie wiem. Ale jakimś cudem znalazł Rolla.
- Gdzie?
- W Pine Beach. Tam, gdzie przechowuje łódź.
- Cholera, nie pomyślałam, żeby tam sprawdzić. Gdzie on teraz jest?
- W szpitalu – odparł Cape. – Pod okiem policji – dodał.
- On nie żyje – wtrąciła Stacy. – *Na pewno* nie żyje.

- Nie żyje? Jak to?
- Przedawkował.
- Hm. No to świetnie. Przynajmniej zaoszczędził mi kłopotów.
- Lacy, błagam cię...
- Żył jeszcze, kiedy wychodziłem – oznajmił Cape. – Zobaczycie, że w areszcie się wygada. I zakupuje was obie.
- Cicho siedź, handlarzu! – Nareszcie przypomniały sobie o nim.
- A jeśli on jednak żyje? – zaniepokoiła się Stacy. – I rzeczywiście wszystko wygada?
- No i co z tego? To przecież tylko głupi ćpun, a w dodatku kryminalista. Komu uwierzą: jemu czy nam? Spokojnie, bez nerwów.
- Nic nie poradzę. Boję się.
- Jestem przy tobie. Jak zawsze, prawda?
- Jasne – wtrącił się Cape. – Przez ciebie siostrzyczka zakończy swe wygodne życie i trafi do babskiego mamra.
- Mówię ci, siedź cicho!
- Bo co? Bo mnie zastrzelisz? Tak czy inaczej, chcesz to zrobić. Zastanawiam się tylko, czy starczy ci odwagi.
- Myślisz, że nie?
- Skoro wysłałaś Rolla na zabójczą misję, zamiast pójść sama...
- Niby tak. Ale ty nie będziesz moją pierwszą ofiarą.
- Nie?
- Nie. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o naszym ukochanym tatuśku, który się w końcu zastrzelił, bo nie mógł znieść ciężaru swoich win? Prawda jest taka, że wcale się nie zastrzelił: to ja rozwaliłam mu łeb. Spał wtedy przed telewizorem. To było tamtej nocy, gdy po raz pierwszy i ostatni zgwałcił moją sześciolletnią siostrę.
- Stacy zasłoniła uszy dłońmi. – Nie! Błagam, nie! Wiesz przecież, że nie znoszę, gdy o tym mówisz!
- Wiem, kochanie. Przepraszam.
- Wtedy udało ci się uniknąć kary – rzekł Cape – więc myślisz, że wszystkie inne morderstwa też ujdą ci na sucho? Mylisz się.
- Wcale się nie mylę. Ale ty nawet się o tym nie przekonasz, bo już cię nie będzie.
- Za dużo tych zabójstw, Lacy. Za dużo trupów, jak na jeden raz. Vanowen, Judson, Tanya, może Rollo. I ja. A gliny nie są takie głupie. Nie uwierzą wam. Tyle nieściskości, wszystko grubymi niemi szyte.
- Lacy...

- Nie słuchaj go, mała. Pieprzy głupoty.
 - Nie, on ma rację... Za dużo trupów. Mój Boże, miał być tylko Andrew, nikt więcej. Ale ty musiałaś wszystko skomplikować... Tarles, Judson, karciane sztuczki... Trzeba było zrobić to w łodzi, na jeziorze. Upozorować na zwyczajny wypadek... Od początku ci mówiłam.
 - Tylko mi tu nie zaczynaj – zbesztła ją Lacy. – To był dobry plan. Zdziałałyby i nikt inny by nie zginął, gdyby Judson nie sprowadził tu tej swojej panienki, a do tego jeszcze Cape przywiózł te zdjęcia, a Rollo uwalił się amfą. To już nie moja wina. Co miałam zrobić? Staralam się, jak mogłam, żeby ciebie w to nie wciągać.
 - Nie wierz jej, Stacy – wtrącił znów Cape. – Ona dba tylko o swój tyłek. Bała się, że nie wytrzymasz i puścisz farbę. Nadal się boi.
 - Dostyc tego. – Na czole Lacy pulsowała żyłka. – Jeszcze jedno słowo, a zabiję cię tu i teraz.
 - Tylko nie tutaj! – jęknęła Stacy. – Nie na moich oczach!
 - Dobrze, więc idź do sypialni i zczekaj tam na mnie.
 - Nie w tym domu, Lacy, błagam cię!
 - Będzie wyglądało na to, że się włamał i próbował nas zaatakować...
 - Nie w tym domu! Na zewnątrz, nad jeziorem, gdziekolwiek, tylko nie w tym domu. Jak mogłabym tu potem mieszkać...?
 - Uspokój się. Nie zrobię tego tutaj.
 - Na pewno? Obiecuj mi.
 - Obiecuję. A teraz idź już do sypialni i weź Valium. Jedną tabletkę, nie więcej.
 - Valium... tak, wezmę. A ty się pośpiesz, dobrze?
 - Dobrze.
- Chwiejnym, szybkim krokiem Stacy wyszła.
- Ona się załamanie lada moment – zauważył Cape. – I pięknie, jak tylko policja zacznie ją wypytywać...
 - Sama sobie z nią poradzę. – Zadrżał wymierzony w niego rewolwer. – Wstawaj, handlarzu. Do drzwi!
- Cape podniósł się tylko, bardzo powoli, i stanął w miejscu.
- No, dalej! Rusz się.
 - Nie – rzucił.
 - No, ruszaj się!
 - Mam cię gdzieś, panienczko. Przez ostatnie pięć minut przysłuchiwałem się, jak gadacie o tym, żeby mnie zabić, jak jakiegoś robaka. A przecież

jestem człowiekiem, do cholery! Dość już mam takiego traktowania. Chcesz mnie zabić, więc zrób to tu i teraz. Rozwal mi łeb na tym drogim dywanie twojej siostrzyczki.

Wyszczrzyła zęby.

– No już, proszę – ciągnął Cape. – Szkoda tylko, że Stacy wpadnie w histerię na sam dźwięk strzału i na widok zakrwawionego trupa. A wtedy na pewno puszcza jej nerwy, nawet Valium nie pomoże. I głowę daję, że już nigdy się nie pozbiera.

– Ty sukinsynu!

– Nic nie wskórasz, Lacy. Za daleko zabrnęłaś. Czy mnie zabijesz, czy nie, i tak obie jesteście skończone.

– To się jeszcze okaże!

Cape przysunął się do niej o krok, obserwując spluwę.

Odruchowo pociągnęła za spust.

Padł na ziemię, wyginając się w bok, gdy rewolwer wypalił. Ból przeszył go w lewym boku, coś huknęło jak piorun, swąd kordytu rozniósł się po pokoju. W jednej chwili rzucił się na nią. Ręką uderzył ją w ramię, uniósł je, kiedy znów oddała strzał – tak blisko, że zadzwoniło mu w uchu. Chwycił rozgrzany metal w obie ręce, wyrwał jej i odrzucił daleko.

Lacy walczyła jak kocica z wystawionymi pazurami, prychając i klnąc. Drapnęła go, próbowała gryźć. A gdy Cape ją odepchnął, natarła na niego z uniesionym kolaniem i prawie kopnęła go w krocze. Zamachnął się otwartą dłonią – wymierzony z boku cios trafił w jej skroń tuż nad linią włosów. Zachwiała się i upadła na stół. Jakaś waza zsunęła się i roztrzaskała o podłogę; w tej samej chwili Lacy upadła, stopy zaplątały się między nogi od stołu.

Głuche stuknięcie: tyłem głowy uderzyła o gruby, drewniany spód kanapy.

Zesztywniała i nagle wydała się jakby mniejsza. Przewróciła oczami, aż ukazały się same białka. Osunęła się na bok, wstrząsana drgawkami.

– O Boże, coś ty jej zrobił?

W drzwiach salonu stała Stacy. Jedną dłonią próbowała zasłonić usta, drugą przyciskała do ucha – jakby nic nie chciała widzieć ani słyszeć. Jej pierś uniosła się, a całe ciało zaczęło spazmatycznie się trząść.

Cape cofnął się i rozejrzał za rewolwerem. Dostrzegł go i podniósł.

Lacy usiłowała jeszcze wstać. Klękała, po czym osunęła się na ziemię. Drgnęła, podniosła się i znów upadła. Próbowała kilkakrotnie, za każdym razem z coraz większym trudem. Z jej gardła wydobywały się ciche, niewyraźne

jęki. Wstrząs mózgu. Była ledwo przytomna i nie stanowiła już zagrożenia.

– Coś ty jej zrobił...? Coś ty jej zrobił...?

Lament Stacy, słaby, niedorzeczny, jak jęk jej siostry. Nie ruszała się z miejsca, jakby sparaliżowana. Spazmy ustały. Nagle zsunęła się po ścianie, bezwładnie, niemal płynnie, i usiadła na podłodze. Siedziała tak, zaciskając powieki. Żeby tylko nic nie widzieć.

Młodsze siostry zawsze są słabsze.

W tym łańcuchu Stacy była słabym ogniwem.

Cape poczuł się odrętwiały. Przysiadł na krawędzi kanapy, by złapać oddech. Obejrzał ranę w lewym boku. Sporo krwi, piekący ból, ale to tylko drażnienie.

Może ten pechowy Cape miał jednak trochę szczęścia...

Wyszedł poszukać telefonu i przekonać się, ile w tym prawdy.

30.

Cape, ale z pana frajer – podsumował D'Anzello.

– W tej kwestii nie będę się z panem kłócił.

– Miała sześć kulek... Niewiele brakowało, a byłby pan trupem.

– Wiem.

– Po co prowokował pan Lacy Hammond, kiedy trzymała panu spluwę koło nosa? Sądził pan, że nie strzeli?

– Mówiłem już – odparł Cape. – I panu, i prokuratorowi. Wszystko zeznałem pod przysięgą.

– Więc niech mi pan powie jeszcze raz.

– Miałem już dość. I w końcu pomyślałem sobie: albo ja, albo ona.

– Mógł pan poczekać, aż wyjdziecie z domu. I wykorzystać fakt, że było ciemno.

– Chciałem tylko wytrącić ją z równowagi. Nie sądziłem, że strzeli w domu.

– Miał pan szczęście. Chociaż kusił pan los.

– Czasem to konieczne, a czasem nie.

- Zbývá mnie pan – zauważył D'Anzello.
- Nie mam zamiaru pana zbywać ani się wymądrzać, kapitanie. Jestem... zmęczony to za mało powiedziane.... Do diabła, jestem wykończony! Zgadza się pan, żebyśmy wkrótce stąd wyjechali?
- Tego jeszcze nie wiem. Sam pan rozumie, że mógłbym oskarżyć pana o szereg poważnych przestępstw. Zatajenie dowodów, włamanie, kradzież furgonetki, napad...
- A więc chcecie mnie zapuszkować, tak? – spytał Cape słabym głosem.
- Za to, że oddałem w wasze ręce troje groźnych zabójców?
- Nie powiedziałem, że to zrobię, tylko że mógłbym.
- Zostałem wykorzystany. Osaczony. To było powodem wszystkich moich działań.
- A pan chyba nie lubi być osaczony?
- To prawda. Proszę posłuchać, ma pan moje zeznanie i przeprosiny. Stacey Vanowen już się przyznała. Wygląda na to, że Tarles przeżyje i będzie pan miał też jego zeznanie. Ja nie jestem już panu potrzebny. Co komu z tego, że mnie aresztujecie?
- Ma pan rację – przyznał D'Anzello. – Prokurator też jest tego zdania. Zaciera ręce z radości, że ma obie siostrzyczki. Panem wcale się nie interesuje. Decyzję o aresztowaniu pana pozostawił mnie.
- No więc jak?
- D'Anzello oparł się na krzesło przy biurku, postukał końcówką długopisu o przedni ząb. – Prawdę mówiąc, nie wygląda mi pan na bohatera.
- I wcale nim nie jestem.
- A jednak to, co pan zrobił, wymagało sporo odwagi. Większość ludzi nie zdobyłaby się na odebranie napastnikowi spluwy, nawet w obronie własnej.
- I po co znów do tego wracać?
- Większość ludzi nie pobiegłaby za uzbrojonym w nóż złodziejem torebek, tak jak pan w Nowym Orleanie.
- Cape westchnął. – Nawet nie wiedziałem, że miał nóż.
- W raporcie policyjnym napisane jest, że nie miał pan broni i że rozbroił pan tego faceta gołymi rękami. Uważam to za bohaterski czyn.
- Zrobiłem to odruchowo.
- Jest pan wzorowym obywatelem.
- Staram się.
- Wzorowy obywatel, altruista i bohater w jednej osobie.

– Miło, że pan tak twierdzi.
– A jednak Matthew Cape z Rockford, z Illinois, w którego przeszłość zajrzeliśmy, wcale taki nie był. Skromny handlowiec, szary obywatel... Co sprawiło, że aż tak się zmienił?

Cape wzruszył ramionami w milczeniu.

– No, niechże pan zdradzi – naglił D'Anzello. – Dlaczego rzucił pan pracę, odszedł od żony, kupił korwetę i zaczął rozbijać się po kraju? Skąd ten nagły strach przed osaczeniem? Co sprawiło, że zwyczajny facet zmienił się w Supermana?

– Dlaczego zaraz w Supermana? Jezu...

– Niech mi pan odpowie na pytanie.

– Przechodzę kryzys wieku średniego – odparł Cape. – Podobno każdego to czeka.

– Mało przekonujące.

– No, dobrze, niech będzie więc, że chciałem coś zmienić. Dość już miałem nudy w życiu i zapragnąłem nowych wrażeń.

– I dlatego narażał się pan na śmierć od noża czy kul? Trudno, żeby taki spokojny człowiek ni stąd, ni zowąd nabrał tyle odwagi.

– Może zwyczajnie miałem dość niesprawiedliwości i cierpienia na świecie i postanowiłem sam to zwalczać na małą skalę...

– Bzdura.

– Więc może chciałem odpokutować za dawne grzechy...

– Aha, jasne. I zbierał pan punkty potrzebne w Niebie.

– Można tak powiedzieć.

– Proszę o jasną odpowiedź. Przed czym Matt Cape tak ucieka?

– Ja wcale nie uciekam.

– Moim zdaniem tak – stwierdził D'Anzello.

– Niech pan posłucha, kapitanie, muszę koniecznie się wyspać. Więc proszę mnie zaaresztować albo wypuścić. Nie przeciągajmy tego.

– Nie zaaresztuję pana, ale wyjedzie pan dopiero wtedy, gdy oczyści się pan z zarzutów. I proszę mi dać jakąś gwarancję, że zjawi się pan jako świadek oskarżenia, gdy tylko sprawa trafi do sądu, czyli za trzy do sześciu miesięcy.

– Tego nie mogę zrobić.

– Nie? Dlaczego?

Cape zaczerpnął powietrza, odetchnął. – No dobrze – rzekł po chwili. – Skoro pan tak bardzo chce wiedzieć, dlaczego rzuciłem dawne życie i zacząłem nowe, powiem panu. Wyjaśni to, dlaczego narażałem się na śmierć od noża

czy kul, skąd mój lęk przed osaczeniem, dlaczego nie będę mógł zeznawać w sądzie i dlaczego tak strasznie zależy mi, żeby już stąd wyjechać. Powód jest jeden: bo moje dni są policzone i zostało mi ich już bardzo niewiele.

– Jak to? Co pan mówi?

– Jestem nieuleczalnie chory – wyjaśnił Cape. – Został mi najwyżej rok życia, a może nawet mniej: cztery, pięć miesięcy.

Zapadło długie milczenie.

– Co panu jest? – spytał wreszcie D'Anzello zmienionym głosem.

– Rzadki przypadek choroby krwi. W stu procentach kończy się śmiercią.

– Jezu drogi!

– Lekarze z Chicago postawili mi diagnozę dziewięć tygodni temu. Mogę podać panu ich nazwiska.

– Nie trzeba, wierzę panu na słowo. – D'Anzello pochylił się do przodu, położył dłonie na biurku i mocno splótł palce. – A ta choroba... Hm...

– Objawia się bólem głowy, kręgosłupa, stawów, nasilającym się zmęczeniem... Chce pan słuchać dalej? To długa lista...

– Nie.

– Powiedzieli, że będę mógł funkcjonować w miarę normalnie aż do ostatniego stadium. Potem czeka mnie już tylko szpital, środki przeciwbólowe i ostatnie namaszczenie. – Cape wykrzywił wargi w uśmiechu. – Chyba że wcale tego nie dożyję.

– I stąd ta brawura? Szukał pan sposobu na szybką śmierć?

– Wcale nie, do diabła. Chcę żyć jak najdłużej. Ale jeśli śmierć przyjdzie nagle, nie cofnę się przed nią.

– A co z żoną? – spytał ostrożnie D'Anzello. – Rodziną...?

– Nic. Oni nawet nie wiedzą.

– Nikomu pan nie powiedział? Nawet najbliższym?

– Dopilnowałem, żeby się nie dowiedzieli. Pan jest jedynym, który wie, nie licząc lekarzy.

– Ale dlaczego nie powiedział pan rodzinie?

– Moja żona, siostra, jej rodzina, mój ojciec – wszyscy mają swoje własne problemy. Nie chcę dodatkowo obarczać ich swoimi. Ale chyba nie kontaktował się pan z nimi? Nie mówił im pan, gdzie jestem?

D'Anzello potrząsnął głową. – I po to odszedł pan od żony? Tylko dlatego się z panem rozwodzi?

– Nie – odparł Cape. – Zaplanowałem to tak, żeby zastała mnie w łóżku z inną kobietą.

– Cholera, co za brutalne rozwiązanie!

– Ja patrzę na to trochę inaczej. Nasze małżeństwo i tak miało się rozpaść, wisiało już na włosku. Gdybym powiedział Annie o chorobie, jeszcze bardziej zmarnowałbym jej życie. Zostałaby ze mną z obowiązku aż do samego końca. Jest pielęgniarką, nie zostawiłaby śmiertelnie chorego pacjenta samego.

– A nie można było jakoś inaczej...?

– Jak? Zniknąć? Zamartwiałyby się na śmierć, winą obarczałyby siebie, próbowałyby mnie szukać... i zrezygnowałyby ze swego życia. To samo zrobiłyby, gdybym powiedział jej prawdę, a dopiero potem zniknął. Nie mógłbym znieść jej cierpienia. Kiedyś ją kochałem. I chyba w głębi duszy nadal ją kocham.

D'Anzello wpatrywał się w Cape'a przenikliwym wzrokiem, jakby chciał rozciąć mu skórę, przewiercić czaszkę i zajrzeć do głowy. – Nie mogę pana rozgryźć, Cape.

– Proszę spróbować zrozumieć: po krótkim, bolesnym ciosie ból mija szybko, ale gdy cierpienie trwa dłużej, rany trudno się goją, a niekiedy pozostają w nas już na zawsze.

– No, tak. Rozumiem pana, chociaż się z tym nie zgadzam.

– To samo się tyczy reszty mojego życia i radzenia sobie z wyrokiem śmierci. Pan nie popiera tego, że podróżuję i korzystam z życia. A ja panu powiem, że podczas tych ostatnich paru tygodni przeżyłem więcej i lepiej poznałem świat i siebie niż przez całe trzydzieści pięć lat. I jeszcze bardziej jestem tego spragniony.

D'Anzello otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Umierać można na wiele sposobów – ciągnął Cape. – Ale tak naprawdę najważniejsze są tylko dwa.

– Tak pan uważa?

– Wiem to na pewno. Śmierć może być albo ciężka, albo łatwa. Ja wybrałem to drugie.

– Ja bym się z tym nie zgodził, biorąc pod uwagę ostatnich kilka dni...

– Ale i tak wolałem to, niż włączyć się smętnie po Rockford i czekać beczynnym, aż mnie kostucha zabierze. – Znów wykrzywił wargi w uśmiechu i odsunął krzesło. – To jak? Jestem wolny?

– Oczywiście.

Cape podszedł do drzwi, ale odwrócił się jeszcze i zrobił dwa kroki w stronę D'Anzella. – Niech się pan nad tym zastanowi, kapitanie – rzekł. – Ciekawe, jak pan odpowie sobie na to pytanie.

– Na jakie pytanie?

– Gdyby dowiedział się pan, że zostało panu tylko kilka miesięcy życia, to co *pan* by zrobił?